SZKOŁA ZDZIECINNIAŁA
Żeby uczyła, musi dojrzeć – mówi uczeń

PRAWO GRZESZNIKA
Ks. Boniecki i ks. Prusak bronią tajemnicy spowiedzi

PABLOPAVO
Najfajniej jest, gdy nic nie musisz

POLITYKA VEGI
Dlaczego znów ściągnie nas do kin

Kraków 8 września 2019 nr 36 (3661) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Ratujemy wszystkich

TOPROWIEC ANDRZEJ GÓRKA: CENA RYZYKA I MITY O TURYSTACH

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

MOKATE

WIELKA LOTERIA

NAGRODA GŁÓWNA

KULTOWY FIAT 500

9 weekendów

Hotel Mercure Kasprowy w Zakopanem

300 kubków

Stylowe kubeczki marki Rosenthal

Kup produkty Mokate
za minimum 10 zł, zachowaj paragon*
i zagraj na **www.loteriamokate.pl**

PROMOCJA TRWA: 01.09.2019 - 31.10.2019

Szczegóły loterii i regulamin dostępne na www.loteriamokate.pl
Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat, organizatorem jest Grzegrzółka&Ko Sp. z o.o.
*Lista produktów objętych promocją znajduje się w regulaminie loterii oraz na www.loteriamokate.pl
Zakup produktów za minimum 10 zł musi być na jednym paragonie.

KS. ADAM

Boniecki: *Moje Tatry*

NA DOBRĄ SPRAWĘ POWAŻNYM TATERNIKIEM NIE byłem nigdy. W latach sześćdziesiątych zeszłego stulecia należałem do Klubu Wysokogórskiego i przez dwa, prawie trzy sezony upojony szczęściem uprawiałem taternictwo zwane też wspinaczką. Sprzęt mieliśmy prosty: sizalowa lina, pętle, haki, młotek – to wszystko nosiło się w plecaczku czeskiej czy słowackiej produkcji, zwanym „horolezką". Na linie się zjeżdżało bez żadnych udogodnień. Ubiór też był prosty: buty „wibramy", flanelowa koszula w kratę, sweter i skafander (tak mówiło się na wkładaną przez głowę wiatrówkę). Tatry już poznałem turystycznie, przeszedłem wszystkie szlaki: Orlą Perć, Granaty, Rysy. Podczas tych wędrówek z nabożnym podziwem patrzyłem na taterników, z daleka, jak się wspinają po ścianie, i z bliska, w schroniskach. Miałem wrażenie, że na nas, turystów, „ceprów", patrzyli z góry. Chodzili po tych samych górach, ale byli z innego świata. Byli dla mnie niedościgłą klasą wyższą. I wreszcie sam się zapisałem na kurs taternicki, a potem wstąpiłem do Klubu. Wciągnęło mnie. Przez dwa sezony i jeszcze potem, kiedy tylko mogłem, przeżywałem wspinaczkową euforię.

Nie będę tu opisywał swoich taternickich przygód, bardzo małych w zestawieniu z przygodami wielkich taterników i alpinistów. Nie czułem się też przeniesiony do klasy nadludzi. Moja „kariera" to ledwie historia debiutanta. Osiągnięcia to drogi dla początkujących: Żabia Lalka, Diabla Turnia i Diablowina na Słowacji, grań Rysów i (teoretycznie z nich najtrudniejsza) wschodnia ściana Kościelca. Potem była ponad roczna przerwa (z jedną wspinaczką, bo nadarzyła się okazja) i po tej przerwie (pracowałem już w „Tygodniku" i byłem duszpasterzem akademickim) znów okazja, znów wspinaczka. Bez problemów robiliśmy z partnerem jakąś stosunkowo łatwą drogę, gdy nagle moja miłość do wspinaczki zgasła. Zdałem sobie sprawę, że dla sportu ryzykuję życie własne i towarzysza. Po wspinaczce spakowane do plecaka linę, haki, karabinki, młotek jak zwykle zostawiłem u Babci Figusowej na strychu, w Jaszczurówce. Więcej do niego nie zaglądałem.

Doświadczenie wspinaczkowej euforii, wspomnienie moich mistrzów, starszych ode mnie i do tego poważnych profesorów wyższych uczelni, a także fascynujące relacje wielkich alpinistów powracają do mnie z mało oryginalnym pytaniem: dlaczego ludzie to robią?

Dlaczego ludzie zdobywają szczyty? „Bo są" – ta klasyczna odpowiedź ludzi gór dla mnie jest całkiem niewystarczająca. Wojciech Kurtyka, inżynier elektronik, taternik, alpinista, himalaista, jeden z największych, napisał: „Wspinanie jest wyjściem poza krąg powtarzalnych i opatrzonych sytuacji; jest ucieczką od monotonnych mechanizmów logiki i rozsądku, które zabieganemu człowiekowi nie pozwalają zauważyć nieba nad głową. Dlatego też wspinanie otwiera oczy – porusza wiele zróżnicowanych i uśpionych poziomów wrażliwości". Jest w tym prawda, ale konieczny do niej komentarz stanowi obserwacja wielkiego włoskiego alpinisty Simonego Moro: „Po co ktoś inwestuje wszystko, swoją energię i pieniądze, by osiągnąć coś, co jest całkowicie nieprzydatne w życiu? Wspinanie się nie ma wymiaru praktycznego. To nie jest wykonanie operacji i uratowanie komuś życia. Dlatego sens wspinania, dla osób postronnych, jest bardzo trudny do uchwycenia".

A może wspinanie jest efektem tego, że człowiek ma duszę? Jaki bowiem biologiczny mechanizm mógłby popchnąć produkt czysto materialnej ewolucji do straszliwego trudu, ryzykowania życia? Nie jest to jedyna możliwość zwycięstwa ducha nad materią, ale mało która czyni człowieka równie szczęśliwym. ©℗

TP

DZIĘKI HOJNOŚCI CZYTELNICZEK I CZYTELNIKÓW „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" zebraliśmy całą kwotę potrzebną do dopełnienia budżetu filmowego portretu ks. Adama Bonieckiego, produkowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego (i współfinansowanego przez Państwa!).
Zbiórkę rozpoczęliśmy 10 lipca, na kilkanaście dni przed 85. urodzinami ks. Adama. Miała potrwać do października, ale Państwa niesamowita wręcz mobilizacja pozwoliła uzbierać zaplanowaną kwotę jeszcze w sierpniu.

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Dziękujemy!
Fundacja Tygodnika Powszechnego

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Szkoła zdziecinniała
Z KRZYSZTOFEM KATKOWSKIM, LICEALISTĄ, ROZMAWIA PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Żeby szkoła naprawdę uczyła, musi najpierw sama dojrzeć. To zresztą dotyczy nie tylko edukacji i nie tylko nauczycieli, którzy stali się obiektem bezzasadnych ataków.

26 Napędzane siłą bezwładu
RAFAŁ ZYCHAL
Elektryczne hulajnogi są uciążliwe dla pieszych i powodują coraz więcej wypadków. Ale dla prawa tak jakby ich nie było.

32 Spowiedź to nie matematyka
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM I KS. JACKIEM PRUSAKIEM SJ:
Czasem trzeba nieść cudze grzechy albo swoje błędy.

76 Lato leśnych ludzi
ADAM ROBIŃSKI
Kto blokuje dzieciom swobodny dostęp do przyrody? Nie otoczenie, nie samochody, ale rodzice – przekonuje Basia Zamożniewicz, autorka bloga „Wielki Zachwyt”.

62 Nieradość
ROZMOWA Z PAWŁEM SOŁTYSEM (PABLOPAVO), PISARZEM I MUZYKIEM:
Jak już wyjdziesz z rozpędzonej młodości, w której szybko się myśli i ocenia, szybko się kocha i nienawidzi, to łatwiej o empatię.

42 Asad podbija Syrię
INGA ROGG Z JEROZOLIMY
Armia rządowa zajęła miasto Chan Szajchun, ważne strategicznie i symbolicznie.

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP” // ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM // GRAŻYNA MAKARA // IZEDDIN IDILBI / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES // ŁUKASZ GIZA / AG // PRZYKUTA / CC BY-SA 3.0

6 Między Wieluniem i Warszawą WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Szkoła zdziecinniała
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KATKOWSKIM

26 Napędzane siłą bezwładu
RAFAŁ ZYCHAL

28 Poradzimy sobie z tym napięciem ROZMOWA Z WŁODZIMIERZEM PAŃKÓWEM, SOCJOLOGIEM: *Nie sądziłem, że dożyję momentu, gdy powiem: tak, identyfikuję się z władzą, która rządzi w moim kraju*

WIARA

32 Spowiedź to nie matematyka
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM I KS. JACKIEM PRUSAKIEM SJ

36 Życie bez wiary nie jest życiem w ciemno
DARIUSZ KOT

38 Moc w codzienności
AGNIESZKA SKIBIŃSKA: *Małe Siostry Jezusa obchodzą 70-lecie*

ŚWIAT

42 Asad podbija Syrię
INGA ROGG

45 Nienawiść z importu
TOMASZ AUGUSTYNIAK Z MALEZJI: *Delikatna równowaga etniczno-religijna została tu naruszona*

TEMAT TYGODNIKA

KRZYSZTOF STARNAWSKI / TOPR

12 Ratujemy wszystkich
Z ANDRZEJEM GÓRKĄ, TOPROWCEM, ROZMAWIA BARTEK DOBROCH:
Rażące zachowania, wszystkie te klapki i szpilki w górach, stanowią mniejszość naszych działań. Większość to wezwania zasadne. Nie jest tak, że ratujemy rozwrzeszczanych ludzi, którzy mają ogromne roszczenia.

16 Niedole masowości
BARTEK DOBROCH
W październiku TOPR ukończy 110 lat.

FELIETONY
31 ANNA DZIEWIT-MELLER **41** SZYMON HOŁOWNIA **53** ANDRZEJ STASIUK **74** JAN KLATA **75** PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ANDRZEJ GÓRKA, RATOWNIK TOPR
Fotografia: BARTŁOMIEJ JURECKI DLA „TP"
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

46 Chytry plan Johnsona
MARCIN ŻYŁA: *Brytyjski premier na wojnie z parlamentem*

48 Kraby z Fukushimy ANNA ŁABUSZEWSKA: *Wciąż nie wiemy, co wybuchło w Zatoce Dwińskiej*

50 Miasta nie do życia
WOJCIECH JAGIELSKI: *Indonezja i Egipt budują nowe stolice*

HISTORIA

54 Śmierć prawdziwym zwycięzcą ANTONI SUŁEK: *W niewielkiej wsi Barłogi II wojna światowa zostawiła liczne groby*

NAUKA

58 Państwo psychologiczne
RADOSŁAW ZYZIK: *Czego używają władze i urzędnicy, by wpływać na decyzje obywateli*

KULTURA

62 Nieradość
ROZMOWA Z PAWŁEM SOŁTYSEM

66 Dyskretny urok chłodu
KAROL FRANCZAK *na stulecie Bauhausu*

70 Polityka z planety Vega
JAKUB MAJMUREK: *Film „Polityka" jest skazany na frekwencyjny sukces. Dlaczego?*

72 Bez klimatyzacji
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Między morzem a oceanem" Isakiego Lacuesty*

74 Drugie życie
LEKTOR *o książce Józefa Hena „Nowolipie. Najpiękniejsze lata"*

WAKACJE

76 Lato leśnych ludzi
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata: Indie

U kresu życia Sonia Gandhi, schorowana i słaba, wróciła do polityki, by walczyć o władzę – **WOJCIECH JAGIELSKI** *opisuje historię kobiety, której polityka odebrała wszystko, co uważała za najcenniejsze – miłość, rodzinę, pogodę życia* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Szkoła rodzicielska

Szkolne rady rodziców kojarzą się tylko z pieniędzmi. A mogą mieć wpływ np. na wartości, których będą uczone dzieci – **GRZEGORZ CAŁEK,** *badacz rad rodziców, przekonuje, że warto się nimi zainteresować. Zwłaszcza teraz, w związku chaosem po reformie edukacji* **powszech.net/rady**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

MIĘDZY WIELUNIEM I WARSZAWĄ

ADAM STASKIEWICZ / EAST NEWS

Wielkie emocjonalne zadośćuczynienie dla Polski i jej obywateli różnych narodowości, ofiar II wojny światowej: tak można podsumować obchody 1 września. Ale było tu też przesłanie polityczne.

WOJCIECH PIĘCIAK

Prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier oraz prezydent RP Andrzej Duda podczas obchodów 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Wieluń, 1 września 2019 r.

Pamięć historyczna to zjawisko dynamiczne – i od nas zależy, jak będzie kształtowana. Jeszcze 10 lat temu prawie nikt nie słyszał – w Polsce i świecie – co 1 września 1939 r. zdarzyło się w Wieluniu: o nalocie, niemal równolegle z atakiem na Westerplatte, który zniszczył 70 proc. tego nadgranicznego wówczas miasta. Dziś Wieluń jest, obok Westerplatte, symbolem: nie tylko początku wojny, ale też sposobu, w jaki Niemcy prowadzili ją od pierwszego dnia. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że „Tygodnik" miał znaczący udział we wprowadzaniu Wielunia do zbiorowej pamięci. Słyszymy teraz, że gdy prezydent Andrzej Duda zapytał swego kolegę Franka-Waltera Steinmeiera, gdzie chciałby rankiem 1 września wspólnie upamiętnić wybuch wojny, prezydent Niemiec wybrał Wieluń. Jego wystąpienie w tym mieście, poruszające i w głównym momencie wygłoszone po polsku, zapewne wejdzie do historii polsko-niemieckiego pojednania.

Podobnie jak do historii przejdzie wystąpienie wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a na warszawskim placu Piłsudskiego. Chyba nigdy żaden zagraniczny polityk, przemawiający w Polsce przy okazji historycznych rocznic, nie dobrał słów tak bardzo wychodzących naprzeciw temu, co Polacy, a przynajmniej większość z nich, chcieliby usłyszeć na temat roli Polski w XX-wiecznej historii, o tym, jak wciśnięta między totalitaryzmy nazistowski i sowiecki, nie dała się złamać. Nie, 1 września plac Piłsudskiego zdecydowanie nie był miejscem,

gdzie dobrze czułby się Władimir Putin – gdyby musiał słuchać wystąpień Pence'a, Dudy i (ponownie) Steinmeiera.

Być może nawet ci z nas, których samokrytyczna wrażliwość mogła oburzyć się na tę masę miodu (albo, interpretując to inaczej: szacunku) wylanego na polską duszę przez Pence'a, zgodzą się z opinią, że 1 września mieliśmy do czynienia – w Wieluniu i Warszawie, za sprawą Pence'a i Steinmeiera – z wielkim emocjonalnym zadośćuczynieniem: dla tamtej Rzeczypospolitej, która w 1939 r. stawiła opór, dla jej obywateli różnych narodowości (ofiar tego, co się wtedy zaczęło). I wreszcie dla nas, współczesnych, którzy lepiej lub gorzej staramy się radzić sobie z tą historią, z jej dobrymi i złymi rozdziałami, i wyciągać z nich jakieś lekcje.

Ale prócz tego Pence i Steinmeier mieli do powiedzenia nam coś jeszcze: była to deklaracja, że Polska ma w USA i w Niemczech sojuszników, na których może liczyć. Nie powinno to zaskakiwać: polityka bezpieczeństwa Polski kształtuje się dziś przede wszystkim w trójkącie Warszawa–Waszyngton–Berlin. Owszem, relacje Polska–USA są dziś wyjątkowo dobre (to stwierdzenie faktu), a politycy obozu rządzącego umieli zbudować specjalną relację z Donaldem Trumpem (to też konstatacja faktu; być może wkrótce znajdziemy jej kolejne potwierdzenie, gdy prezydent USA nadrobi zaległość i odwiedzi Warszawę tuż przed naszymi wyborami). Owszem, to armia USA jest główną siłą sojuszniczą. Ale byłoby grzechem wobec kultury strategicznej – i wobec lekcji historii – gdyby obóz rządzący, zafascynowany Trumpem, zignorował Niemcy, najważniejszego sojusznika w Europie (to też konstatacja faktu). Budowany po 1989 r. sojusz z Niemcami to przełamanie tamtego fatalizmu okrążenia sprzed 80 lat.

Zresztą być może to polsko-niemiecka współpraca wojskowa jest sferą, która będzie mieć najwięcej do zaoferowania, gdy zacznie się szukanie alternatywy dla pewnego słowa na literę „R". Ono nie padło 1 września, ale wisi w powietrzu – i chyba także Berlin zdaje sobie sprawę, że kwestia reparacji ma wymiar nie tylko prawny, lecz też polityczno-moralny. Jeśli więc ktoś uzna, że warto szukać alternatyw dla słowa na „R", podpowiedzią może być niemiecko-izraelska współpraca wojskowa. Realizowana od dekad bez wielkich słów, ale konkretna.

„Fort Merkel" byłby dobrym uzupełnieniem „Fortu Trump". ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

ANTYSMOGOWO. W Krakowie wszedł w życie zakaz palenia węglem i drewnem, a pierwsze zgłoszenie o złamaniu przepisów Straż Miejska przyjęła dwie minuty po północy pierwszego dnia obowiązywania nowych przepisów. W ciągu ostatnich pięciu lat w mieście zlikwidowano ponad 20 tys. kotłów na węgiel.

ANTYŚMIECIOWO. Do niektórych informacje o proekologicznych rozwiązaniach docierają jakby z większym trudem. Publicysta Rafał Ziemkiewicz np. poskarżył się na Twitterze, że ma za daleko do punktu skupu makulatury – najwyraźniej nie słyszał, że śmieci (w tym papierowe) w Polsce są segregowane i odbierane przez lokalne służby.

ADAM JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

ANTYWYPADKOWO. Cztery miesiące trwała przerwa w informacjach o kolizjach z udziałem samochodów Służby Ochrony Państwa: tym razem samochód odpowiedzialny za bezpieczeństwo najważniejszych osób w Polsce uderzył w bariery na autostradzie A2 w okolicy Grodziska Mazowieckiego.

ANTYHISTORYCZNIE. „Jako związkowcy Solidarności nie chcemy mieć nic wspólnego z tym miejskim centrum »Bez solidarności«" – powiedział lider związku Piotr Duda na temat działającego w Gdańsku Europejskiego Centrum Solidarności, ogłaszając powołanie Instytutu Dziedzictwa Solidarności. Obchody rocznicy Porozumień Sierpniowych odbyły się w dwóch miejscach.

ANTYDYSKRYMINACYJNIE. Jednej z dyrektorek LOT-u nie spodobał się wygląd personelu pokładowego linii British Airways (w mediach społecznościowych krytykowała m.in. „niewypastowane buty, dziury w rajstopach, opinający się mundur, podwójny podbródek, psujące się i nierówne zęby"). Ocenianie kompetencji na takich podstawach doprowadziło do zwolnienia jej z pracy.

Szkolna dyktatura weta

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wobec planowanego organizowania i finansowania przez niektóre samorządy (...) zajęć dodatkowych w zakresie edukacji seksualnej przypominamy, że wychowanie (...) jest przede wszystkim prawem i obowiązkiem rodziców" – napisała w komunikacie Rada Biskupów Diecezjalnych. W dalszej części dokumentu, w dwóch z siedmiu punktów poświęconych edukacji (pozostałe dotyczą m.in.: II wojny światowej, obrony abp. Jędraszewskiego „zaatakowanego za krytykę ideologii LGBT+", aktów nienawiści wobec Kościoła), czytamy o dotyczącej szkoły „zasadzie pomocniczości" w wychowaniu dzieci, która wymaga, by „propozycje zajęć dodatkowych mogły zgłaszać kompetentne podmioty kierujące się chrześcijańską antropologią". A że wdrażanie edukacji seksualnej ma – wedle wiedzy biskupów – dotyczyć już najmłodszych i opierać się na standardach WHO, hierarchowie radzą rodzicom chcącym „uchronić swe dzieci przed deprawacją", by składali „specjalne oświadczenia". Co jest w naszykowanych przez rozmaite organizacje (np. Ordo Iuris) dokumentach? Deprawować dzieci ma nie tylko edukacja seksualna, ale też tolerancja, równość czy przeciwdziałanie dyskryminacji. A nawet – to cytat z oświadczenia podsuwanego rodzicom choćby przez diecezję zielonogórską – tematyka „dojrzewania i dorastania".

To, że ten dramatycznie nieprecyzyjny (gdzie przykłady deprawacji w standardach WHO? dlaczego „antropologia chrześcijańska" – co sugeruje zestaw biskupich komunikatów – miałaby pozostawać w sprzeczności np. z działaniami antydyskryminacyjnymi?), a w zestawie z treścią „specjalnych oświadczeń" groteskowy przekaz ośmiesza samych hierarchów, jest problemem drugorzędnym. Jeśli okaże się skuteczny, w wielu szkołach może sparaliżować dodatkową pracę z uczniami. Działania organizacji pozarządowych na terenie szkoły wymagają akceptacji rad rodziców, gremium wybieranego spośród popularnych „trójek klasowych". Rada współdecyduje też o treści uchwalanego na początku roku programu wychowawczo-profilaktycznego. Teoretycznie więc pozalekcyjne treści to wypadkowa demokratycznego konsensusu. Teoretycznie, bo rodzice (o czym opowiada w wywiadzie na tygodnikpowszechny.pl Grzegorz Całek, badacz rad rodziców) niechętnie korzystają ze swoich uprawnień.

W tych warunkach łatwiej o – napędzaną polityczno-kościelnymi fobiami – szkolną dyktaturę weta. Dyktaturę nad dyrektorami, którzy nie będą chcieli narażać się – jak było choćby przy okazji zeszłorocznego „Tęczowego Piątku" – na światopoglądowe przepychanki czy kuratorskie najazdy. I nad nauczycielami, którzy mają dość własnych zmartwień.

Biskupi wciągający w świat swoich lękowych wizji szkołę to dla niej kolejna z serii złych wiadomości. ©℗

ARTUR MAGNUSZEWSKI, HYDROLOG:

Wisła sobie poradzi

MAREK RABIJ: Czy powinniśmy się bać o Wisłę?

ARCH. PRYWATNE

ARTUR MAGNUSZEWSKI: Rzeka sobie poradzi. A wie pan dlaczego? Bo na szczęście nie zdążyliśmy jej w pełni uregulować.

Od kilkunastu dni co sekundę do rzeki wpadają 2,5–3 metry sześcienne ścieków. To mało? Zwłaszcza przy obecnych, niskich stanach wody?

Niewiele – jeśli weźmiemy pod uwagę nie stany Wisły, lecz wielkość jej przepływu, który w Warszawie sięga obecnie około 230 metrów sześciennych na sekundę, a dalej, w Kępie Polskiej, powyżej Płocka, wzrasta nawet do 380 metrów sześciennych na sekundę. Wystarczy porównać te wartości, żeby zrozumieć, że owszem, dojdzie do krótkotrwałego obniżenia parametrów czystości wody, ale o żadnym Czarnobylu, o którym mówią politycy, nie może być mowy.

Przy aktualnych wartościach przepływu zanieczyszczone wody dotrą do Płocka po mniej więcej 50–52 godzinach. Wisła na tym odcinku, jak już mówiłem, jest nieuregulowana, ma naturalną linię brzegową, płynie wolno i działa w zasadzie tak samo jak nowoczesna oczyszczalnia ścieków. Grube frakcje osiadają na jej brzegach i dnie, rozpuszczone związki fosforu i azotu wykorzysta fitoplankton i roślinność przy brzegach rzeki, a bakterie przy tej temperaturze szybko rozłożą zawieszoną w wodzie materię organiczną. Zimą taka sama awaria byłaby groźniejsza, bo niska temperatura wody ogranicza aktywność bakterii, a mniejszy dopływ światła słonecznego spowalnia fotosyntezę.

Ale nawet latem rzeka nie przefiltruje całego zanieczyszczenia w 50 godzin. Płock i Toruń nie ucierpią?

Nie. Po połączeniu z Narwią aż do Dobrzynia Wisła i Narew płyną jednym korytem obok siebie. Ich wody się nie mieszają ze względu na nieco inną gęstość. Płock ma akurat ujęcia na prawym brzegu Wisły, czyli po stronie, którą zajmują w korycie czyste wody Narwi.

Zatoka Gdańska też nie ucierpi?

Zanim zanieczyszczenia dotrą do Bałtyku, przejdą przez kilkaset kilometrów Wisły i sztuczny zbiornik – Jezioro Włocławskie. Natura będzie mieć dużo czasu, żeby sobie z nimi poradzić. Gdyby awaria Czajki trwała miesiące, sytuacja byłaby oczywiście groźniejsza, ale wciąż nie mielibyśmy do czynienia z katastrofą ekologiczną.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

PROF. ARTUR MAGNUSZEWSKI *jest hydrologiem. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim.*

W jakim języku mówić do PO

PAWEŁ BRAVO

Lider Obywateli RP Paweł Kasprzak chce startować do Senatu z jednego z warszawskich okręgów, gdzie kandydatem opozycji w ramach tzw. paktu senackiego jest Kazimierz Michał Ujazdowski. „Wystawiając Ujazdowskiego, zwłaszcza w Warszawie, przekroczono granice przyzwoitości na kilka sposobów, między innymi odbierając tutejszym wyborcom wybór i każąc im głosować na któregoś z dwóch pisowców" – twierdzi Kasprzak.

Mniejsza o epitety i o to, czy „nawrócenie" byłego czołowego polityka PiS jest trwałe (już raz zrywał z partią, by potem do niej powrócić). Ważne jest to, że akurat działacz Obywateli RP ma szczególne prawo, by kwestionować sposób, w jaki kierownictwo Platformy obsadza miejsca na listach, stosując często trudne do pojęcia kryteria (konserwatywny Ujazdowski w liberalnym epicentrum? Być może chodzi o głosy amerykańskiej Polonii, która jest przypisana do tego okręgu). I całkowicie lekceważąc różne formy obywatelskiej partycypacji w tworzeniu alternatywy dla autorytarnego pomysłu na rządzenie.

Obywatele RP już dwukrotnie – przed wyborami samorządowymi i europejskimi – przedkładali PO dobrze przemyślane projekty procedur prawyborów i konsultacji – coś więcej niż tylko wiecowe alibi dla kandydatów przywiezionych w teczkach. Obecnie zaś proponują debatę dwóch kandydatów do Senatu i ustąpienie tego, który uzyska potem słabsze wyniki w sondażach. Bez skutku. Być może „dywersja", jaką Kasprzak uprawia w Warszawie, to jedyny język, jaki zrozumieją Grzegorz Schetyna i jego podwładni. A edukacja Platformy w duchu większej otwartości na środowiska spoza zawodowej polityki powinna być dla opozycji równie ważnym celem jak odbicie parlamentu z rąk obecnie rządzących. ©℗

KRZYSZTOF SZLĘZAK

STRAŻACY OTRZYMALI ZGŁOSZENIE o pożarze o godz. 1.57 w nocy z piątku na sobotę, 30/31 sierpnia. Kiedy przyjechali na miejsce, ogień zajął już cały dach Domu Pomocy Społecznej im. Matki Teresy z Kalkuty w Lublinie, w którym mieszkało 109 osób. „Niektórych nie ma gdzie usadzić, więc wbiegamy z powrotem i znajdujemy stołówkę, zaczynamy wynosić krzesła z pierwszego piętra, ktoś zaczyna wyrzucać koce. Podjeżdżają autobusy do ewakuacji. Kobieta, którą okrywam kocem, pyta mnie, co teraz z nimi będzie" – relacjonował będący przypadkowo na miejscu fotograf Krzysztof Szlęzak. ©℗ MAG

Zełenski w Warszawie: na razie bez przełomu

WOJCIECH KONOŃCZUK

NA DŁUGO PRZED PIERWSZĄ WIZYTĄ NOWEgo ukraińskiego prezydenta w Polsce dla obu stron było jasne, że stosunki polsko-ukraińskie wymagają poprawy, w szczególności w sferze historycznej. W ostatnich tygodniach dyplomacja ukraińska wysyłała sygnały, że możliwe jest zdjęcie zakazu polskich prac ekshumacyjnych na Ukrainie, wprowadzonego ponad dwa lata temu. Kwestia ta stała się najsilniejszym hamulcem dla rozwoju dwustronnych relacji. W Warszawie prezydent Wołodymyr Zełenski zapowiedział, że Kijów jest gotów odblokować tę sprawę, ale konkretne ustalenia nie zapadły. Zamiast tego działalność ma zacząć grupa robocza ds. rozwiązania problemów historycznych. Trudno to uznać za oczekiwany przełom.

Przed wizytą Zełenskiego w naszym kraju we wpływowych ukraińskich mediach pojawiły się głosy ostrzegające przed „jednostronnymi ustępstwami wobec Polski". Choć nowy prezydent chce odróżnić się od swojego poprzednika, to należy oczekiwać raczej korekty niż radykalnej zmiany ukraińskiej polityki historycznej. Dla Zełenskiego relacje z Polską nie należą do spraw kluczowych. Jego priorytetem będzie zakończenie konfliktu w Donbasie, do czego potrzebuje przede wszystkim dobrych kontaktów z Berlinem i Paryżem, które odwiedził kilka tygodni wcześniej.

W rozmowach z prezydentem Dudą i premierem Morawieckim Zełenski skupiał się na kwestiach gospodarczych. Spory o historię zdominowały przekaz mediów, a w międzyczasie Polska stała się – pierwszy raz w historii – najważniejszym partnerem eksportowym Ukrainy. Uporządkowanie kwestii pochówków mogłoby uwolnić dalszy potencjał dla rozwoju współpracy. Choć atmosfera rozmów w Warszawie wyglądała na dobrą, to czas pokaże, czy się tak stanie. ©℗

Indonezja tłumi protesty w Papui

DODATKOWYCH SZEŚĆ TYSIĘCY żołnierzy i policjantów wysłały władze Indonezji do prowincji Papua i Papua Zachodnia, bogatych w surowce, gdzie od ponad dwóch tygodni trwają protesty niepodległościowe.
Masowe demonstracje zaczęły się 19 sierpnia, po rasistowskim ataku na papuaskich studentów we Wschodniej Jawie. W niektórych miejscach doszło do zamieszek. W Dżajapurze, największym mieście regionu, spłonęły urząd celny, biura państwowej firmy telekomunikacyjnej, sklepy i auta. Tłum czasowo zablokował dostęp do lotnisk w Dżajapurze, Fakfak, gdzie spłonął także targ, i w portowym Sorongu, gdzie z podpalonego więzienia uciekło ponad 250 osób. W Timice demonstranci zaatakowali hotel, w Manokwari – budynek lokalnego parlamentu. Doszło także do starć grup proindonezyjskich imigrantów z protestującymi.

W minioną niedzielę ujawniono materiał wideo pokazujący żołnierzy strzelających do demonstrantów w Deiyai. Są ofiary śmiertelne, których liczby nie da się zweryfikować, i dziesiątki aresztowanych. Władze zablokowały dostęp do internetu w całym regionie, w części Dżajapury wyłączono prąd, są też utrudnienia w działaniu telefonów. Zagraniczni dziennikarze i organizacje humanitarne mają zakaz wstępu do Papui, a nielicznym obecnym na miejscu aktywistom z trudem udaje się przesyłać na zewnątrz zdjęcia i informacje. Miejscowa policja zdelegalizowała protesty, nazywając je anarchistycznymi, a rząd wydaje się zdeterminowany, żeby je stłumić.

MAS AGUNG WILIS / NURPHOTO

Protestujący Papuasi, od 50 lat rządzeni z Dżakarty, oskarżają rząd o rutynowe łamanie praw człowieka i domagają się referendum niepodległościowego.

©℗ TOMASZ AUGUSTYNIAK z Malezji

Włochy: centrolewica za Salviniego

PO DRAMATYCZNYCH TARGACH Włochy zbliżają się do zatwierdzenia nowego rządu, w którym Ruch 5 Gwiazd (mający większość w parlamencie, ale nie w sondażach) podzieli się władzą z centrolewicową Partią Demokratyczną – zamiast, jak dotąd, z Ligą Matteo Salviniego. Aby zatrzeć wrażenie, że są tylko nowym klockiem w tej samej układance, demokraci upierają się przy „zerwaniu" – to znaczy maksymalnej zmianie nazwisk i programu rządu. Ale to trudne, bo nie tylko premier Conte pozostaje ten sam, ale też Ruch 5 Gwiazd prawie na pewno zachowa tekę wicepremiera dla swego szefa Luigiego di Maio.

Jedno jest pewne: powoli na lekką ulgę mogą sobie pozwolić Bruksela, Berlin, Paryż i rynki finansowe (Salvini, któremu nie udało się wywołać nowych wyborów, głosi, iż nowy rząd „ułożono w Biarritz", gdzie obradowała grupa G7). A także Watykan: Franciszek spotkał się w ubiegłym tygodniu z Contem, dając do zrozumienia, że podoba mu się każdy układ odsuwający od władzy ksenofobiczną Ligę, która na odrzuceniu wszelkiej pomocy dla uchodźców zbudowała jeden z filarów poparcia. ©℗ PAWEŁ BRAVO

Powrót odry

DANE SĄ ALARMUJĄCE: w pierwszej połowie roku w europejskim regionie Światowej Organizacji Zdrowia WHO (region obejmuje Europę, Rosję i kilka państw Azji Centralnej) zarejestrowano ok. 90 tys. przypadków odry – więcej niż w całym roku 2018. Cztery państwa (Albania, Czechy, Grecja i Wielka Brytania) utraciły status wolnych od choroby. Odpowiada za to spadek liczby szczepień, wywołany, jak ujął to dyrektor generalny WHO, „zaraźliwą dezinformacją" w internecie.

Odra to ostra wirusowa choroba zakaźna, szerząca się drogą kropelkową lub przez bezpośredni kontakt z zakażonym i jego wydzielinami. Aby w populacji utrzymywała się odporność zbiorowa, wskaźnik zaszczepialności musi być równy lub wyższy 95 proc. W Polsce, według Głównego Inspektoratu Sanitarnego, wśród dzieci w wieku 3 lat wynosi on 94 proc., a wśród dziesięciolatków (do niedawna w tym wieku podawano drugą dawkę szczepionki) – o punkt procentowy mniej. ©℗ ŻYM

Zamiast informacji

ŁUKASZ KWIATEK

W serwisie Katolickiej Agencji Informacyjnej ukazała się nota zatytułowana „Badania potwierdziły, że homoseksualizm nie jest wrodzony". Omawia ona największe jak dotąd badania genetyczne dotyczące homoseksualizmu, opublikowane w czasopiśmie „Science". Niestety, roi się w niej od błędów i przeinaczeń.

Naukowcy przeanalizowali ponad milion pojedynczych miejsc w genomie około 500 tys. osób i sprawdzili, czy u osób o tej samej orientacji seksualnej powtarzają się te same warianty genetyczne. Ustalono, że różnice genetyczne mogą wyjaśnić od 8 do 25 proc. różnic w zachowaniach seksualnych. Przyjrzano się także pięciu miejscom w genomie, które najsilniej łączyły się z orientacją homoseksualną. Łącznie pozwalały one wyjaśnić jednak zaledwie mniej niż jeden procent różnic w zachowaniach seksualnych.

Zdaniem KAI badania mają dowodzić, że „homoseksualizm nie jest wrodzony" oraz że „skłonności do osób tej samej płci są uwarunkowane przede wszystkim wpływami środowiska i kultury przy niespełna jednoprocentowym udziale genetyki". Nota sugeruje, że zachowania homoseksualne są „wytworem ideologii". To nieporozumienie. Dla biologów wpływami „środowiskowymi" są także hormony i przeciwciała matki oddziałujące na dziecko w okresie płodowym. A wiemy, że mają one związek z orientacją homoseksualną. Ponadto przeprowadzone dotąd analizy wielu badań naukowych nie wykazały związków pomiędzy orientacją homoseksualną a jakimiś doświadczeniami społecznymi.

Niestety, nota KAI została bezkrytycznie powielona przez wiele mediów. ©℗

Polscy i niemieccy biskupi: dbajmy o pojednanie

Z OWOCAMI POJEDNANIA należy postępować w sposób odpowiedzialny; nie wolno ich lekkomyślnie narażać ze względu na interesy polityczne. Dlatego w tym szczególnym momencie historycznym wzywamy, aby nasze relacje nigdy nie były naznaczone przemocą, wzajemnym podejrzeniem lub niesprawiedliwością" – napisali polscy i niemieccy biskupi w 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej w dokumencie „Ze wspólnej pamięci rodzi się inspiracja dla wspólnej teraźniejszości i przyszłości". „Pamiętamy o 6 milionach Polaków, w tym 3 milionach Polaków narodowości żydowskiej, którzy padli ofiarą zbrodniczego systemu nazistowskiego" – podkreślili biskupi. Wspominają także list z 1965 r. polskich biskupów do biskupów niemieckich z odważnymi słowami „wybaczamy i prosimy o przebaczenie". Dokument podpisali przewodniczący episkopatów: kard. Reinhard Marx i abp Stanisław Gądecki, oraz współprzewodniczący Grupy Kontaktowej Episkopatów Polski i Niemiec: abp Ludwig Schick i bp Jan Kopiec. ©℗ ASK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KREOWANI. Na konsystorzu 5 października Franciszek kreuje 13 kardynałów. Wśród nich znaleźli się: Hiszpan Miguel Ángel Ayuso Guixot, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego; Portugalczyk José Tolentino Medonça, bibliotekarz Świętego Kościoła Rzymskiego (zajmujący się m.in. teologią czułości); Luksemburczyk Jean-Claude Höllerich, przewodniczący Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej; Matteo Zuppi z Bolonii (na zdj.), nazywany biskupem bezdomnych; Michael Czerny SJ z Sekcji ds. Migrantów i Uchodźców Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Papież podkreślił, że „pochodzenie nowych kardynałów wyraża misyjne powołanie Kościoła". Według obserwatorów kreowani wpisują się we Franciszkowy model Kościoła – szpitala polowego, papież nie przywiązuje natomiast wagi do tradycji diecezji kardynalskich.

FRANCESCO PIERANTONI / / WIKIPEDIA.ORG

UWIĘZIENI. Nawet 70 tys. chrześcijan więzi reżim Korei Północnej. Uciekinierzy informują, że prześladowania wzmogły się w ostatnim roku: bezpieka poszukuje w domach Biblii i krzyży. Rozpoznani chrześcijanie są rozstrzeliwani albo trafiają do obozów.

BEZMYŚLNI. „Stworzyliśmy kryzys klimatyczny – napisał Franciszek w orędziu na Światowy Dzień Modlitw o Ochronę Stworzenia. – Jest to czas, aby zastanowić się nad tym, że nasze codzienne wybory w zakresie konsumpcji, przemieszczania się, zużycia wody, energii są często bezmyślne i szkodliwe".

FORUM

Achilles dostojny

„W MOICH STRONACH grało się w karty i z republikanami, i z komunistami" – mówił kard. Achille Silvestrini, gdy oskarżano go o ideologicznie wątpliwe kontakty. Watykański dyplomata, pracujący dla 7 papieży, zmarł 29 sierpnia w Rzymie. Miał 95 lat.

Pochodził z Brisighelli, małego miasteczka, które dało światu 8 kardynałów. Od 1953 r. pracował w rzymskiej kurii: Sekretariacie Stanu (jako „minister spraw zagranicznych"), Kongregacji ds. Kościołów Wschodnich.

Był politykiem w najlepszym tego słowa znaczeniu: cenił dialog, szanował przeciwnika, szukał kompromisu. Szczególną rolę odegrał w kontaktach Watykanu z krajami komunistycznymi oraz w negocjacjach pokojowych.

Angażował się też w politykę wewnątrzkościelną, dlatego ci, którzy dyplomacji nie cenili (lub byli w niej gorsi), oskarżali go o intrygi i spiski. Należał do grupy postępowych kardynałów, którzy w latach 1995–2006 spotykali się w szwajcarskim St Gallen, by dyskutować o koniecznych reformach Kościoła.

Był prawdziwym dostojnikiem Kościoła, co w delikatny, ale wyraźny sposób okazywał, a jednocześnie troskliwym opiekunem młodzieży. Stowarzyszenie Villa Nazareth, które pół wieku temu przejął po swym mentorze kard. Domenicu Tardinim, wspierało zdolnych studentów z ubogich rodzin. Dzięki niemu chrześcijańską i obywatelską formację zdobyło tysiące młodych Włochów (m.in. aktualny premier Giuseppe Conte).

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Nagrody, sądy i wyroki

MONIKA OCHĘDOWSKA

Eseistka oraz autorka „Tygodnika" Olga Drenda, poetka Małgorzata Lebda, prozaiczka Zyta Rudzka i tłumaczka Bogusława Sochańska zostały laureatkami tegorocznej, czternastej już, edycji Nagrody Literackiej GDYNIA. Nazwiska zwycięzczyń ogłoszono w piątek 30 sierpnia podczas uroczystej gali w Muzeum Emigracji w Gdyni.

Najwięcej emocji i najmniej entuzjazmu wzbudziły nominacje książek prozatorskich: niestety, wydaje się bardzo dużo słabych tekstów – przyznawała kapituła Nagrody na naszych łamach. Na tle wyróżnionych w tej kategorii debiutanckich książek Olgi Hund i Adelajdy Truścińskiej, „Krótka wymiana ognia" Rudzkiej, intymna spowiedź starzejącej się poetki Romy Dąbrowskiej, wypadła bezkonkurencyjnie. To jedna z najciekawszych kobiecych postaci w prozie ostatnich lat. Zmysłowa, choć także pełna napięcia i grozy, obnażająca wszechobecne okrucieństwo świata, jest także poezja Małgorzaty Lebdy. „Sny uckermärkerów" to kończący tryptyk poetycki tom opowiadający o odchodzeniu rodziców oraz niełatwych próbach powrotu do miejsca urodzenia. Podczas pisania nagrodzonej książki podróżowała także Olga Drenda. Jej „Wyroby" to inspirowany „Sztuką plebejską" Władysława Hasiora obszerny rejestr polskiej twórczości prowincjonalnej, w którym znalazły się wycięte ze starych opon łabędzie, betonowe żyrafy oraz nieforemne Koziołki Matołki zezujące ze ścian działkowych altanek. Z kolei w brawurowo spolszczonym z języka duńskiego przez Bogusławę Sochańską „Alfabecie" Inger Christensen każdy wiersz skupiony jest wokół innej litery.

Na chwilę przed ogłoszeniem decyzji kapituły NLG poznaliśmy także opinię Sądu Okręgowego w Pruszkowie na temat twórczości jednego z nominowanych. Dziennikarz i tłumacz Boba Dylana Filip Łobodziński wygrał proces przeciwko internautce, która zarzuciła mu, anonimowo, niesamodzielną pracę nad przekładem. „Okazuje się, że gdy pomówienie jest pozbawione podstaw faktycznych, sąd może dostrzec winę oskarżonej osoby i wymierzyć jej karę. Mamy obowiązki, ciąży na nas odpowiedzialność, ale mamy też prawa i możemy domagać się ich ochrony" – pisał po wyroku Łobodziński. ©℗

KULTURA W SKRÓCIE

DUŻO. Po 11 latach przerwy wracają Nagrody Mediów Publicznych. Zostaną przyznane w trzech kategoriach: obraz, muzyka i słowo. Wśród nominowanych znaleźli się między innymi Jarosław Marek Rymkiewicz, Andrzej Horubała, Antoni Libera i Andrzej Nowak. Laureaci otrzymają nagrodę w wysokości 100 tys. zł.

WIĘCEJ. Będą także podwyżki dla pracowników instytucji kultury – mniejsze i na razie tylko w Małopolsce. Porozumienie zawarte między zarządem województwa a związkowcami z Solidarności przewiduje kwotę 3,6 mln zł, która zostanie rozdysponowana do 22 instytucji. Kierownicy oraz pracownicy artystyczni będą zarabiać 4 tys. zł, a pozostali pracownicy od 3,2 do 3,5 tys. zł brutto.

MNIEJ. W kategorii „słowo" z pewnością nie należy dłużej promować poety Rafała Wojaczka, uznała podczas sesji Rady Miasta Mikołowa radna PiS Stanisława Hajduk-Bies: „Może są fascynaci, którzy lubią wulgaryzmy, brutalność, estetykę turpizmu, nie wchodzę w gusta. Jednak zarażać młodzież wulgaryzmami... Trzeba mieć pewien umiar. Ja w takiej poezji nie gustuję. Martwi mnie, że Instytut Mikołowski koncentruje się na osobie Wojaczka".

ANI, ANI. Nie ma natomiast wątpliwości co do dalszej działalności Studia Filmowego TOR, kierowanego dotąd przez Krzysztofa Zanussiego. Zostało ono zlikwidowane w związku z centralizacją produkcji filmowej w Polsce. Działalność zakończą też Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, Studio Filmowe KADR, Studia Filmowe ZEBRA, Studio Miniatur Filmowych i Studio Filmowe KRONIKA.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

JAKUB MAJMUREK
opowie Pawłowi Sulikowi o „Polityce" Patryka Vegi (tekst na s. 72) w Popołudniu Radia TOK FM w środę 4 września o godz. 16.20.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

PLANET / FORUM

HOPKINS, LAW, MALKOVICH, PRYCE. 8 nominacji do Oscara, 14 nominacji do Złotych Globów, Złota Palma, niezliczone nominacje do Emmy czy nagród BAFTA. Światową czołówkę aktorów niebawem do walki rzucą dwa wielkie studia filmowe: Netflix i HBO. Pole bitwy? Watykan! HBO zaprezentowało zwiastun drugiej odsłony głośnego serialu „Młody papież". W piuskach zobaczymy Jude'a Lawa i Johna Malkovicha. Już następnego dnia Netflix odpowiedział swoim zwiastunem. W filmie „Dwóch papieży" w Benedykta XVI wcieli się Anthony Hopkins, a Franciszka zagra Jonathan Pryce. Reżyserzy (Paolo Sorrentino w „Nowym papieżu", Fernando Meirelles w „Dwóch papieżach") gwarantują epicki pojedynek. Papiestwo, obok superbohaterów, okazuje się dla masowej wyobraźni jedną z najważniejszych instytucji, za pomocą których filmowcy wyjaśniają świat. ©℗ PATRYK STANIK

Starszy kuzyn Lucy

ODNALEZIONA kilka lat temu w Etiopii niemal kompletna czaszka australopiteka liczy 3,8 mln lat – poinformowali na łamach „Nature" Yohannes Haile-Selassie i współpracownicy. Badacze przypisali ją do gatunku *A. anamensis*, znanego dotąd wyłącznie z bardzo niekompletnych skamieniałości. Do tej pory sądzono, że ten starszy z dwóch znanych gatunków australopiteka stopniowo przekształcił się (biolodzy nazywają ten proces anagenezą) w gatunek *A. afarensis*, do którego należała m.in. słynna Lucy (jej skamieniały szkielet liczy ok. 3,2 mln lat). Teraz jednak zaczyna wyglądać na to, że historia była bardziej skomplikowana.

Opisana skamieniałość istotnie różni się m.in. od fragmentów kości czołowej australopiteka znalezionych w latach 80., pochodzących sprzed 3,9 mln lat. Sugeruje to, że ta druga skamieniałość należy do *A. afarensis*, a oba gatunki współwystępowały w tym samym regionie przez przynajmniej 100 tys. lat. Wciąż jednak możliwe, że *A. afarensis* wyewoluował z pewnej populacji *A. anamensis*, która oddzieliła się reprodukcyjnie. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

RATUJEMY WSZYSTKICH

KAMIL UZNAŃSKI / TOPR

ANDRZEJ GÓRKA, RATOWNIK TOPR:

Rażące zachowania, wszystkie te klapki i szpilki w górach, stanowią mniejszość naszych działań. Większość to wezwania zasadne. Nie jest tak, że ratujemy rozwrzeszczanych ludzi, którzy mają ogromne roszczenia.

BARTEK DOBROCH: Opadł kurz bitewny?

ANDRZEJ GÓRKA: Ciągle opada. Cały czas do jaskini i z powrotem transportowani są ratownicy próbujący wydobyć ciała. A jeśli chodzi o Giewont, to opadł i nie opadł. Co się tyczy turystów, którzy tam byli, to pewnie długo nie opadnie. Myślę tu nie tylko o problemach somatycznych, ale też psychicznych.

Użyłem wojennego sformułowania, bo ta terminologia często pojawiała się na ustach ratowników i poszkodowanych.

Sam w pewnym momencie zacząłem takie porównania powtarzać, bo rzeczywiście sytuacja przypominała tę z zamachu terrorystycznego – duża liczba osób poszkodowanych w niebezpiecznych dla nich i dla ratujących warunkach, przerażenie, zabici i ranni. Nie brakowało takich obrazków jak buty całkowicie rozerwane przez siłę tego gromu i ich właściciel odrzucony kilka metrów dalej, porozrywane plecaki, popalona odzież w taki sposób, że pod nietkniętą wierzchnią warstwą ta bliższa ciału była całkowicie spopielona. Były osoby, które straciły przytomność, miały ciężkie poparzenia, połamane kończyny, złamaną podstawę czaszki, rozerwane części ciała, wbite do mięśni kamienie. Gdy jedna osoba została porażona i spadła kilkanaście metrów w dół do Żlebu Kirkora, świadkowie wyciągnęli ją na bardziej płaski teren i zaczęli resuscytować. Wtedy te osoby po raz kolejny zostały porażone i porozrzucane.

Byłeś w pierwszym rzucie ratowników, który dotarł śmigłowcem na miejsce.

Kolega – Maciej Ziarko – będąc na dyżurze, zadzwonił do mnie z pytaniem,

Cisza po burzy. Zdjęcie zrobione pod koniec akcji ratunkowej na Giewoncie, 22 sierpnia 2019 r.

czy może wykorzystać mój osobisty sprzęt do resuscytacji, bo prawdopodobnie jest wielu porażonych. Słysząc, jaka jest sytuacja, pobiegłem na lądowisko. Znalazłem się tam niejako z „łapanki", z przypadku. W akcji jaskiniowej też przypadkiem byłem w pierwszym rzucie. Tam było trochę inaczej, bo nie dało się dotrzeć do grotołazów na czas. Na Giewoncie mieliśmy możliwość działania. Najgorsza byłaby konieczność obserwowania cierpienia i brak możliwości ruchu. Na szczęście burza, która wróciła na chwilę, jak już byliśmy na miejscu, nie rozwinęła się znów w tak masywną. Delikatnie nas tylko poraziło, ale bez obrażeń.

Tamten tydzień był najtrudniejszym we współczesnej historii TOPR-u?

Bez wątpienia. Mieliśmy działania w jaskini, standardowe wypadki plus największy wypadek: masowy, niebezpieczny dla wszystkich, angażujący bardzo liczne siły i środki toprowskie oraz zewnętrzne. Wszystkie możliwe ręce rzucone na pokład.

Ciężko przypomnieć sobie tak duże akcje, angażujące tylu ratowników.

W Tatrach masowy charakter mają z reguły wypadki lawinowe. Natomiast w lecie to rzecz rzadka. Choć było do przewidzenia, że ta strzelba na ścianie musi kiedyś wypalić, biorąc pod uwagę liczbę ludzi, która porusza się po Tatrach, często niezależnie od zasad kultury górskiej.

Jakie zasady są łamane najczęściej?

Choćby sprawdzanie pogody. Dziś nagle wszyscy z zaskoczeniem odkrywają aplikacje, które na bieżąco ją monitorują. A dostępność tego wszystkiego jest przecież ogromna. My jako ratownicy mamy bezwarunkowo nieść pomoc, nie jest ↦

↦ naszym zadaniem oceniać, ale wydaje się, że ludzie nie do końca wykorzystują dostępne możliwości.

Masowość przekłada się na liczbę wypadków?

Gdyby Giewont nie był masowo oblegany, może porażone byłyby dwie–trzy osoby. Albo żadna. Aczkolwiek w Tatrach można wskazać dużo miejsc o podobnej specyfice. Np. Orlą Perć i Rysy, gdzie taka katastrofa może wydarzyć się zarówno w lecie, jak i w zimie. Tam też występują nagłe trudności, brak możliwości oddalenia się od miejsca, w którym pojawiają się, dosłownie zatory ludzkie, kolejki na łańcuchach.

Wśród poszkodowanych byli tacy, dla których była to pierwsza wycieczka. Giewont to chyba nie najlepszy cel na rozpoczęcie przygody z górami?

To ta sama od lat historia: ktoś przyjeżdża do Zakopanego i od razu po wyjściu z samochodu lub pociągu idzie w góry. Zawsze wiązały się z tym problemy, zwłaszcza że jesteśmy w większości krajem nizinnym i ludzie nie mają gdzie nabyć kultury górskiej. To, że jest coraz więcej ludzi w górach, powoduje, że TOPR staje się też inną instytucją. Nie ma możliwości, aby był tylko organizacją ochotniczą. Teraz ciągle ktoś w górach jest i ktoś może potrzebować pomocy, więc TOPR stał się profesjonalną służbą.

Kto powinien ją opłacać? Czy nie same ofiary wypadków, a raczej ich ubezpieczyciele?

Z punktu widzenia TOPR-u najważniejsze jest utrzymanie całej tej machiny w gotowości: ratownicy, piloci, wyposażenie, śmigłowiec. Godzina pracy ratownika czy helikoptera nie jest wymierna, ponieważ największym kosztem okazuje się utrzymanie gotowości. Dużo lepszy jest dla nas scenariusz, wedle którego dostajemy stałe i pewne dotacje pozwalające nam spokojnie funkcjonować. Nie chcemy być zależni od systemu ubezpieczeń, który powoduje ogromną biurokrację i trudności w uzyskiwaniu pieniędzy.

„Powinno być tak jak na Słowacji" – piszą na forach ludzie po niemal każdym wypadku. Na Słowacji są obowiązkowe ubezpieczenia.

Horská Zachranná Služba finansowana jest w większości z budżetu, a w dużo mniejszym stopniu z ubezpieczeń. W dodatku to drugie źródło nie jest pewne.

Czyli mit?

Wypadałoby go podważyć. Ciągle słychać stwierdzenia, że ludzi należy karać za to, co w górach narobili. „A niech teraz płacą, skoro chcieli ryzykować".

To element wyższościowego dyskursu?

Tak to odbieram. To forma oceny ludzi. Karanie nie jest dobrą drogą. Wszyscy podejmują ryzyko, wszyscy podejmują złe decyzje. Ten sposób myślenia to efekt mocno zakorzenionego w Polakach podejścia liberalnego, wolnorynkowego, patrzenia na wszystko przez pryzmat pieniędzy i kapitału. Nie wszystko można wyrazić w pieniądzach i wynagrodzić pieniędzmi. Ten kapitalistyczny trend nie przystaje mi do ratownictwa. Tu chodzi o pomoc, zmniejszanie bólu, łagodzenie cierpienia, nieszczęścia, a nie o myślenie, jak finansowo chwycić za gardło.

Inne głosy: „W Alpach jak sam nie zadbasz o ubezpieczenie, zapłacisz bardzo wysoki rachunek".

Nie wszędzie w Alpach tak jest. Sposoby finansowania służb górskich są różne. Np. śmigłowce działające na zasadzie *stricte* komercyjnej muszą zarobić na siebie, wypełniając różne zadania: od wożenia turystów na heliskiing, przez dostarczanie towarów do schronisk, zwożenie śmieci, po loty ratownicze. Nie jest więc w Alpach rzadkością dłuższe oczekiwanie na śmigłowiec niż w Tatrach, gdzie ten śmigłowiec – służący wyłącznie do ratowania – finansuje państwo.

Nie mówiąc już, że w krajach takich jak Stany Zjednoczone czy Norwegia możemy się w ogóle na śmigłowiec ratowniczy nie doczekać.

W związku z tym, że ratownictwo górskie może być uznane za nieopłacalne, w niektórych miejscach na świecie nie jest ono odpowiednio rozwijane. A w Polsce jest na tak wysokim poziomie właśnie dlatego, że na co dzień nie musimy walczyć o pieniądze.

I spędzać więcej czasu w sądach niż na akcjach, co mogłoby mieć miejsce w sytuacji finansowania z ubezpieczeń?

To jest coś, czego nie chcemy. Wypełniania ogromnej liczby druków, z których będziemy musieli się tłumaczyć przed sądem, bo nieuchronna będzie walka między ubezpieczycielem a osobą poszkodowaną. Na tym to z reguły polega. Ubezpieczyciel bowiem żyje z tego, że nie wypłaca odszkodowań, a przyjmuje składki, wobec czego wiele z wniosków byłoby kwestionowanych. My musielibyśmy występować jako strona, tłumaczyć zakres, formę, rodzaj pomocy. Każda z tych czynności byłaby fakturowana. Chcielibyśmy działać zgodnie z zasadami sztuki i swoim sumieniem, a nie zastanawiać się, czy stać nas na użycie jeszcze jednego bandaża, wysłanie jeszcze jednego ratownika, czy jesteśmy finansowo w stanie zaryzykować jeszcze jeden lot. Nikt by nie chciał, żeby karetki w Polsce działały na tej zasadzie.

Dziś dostajecie 15 proc. zysku ze sprzedanych przez Tatrzański Park Narodowy biletów wstępu. Resztę daje państwo.

Otrzymujemy też wsparcie od sponsorów i Fundacji Ratownictwa Tatrzańskiego. Ten system działa, choć nie ukrywamy, że jako ratownicy chcielibyśmy zarabiać więcej i mieć możliwość przejścia na emeryturę nieco wcześniej. Bycie ratownikiem, gdy ma się ponad 60 lat, nie jest chyba ideałem. Nie chcemy sobie napchać kieszeni, mieć najlepsze samochody, ale zarabiamy tyle, że nie da się utrzymać z jednej pracy. Pracujemy gdzieś na drugi etat. To nie jest dobre, jeśli chodzi o nasze samopoczucie, gotowość do działania, często bywamy przemęczeni. Ostatnio nie mam czasu, żeby pójść w góry, na rower, odstresować się, pożyć normalnie, bo jestem na dyżurze albo jako ratownik TOPR-u, albo w karetce jako ratownik medyczny.

Zdecydowana większość ratowników to ochotnicy, ale jest też trzon ratowników zawodowych, do których należysz. Czy jest on wystarczająco liczny?

Przydałoby się co najmniej kilka dodatkowych osób. Żebyśmy nie musieli przez kilka miesięcy być na nadgodzinach. Żebyśmy mieli czas pójść z pracy na szkolenie, tak jak to powinny robić profesjonalne służby ratownicze. A co do ochotników, część to ratownicy bardzo aktywni, a część osoby, które z uwagi na

BARTŁOMIEJ JURECKI DLA „TP"

ANDRZEJ GÓRKA (ur. 1982) jest ratownikiem TOPR (złożył przysięgę w 2007 r.). Od 2009 r. ratownik zawodowy, pełni dyżur na śmigłowcu. Jest także przewodnikiem tatrzańskim. Filolog angielski oraz tłumacz książek (m.in. biografii „Elizabeth Hawley. Strażniczka gór" autorstwa Bernadette McDonald).

Każdemu, kto chodzi w góry, przytrafiło się zrobić w nich głupotę.
Ja też popełniłem wiele głupot. Nie w porządku byłoby, gdybym teraz tych ludzi oceniał, że popełnili błąd w ocenie pogody.

ograniczenia czasowe, miejsce zamieszkania czy pracę angażują się mniej. Praca rozkłada się głównie na ratowników zawodowych i czynnych ochotników. Jest rozdźwięk pomiędzy nazwą naszej firmy – Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe – a rzeczywistością. Tak naprawdę jesteśmy służbą profesjonalną z dużym wsparciem ze strony ochotników.

Zarabiacie mało, nawet w porównaniu z innymi mundurowymi, jak straż pożarna czy wojsko.

Nie chcę się licytować: kto ma więcej, kto mniej, kto się przy tym bardziej naraża. Chodzi o to, żebyśmy zarabiali takie pieniądze, które pozwolą nam się w Zakopanem utrzymać. A to jedna z droższych w Polsce miejscowości. Potrzebujemy być w stanie ekonomicznie funkcjonować, nie popadając w ekstremum, jeśli chodzi o godziny pracy. Nie chodzi o to, żeby ratownik pracował, łącząc obowiązki w TOPR-ze i poza nim, przez 450 godzin miesięcznie, sam stając się zagrożeniem dla siebie i innych.

Jakie są to zarobki?

Ja otrzymuję nieco powyżej 3 tys. zł, ale są osoby, które zarabiają zdecydowanie mniej z uwagi na to, że nie mają dodatkowych obowiązków. Jest wewnętrzny schemat dodatków, które pozwalają zarobić więcej, pracując więcej. Ale chcielibyśmy mieć spokój finansowy i czas dla rodziny, żeby też zabierać dzieci w góry. Chciałbym mieć czas na to, by pokazać córce, że chodzenie w góry jest fajne.

Pieniądze, o których mówisz, moglibyście w zaledwie kilka dni zarobić jako przewodnicy, instruktorzy narciarscy czy wspinaczkowi.

I większość z nas wie, jak zarobić większe pieniądze. Mimo to decydujemy się zarabiać mniejsze. Nie jestem teraz aktywnym przewodnikiem, bo bardziej czuję się potrzebny jako ratownik. Mamy poczucie, że państwo, gdyby chciało nas wynagrodzić, mogłoby to zrobić z dużą łatwością. Budżet nie doznałby większego uszczerbku, a nasza grupa zawodowa mogłaby lepiej wykonywać swoje obowiązki.

Bo poza tym jesteśmy w bardzo komfortowej sytuacji. Mamy śmigłowiec do dyspozycji nonstop w warunkach dziennych, stanowimy wszyscy zespół, zgraną ekipę, znamy się z pilotami, nie musimy jak niektóre służby współpracować z firmami zewnętrznymi, które działają wedle własnego algorytmu.

Przy takim natężeniu ruchu turystycznego w Tatrach sytuacja, że będziecie potrzebni w dwóch lub kilku miejscach naraz, może się powtarzać.

I na razie sobie z tym radzimy. Sytuacja na Giewoncie była absolutnie poza standardem. Dwa lub trzy wypadki jednocześnie wcale nie należą do rzadkości. Trzeba ustawiać priorytety, co jest bardziej, a co mniej pilne. W standardowej sytuacji wystarczy ekipa ze śmigłowca. Ratownik pokładowy, dwóch lub trzech dołowych. Nie raz, nie dwa okazuje się jednak, że działania wymagają większej liczby ludzi. Wtedy angażuje się ludzi z centrali, ze schronisk, wysyła SMS-y. Przychodzą ochotnicy, ratownicy zawodowi mający wolne. ↦

↦ **Masz podwójną perspektywę: ratownictwa górskiego i medycznego, którego sytuacja w Polsce jest kiepska.**

Ponieważ opiera się zwykle na samozatrudnieniu. Występuje dramatyczna asymetria: pacjent ma swoje prawa, a osoba, która ma dbać o te prawa, nie jest nawet chroniona kodeksem pracy. W TOPR-ze wszyscy jesteśmy zatrudnieni na etat. Daje nam to poczucie spokoju, co w pewnym wieku jest istotne, szczególnie w zawodzie, w którym łatwo się uszkodzić, utracić zdrowie, nie być zdolnym do dorabiania.

W relacji z pacjentem też się spotykacie z arogancją, z nadużywaniem wzywania pomocy, chociaż chyba jeszcze nie z przemocą.

Jeszcze nie. Zdarzają się nieprzyjemne sytuacje, ale to nie jest większość. Sytuacje chętnie kupowane przez media, rażące zachowania, te wszystkie klapki i szpilki w górach stanowią mniejszość. To nie jest tak, że ratujemy rozwrzeszczanych ludzi w klapkach, którzy mają ogromne roszczenia.

Masowa popularność Tatr przyciąga w nie jednak ludzi coraz mniej, a czasem w ogóle niedoświadczonych.

W „Dziennikach" Mrożka pojawia się takie zdanie, że „Polak jest indywidualistą stadnym". W Tatrach widzę to tak, że Polacy lubią iść tam, gdzie jest ich już dużo, i tam zaznaczać swoją indywidualność, postępować wedle własnych pomysłów. Tymczasem praktycznie żaden prawdziwy górski turysta nie poszedłby w wakacyjny dzień asfaltem do Morskiego Oka. Każdy z nas szukałby miejsca, gdzie jest trochę bezludnie, gdzie może doświadczyć przyrody, gór.

W statystykach TOPR-u jest coraz więcej nie tyle obrażeń wynikłych z upadków czy innych typowo górskich zdarzeń, ile po prostu zachorowań, które przypominają wezwania w zespołach ratownictwa medycznego. W miarę możliwości chcemy ludzi edukować, mamy programy profilaktyczne, które uruchamiamy, ale ogromna liczba ludzi przybywających w Tatry nie korzysta z tych materiałów, kieruje się własnym nosem.

TOPR siłą rzeczy musi się do tej sytuacji przystosować. Nie jesteśmy w stanie kreować wyborów trzydziestokilkumilionowego narodu.

Ciężko też oczekiwać, by ludzie, którzy przyjeżdżają na wakacje, dla relaksu, zaczęli masowo wstawać o piątej rano i wychodzić w góry o świcie.

Chociaż niewątpliwie wraz z pojawianiem się w Tatrach mas pojawia się też coraz większa grupa ludzi, których można nazwać turystami kwalifikowanymi, mającymi dużą świadomość. I wcale nie jest rzadkością, że gdy lecimy w Tatry bladym świtem, na Orlej Perci już są ludzie. Chcą pokonać trudne odcinki odpowiednio wcześnie, by zdążyć przed burzą. Zachowują się prawidłowo, są dobrze wyposażeni. To nie jest tak, że większość ludzi w Tatrach jest niekompetentna i nieprzygotowana. Jest coraz więcej ludzi, i to o najróżniejszym poziomie umiejętności.

Tak jak różnią się ich umiejętności, różnią się też akcje, które przeprowadzacie. Skręconą nogę na Kalatówkach i akcję w Jaskini Wielkiej Śnieżnej dzieli niemal wszystko.

Działając w ekstremalnych warunkach, można się spodziewać, że ewentualna pomoc też będzie ograniczona. Tak samo jak w Himalajach czy gdziekolwiek wysoko w górach. Każdy ma tam świadomość, że pomoc nie będzie dostępna w takim zakresie jak niżej. Będąc głęboko w jaskini, trzeba także mieć taką świadomość.

Byłeś w tych zaciskach?

Nie wchodziłem w najciaśniejsze miejsca. Jest to bardzo trudna część jaskini, trudno jest tam nawet dotrzeć, już nie mówiąc o dotarciu ze sprzętem ratowniczym. Ewakuowanie tamtędy ludzi w noszach wymagałoby wprost niewyobrażalnej pracy ratowników strzałowych, która jest czasochłonna i niebezpieczna.

Na czym polega jej niebezpieczeństwo?

Używanie materiałów pirotechnicznych w przestrzeniach zamkniętych sprawia, że może dojść do nieprzewidzianych zdarzeń. Przy najmniejszym błędzie ze strony pirotechnika on sam może doznać obrażeń. Może nastąpić nieprzewidziany obryw, co w jaskini zdarza się też samoistnie. Przy samej eksplozji dochodzi do powstawania gazów toksycznych, przy braku odpowiedniej wentylacji może dojść do zatrucia tlenkami azotu i tlenkiem węgla, co 500 m pod ziemią jest szalenie dużym ryzykiem.

Niedole masowości

BARTEK DOBROCH

W październiku tego roku TOPR ukończy 110 lat.

Przez ten czas górska turystyka przechodziła wiele przemian. Mariusz Zaruski powołał Pogotowie w 1909 r. jako dopiero czwartą górską organizację ratowniczą na świecie, co przyspieszyły w tym samym roku śmierć w lawinie współinicjatora TOPR-u kompozytora Mieczysława Karłowicza oraz wypadek wspinaczkowy siostrzenicy Marii Skłodowskiej, córki dwojga zakopiańskich lekarzy, Heleny Dłuskiej. Tatry były jednak wówczas oazą spokoju, odwiedzaną przez niezbyt jeszcze licznych turystów, wśród nich często znanych artystów oraz kuracjuszy, częściej wybierających się w doliny niż na szczyty. Pierwsze objawy masowości to dopiero dwudziestolecie międzywojenne, kiedy to dwukrotnie odbyły się tu narciarskie mistrzostwa świata i wybudowano kolejkę na Kasprowy Wierch. To w tym okresie zdarzyły się też pierwsze masowe wypadki. I były to także wypadki burzowe. 15 sierpnia 1937 r. porażenie piorunem na szczycie Giewontu spowodowało śmierć 4 osób. Dwa lata później, w ostatnie wakacje przed wybuchem II wojny światowej, na szczycie Świnicy doszło do najtragiczniejszego wypadku burzowego na terenie Tatr. Zginęło 6 osób.
Lata późniejsze – okupacja i komunizm – to okres ograniczenia turystyki. Może dlatego głosy, które po każdej serii wypadków lub po takiej tragedii jak ta na Giewoncie wzywają do

O jakich przestrzeniach mówimy?

O tak wąskich miejscach, że nie wszyscy są w stanie się tam wcisnąć. W niektórych, żeby przejść, trzeba ściągnąć kask.

W takich warunkach ratownicy pracują dzień i noc, więc tym bardziej zarzut, który się pojawił wobec TOPR-u, jest przykry.

Nasze prawo się amerykanizuje: jeśli jest ofiara, „musi być winny". Zdarzało się już wcześniej, że ratownikom ktoś zarzucał, iż źle ratowali?

W TOPR-ze powoli zaczyna się to dziać, w ratownictwie medycznym czy w medycynie sprawa jest już właściwie na porządku dziennym. To może znak czasu. Trudno powiedzieć, czy wynika to z zawiści czy z tego, że są prawnicy, którzy specjalizują się w uzyskiwaniu odszkodowań, w związku z tym zachęcają rodziny do występowania o nie.

Zawsze pojawiają się też po wypadkach głosy wzywające do wprowadzenia limitów wejść.

My stoimy na stanowisku, że zakazy muszą być sensowne i musi je mieć kto egzekwować. Bardziej zasadne wydaje się popularyzowanie wiedzy. Bo co: mielibyśmy stawiać płoty, szlabany?

RYSZARD RÓWNICKI / TOPR

„Ratownictwo górskie może być uznane za nieopłacalne, w niektórych miejscach na świecie nie jest ono odpowiednio rozwijane. W Polsce jest na tak wysokim poziomie właśnie dlatego, że na co dzień nie musimy walczyć o pieniądze". Na zdjęciu ćwiczenia TOPR, lipiec 2019 r.

ograniczenia masowości turystyki, mogą brzmieć niestosownie, nawet jeżeli przyświecają im dobre intencje. Zresztą, jak miałoby takie ograniczenie wyglądać w praktyce? Być może jedyną sensowną metodą mogłoby być podniesienie cen biletów do TPN. Ale nawet taka decyzja nie odciągnie większości chętnych od najpopularniejszych szczytów, i nie przyciągnie w niższe góry, w których wejście na szlak nie wymaga opłat. Masowość turystyki górskiej w Tatrach (i nie tylko w nich, bo dotyka w sezonie Karkonosze, Pieniny, a nawet puste do niedawna Bieszczady), która osiąga co roku niespotykane wcześniej rozmiary, jest przede wszystkim wypadkową poprawy sytuacji ekonomicznej rodzin oraz szerokiej i stosunkowo taniej oferty noclegowej Zakopanego, przyciągającej pod Tatry coraz więcej gości także z zagranicy. Z tą masowością, z której korzyści czerpią pod Tatrami tysiące ludzi, trzeba się raczej pogodzić, traktując ją jako kolejny „nieszczęsny dar wolności". Pękające w sezonie w szwach Zakopane nie ma pomysłu, a często nawet możliwości, by zatrzymać te masy w swoim obrębie lub w pozatatrzańskich okolicach. Zresztą trudno tego oczekiwać, jeśli celem są właśnie Tatry. Masowość sprzyja wypadkom, „owczemu pędowi", a czasem także arogancji wobec wiedzy ratowników czy przewodników. Choć bywa też, że – paradoksalnie – poprawia bezpieczeństwo. W odpowiedzi na zapotrzebowanie większa część Tatr objęta została już zasięgiem telefonii komórkowej, pomoc wezwać można także za pomocą aplikacji RATUNEK, inne aplikacje pozwalają monitorować na żywo pogodę i burze. „Niestety, nowoczesność ma drugą, ciemną stronę – psuje ludzi, rozleniwia ich i sprawia, że często nie potrafią realnie ocenić sytuacji" – pisze w książce „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć" Beata Sabała-Zielińska, podając przykłady największych grzechów turystów: traktowanie numeru alarmowego 601100300 jako infolinii pogodowej, śmigłowca jako taksówki czy wzywanie TOPR-u do oświetlenia drogi po zmroku. Pięć lat temu ratownik Andrzej Maciata skierował do turystów mocny apel z pozornie elementarnymi poradami:

- „prognozy się sprawdzają,
- jak grzmi w oddali, to zaraz będzie burza i będzie padał deszcz, nie minie nas, nie przejdzie bokiem, a piorun może nas porazić (...)
- śmigłowiec nie lata we mgle i w nocy,
- ratownicy nie są supermenami (...)

Ludzie, zlitujcie się, dajcie nam szansę was uratować!".

W 2018 r. liczba wypadków w Tatrach przekroczyła 600, ratownicy TOPR-u przeprowadzili 691 działań, 230 razy używając śmigłowca. Jeszcze więcej wypadków było w 2017 r. W obu tych latach zginęło w Tatrach po 15 osób. Tragiczny bilans ostatnich dni wakacji zwiększy zapewne ogólny bilans tegorocznych ofiar. ©

Doświadczeni turyści często też nie są bez winy. Czytając fora górskie, widzę mnóstwo wyższościowego stosunku do mas. Jedni mówią, że góry są dla wszystkich, a inni, że nie powinny być dla tych, którzy idą w nie w trampkach czy adidasach. Choć na większości naszych szlaków adidasy są wystarczające.

Obuwie sportowe świetnie się nadaje do chodzenia po górach, jak mówił nawet Włodek Cywiński [znany taternik i tatrzański topograf – BD]. Z niejednego, jak się kiedyś mówiło, „płaszczowca" wychodził taternik i z niejednego znudzonego na wycieczce do Kościeliskiej dzieciaka wychodził człowiek, który te góry doceniał.

Każdemu z nas, kto chodzi w góry, przytrafiło się zrobić w nich głupotę. Ja też popełniłem wiele głupot. Kompletnie nie w porządku byłoby, gdybym teraz tych ludzi oceniał, że popełnili błąd w ocenie pogody. Choć pewnie zdarza się przekląć pod nosem, gdy trzeba kogoś znosić nocą z gór. Czy będę ratował katolika, Żyda, czarnoskórego, czy jest to kobieta na Świnicy, która idąc w półbutach, spadła po zlodowaciałym śniegu, czy taternik, który się sypnął na Kazalnicy w ambitnym przejściu – nie może to mieć żadnego wpływu na to, jak udzielam pomocy.

I czy będziesz z kolegami dla tej pomocy podejmował ryzyko.

Ostatnie zdarzenia to sytuacje zwiększonego ryzyka nawet jak na pracę ratowniczą, w której zawsze licho nie śpi, a błąd czeka, żeby go popełnić. Ale tutaj, zarówno w tej burzy można było znacząco ucierpieć, jak i w jaskini jest ogromna liczba miejsc, w których każdy z ratowników może doznać poważnych obrażeń ciała. A nawet zginąć, bo dotarcie na miejsce trwa kilka godzin, wyjście kolejne kilka. Wszyscy boimy się o ratowników, którzy tam wchodzą, walczą na zmianę w pocie czoła, narażając siebie, słysząc zarzuty, że inni mogli to zrobić lepiej. Wszyscy jesteśmy w niemałym stresie, chcielibyśmy, żeby te ciała już wydobyto, sytuacja uległa rozwiązaniu, bo takie trwanie jest też męczące.

Wypadek na Giewoncie dla nas po 4–5 godzinach się skończył. Przeniosło się to na szpitale, oddziały ratunkowe. Już przy wcześniejszych porażeniach piorunem obserwowałem charakterystyczne objawy traumy psychicznej różnego rodzaju, zaburzenia zachowania. Bo burza w górach to niebywały stres. Nie ma ludzi, którzy by wzruszyli ramionami, będąc jej tak bliskim świadkiem, chyba że są to kompletni psychopaci. Sam to przeżyłem kiedyś jako przewodnik, idąc na Rysy ze skautami z Belgii. Potworna sprawa: poczucie bezradności i stres, który naprawdę można odchorować.

Kto z profesjonalistów nigdy nie dał się złapać przez burzę, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Zdarzyło mi się kiedyś wspinać na Kopie Spadowej, gdy w Dolinie Ciężkiej, po słowackiej stronie, była jakaś burza roku. A u nas nic, sucho, gdy za ścianą rozgrywało się piekło. Bywa i tak. Jeśli chodzi o klasyczne turystyczne porady, to nie ma w nich żadnych nowości. Trzeba się starać zdążyć przed burzą, czyli przed godzinami, w których ona ma większe szanse wystąpić. Ale wczoraj też mnie sprało gradem na rowerze na Słowacji.

Oceniamy, że ci ludzie powinni byli schodzić ze szczytu Giewontu przed burzą, ale z drugiej strony tworzą się tam zatory, korki na łańcuchach. Tam mogły być najróżniejsze sytuacje, od przejawów wielkiej głupoty po przejawy wielkiej szlachetności. Nie byłem świadkiem żadnych zachowań nikczemnych, a widziałem bardzo dużo zachowań szlachetnych. Ludzie sobie pomagali, pomijając już te resuscytacje, sprowadzali się nawzajem, opatrywali sobie obrażenia. Widziałem np. duże krwawienie z rozerwanej nogi – zaopatrzone podpaską. W zasadzie bardzo kreatywne, zadziałało, pomogło temu człowiekowi, który leżał pod samym krzyżem, w oku cyklonu. Jedna osoba miała całkowicie rozerwany but przez piorun, ktoś znalazł inny, włożył jej na nogę, zawinął chustą i sprowadzał tę osobę. To są bohaterowie. Anonimowi, cisi, nieprzygotowani na to. My, szkoleni do takich sytuacji, wyposażeni, przygotowani doświadczeniem, jesteśmy tu mniejszymi bohaterami.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

Chcesz pomóc TOPR?

Wpłać darowiznę na konto Fundacji Ratownictwa Tatrzańskiego TOPR:
BANK PEKAO SA
NR 72 1240 5165 1111 0000 5227 9621
lub przekaż 1% podatku, wpisując w rozliczeniu podatkowym nr KRS 0000030706.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics
Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" i Nowy Teatr zapraszają na pierwsze spotkanie z cyklu

TrzePak w Nowym

W dyskusji wokół wydania specjalnego **„Zwierzenia zwierząt"** udział wezmą Urszula Zajączkowska, Łukasz Lamża i Adam Robiński.

Do zobaczenia we **wtorek 24 września o godz. 19.00** w Nowym Teatrze przy ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie.

Liczba miejsc ograniczona. Bezpłatne wejściówki dostępne na **powszech.net/trzepak**

NOWY TEATR

Wydanie specjalne do kupienia tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/zwierzenia

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

PAWEŁ

Śpiewak: *Zmienny Bóg*

Bóg zmienił zdanie, użalił się nad mieszkańcami Niniwy i nie zesłał na nich nieszczęścia. „Jonaszowi bardzo się to nie podobało, tak że się rozgniewał" (4, 1). Jakże trudno postępować wedle wskazówek i nakazów Boga, jeśli On zmienia swoje zdanie. Jakże myśleć o Bogu, który bywa zmienny, a jak czytaliśmy w jednym z midraszy, tworzył i niszczył kolejne światy, nim powołał do istnienia świat w tej postaci, jaką my znamy. Jakby z zewnątrz przyglądał się swoim dziełom niczym artysta, który z dystansu rozpoznaje swoją pracę.

Bóg, szczególnie w Księdze Rodzaju, raduje się, smuci, bywa gniewny albo zrozpaczony. Ma wszelkie cechy człowiecze. Poza jedną: nic nam nie wiadomo o śmiechu czy poczuciu humoru Boga. Nie wiemy, czy tworząc Lewiatana, bawił się tym potworem i dziwił, że takiego okropnego zwierza ulepił. Humor nie jest jednym z atrybutów Boga.

Jonasz stanął przed poważnym wyzwaniem teologicznym. Musiał w sobie rozważyć, kim jest jego Bóg i czy należy się Go słuchać. Wiemy z cytowanego wcześniej zdania, że nie lubił Boga o zmiennym obliczu. Wiedział, że Bóg jest miłosierny, dobry, opiekuńczy, ale nie chciał mieć do czynienia z Bogiem o niestałej woli.

Tymczasem zmiana jest wpisana w dzieła, jakie Bóg stworzył i o których po wielekroć mówił, że są dobre. Dziesięć powiedzeń o stworzeniu świata kończy nasz Pan zadowolony z siebie i zadowolony ze swojego dzieła. Rychło jednak okazuje się, że to zadowolenie nie jest wcale tak oczywiste i stałe. Pierwszy problem, jaki Elochim napotyka, wiąże się z kobietą. Zobaczył samotność Adama i uznał, że potrzebna jest towarzyszka i to ona niesie w sobie życie. Pierwsze ćwiczenie z pierwszym człowiekiem też zostało rychło porzucone. Adam riszon był hermafrodytą. Drugi człowiek, opisany w drugiej opowieści o stworzeniu świata, pokazuje go jako niewinnego samca. Bóg zmienia swój stosunek do ziemi, ludzi, półludzi, gigantów, stworzeń żyjących i latających powiadając, że zostały zarażone ludzkim złem. Wszystko – poza Noem i zwierzętami w arce – skazał na zagładę. Tak się stało, co oznacza, że z pierwszym światem coś nie poszło wedle woli Najwyższego.

Trzeba było zmienić wiele i niemal zaczynać od początku, by więcej nie powtórzył się potop. Noe wyszedł z arki i z rytualnych zwierząt złożył Bogu ofiarę. Dym i zapach doszedł do nozdrzy pana Boga. Musiał się w tym momencie Bóg uśmiechnąć. Poczuł się zadowolony i zawarł przymierze z ludzkością zwane dzisiaj przymierzem Noahickim. Powstał porządek prawa. Rozświetlił na niebie piękną tęczę na znak pojednania i przyszłości. Tego dnia Jego łaskawość dla ludzi była nieskończona. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Wszyscy jesteśmy Onezymami*

Luter radzi czytającym List do Filemona, żeby próbowali utożsamić się z niewolnikiem Onezymem. Nie wiemy, z jakiego powodu odszedł on od Filemona ani jak poznał Pawła, który tak pisze: „Chociaż mam pełną swobodę nakazywać ci co stosowne, wolę jednak prosić cię w imię miłości, bo taki już jestem ja, Paweł, starzec, a teraz i więzień Chrystusa Jezusa. Wstawiam się za moim dzieckiem, które zrodziłem w więzieniu, za Onezymem (...) Może po to oddalił się od ciebie na pewien czas, żebyś go z powrotem odzyskał na zawsze. Ale już nie jako niewolnika, lecz (...) jako umiłowanego brata (...). Jeśli więc poczuwasz się do łączności ze mną, przyjmij go jak mnie. A jeśli w czymkolwiek cię obraził lub jest ci coś winien, policz to na mój rachunek".

Wielu naszych uczonych w Piśmie twierdzi, że coś niedobrego musiało wydarzyć się między panem i jego niewolnikiem, skoro Paweł poczuwa się do obowiązku wynagrodzenia Filemonowi strat spowodowanych przez Onezyma. Wiemy również, że z czasem Onezym zostanie współpracownikiem Pawła i prawdopodobnie biskupem Efezu. Filemon zaś, wraz z żoną Appią i synem Archipem, za wiarę w Chrystusa zapłaci życiem. Wszyscy oni są czczeni jako święci w Kościele wschodnim i zachodnim. Co dzisiaj mają do powiedzenia Kościołowi? Wierzymy przecież w świętych obcowanie, tzn. w realną więź łączącą dawne i obecne pokolenia chrześcijan.

Bez większego ryzyka można powiedzieć, że Paweł, Filemon i Onezym, a za nimi Marcin Luter, przypominają, byśmy po chrześcijańsku podchodzili nie tylko do „naszych winowajców", ale pamiętali, że my, jak Onezym, też nimi jesteśmy. Też skrzywdziliśmy Boga w ludziach. To prawda, że wielkoduszność Pawła i Filemona sprawiła, że Onezym „odmienił swoje myślenie", czyli po Chrystusowemu zaczął patrzeć na rzeczywistość. Do tej przemiany jednak by nie doszło, gdyby nie uznał swojej winy i nie przyjął przebaczenia.

Codziennie modlimy się „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Warto dorzucić jeszcze prośbę: za siebie samego jako winowajcę i za tych, których skrzywdziliśmy, i prosić ich oraz Boga o odpuszczenie naszych grzechów. Niech skrzywdzeni przez nas, i to w imię Boga, ojczyzny i honoru, nie cierpią na próżno i nie czekają w nieskończoność, kiedy wreszcie uznamy naszą winę i przyjmiemy od nich znak przebaczenia i pokoju. Nie zasłaniajmy się przed nimi gładkim powiedzeniem, że szanujemy godność osoby ludzkiej, a walczymy tylko z grzechem i grzeszną ideologią. Kamień i ślina ranią i uśmiercają człowieka, nie ideologię. Nienawistnym ideologiom oślinione kamienie bardzo smakują. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Świętość nie jest brakiem

Cierpliwość jest matką wszystkich cnót.

KATARZYNA ZE SIENY

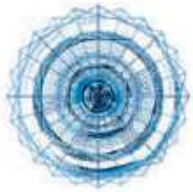

Żadne zło nie jest równe nienawiści. Żadne umartwienie nie dorówna cierpliwości.

ŚIANTIDEWA

Wybrał PIOTR SIKORA

Zaprosiły mnie niedawno łódzkie Siostry Matki Teresy z Kalkuty. Obchodziły swoje patronalne święto – wspominając tajemnicę Niepokalanego Serca Maryi. Tę tajemnicę w liturgii Słowa objaśniała Ewangelia o odnalezieniu 12-letniego Jezusa w świątyni jerozolimskiej (zob. Łk 2, 41-52), zamykająca się stwierdzeniem: „A Matka Jego zachowywała wszystkie te słowa w swoim sercu".

Zdanie to odsłoniło przed nami poruszającą treść: skąd się bierze i na czym polega świętość serca Maryi? Co to znaczy i jak to się dzieje, że Jej serce nie tylko jest (w punkcie wyjścia), ale również pozostaje (za Jej życia) niepokalane?

Nie chodzi o to, czego w tym sercu „nie ma" (grzechu, zła, upodobania w pokusie). Chodzi o to, co w nim jest. Serce Maryi jest wypełnione Słowem Bożym, zatrzymanym z pełną uwagą i miłością. Tym większą, im bardziej Słowo wydaje się na ten moment trudne czy wręcz niezrozumiałe – tego, co Jezus powiedział Jej i Józefowi wtedy, gdy Go znaleźli, nie zrozumiała ani Ona, ani Jej mąż. Ale... zatrzymała w sercu Słowo, które miało się rozjaśnić dopiero za 20 lat (kiedy znów miała Go stracić i po trzech dniach odnaleźć).

Świętość nie jest pustką, nie jest w pierwszym rzędzie bezgrzesznością. Jest komunią, wspólnotą z Tym, który jest po trzykroć Święty, i który udziela się nam na wiele sposobów, a pierwszym z nich jest Słowo. Pustka nie jest żadną świętością. Jest stanem dramatycznym, przywołującym demony: „Gdy duch nieczysty opuści człowieka, błąka się po miejscach bezwodnych, szukając spoczynku, ale nie znajduje. Wtedy mówi: »Wrócę do swego domu, skąd wyszedłem«, a przyszedłszy zastaje go niezajętym, wymiecionym i przyozdobionym. Wtedy idzie i bierze z sobą siedmiu innych złych duchów złośliwszych niż on sam; wchodzą i mieszkają tam. I staje się późniejszy stan owego człowieka gorszy, niż był poprzedni" (Mt 12, 43-45).

Chcesz być święty? Nie pytaj o to, czego nie masz w sercu; zapytaj o to, co w nim masz. Ile masz w nim Bożego Słowa. Badania socjologów religii w Polsce pokazują ciągle tę właśnie słabość: nie jesteśmy „ludźmi Słowa" – nie modlimy się Biblią; nie czytamy Jej; nie nosimy Jej ze sobą. Nawet na posiedzeniach Konferencji Episkopatu ma ją przy sobie, być może, co dziesiąty biskup...

W konsekwencji to nie Biblia jest naszym pierwszym i podstawowym kodem myślenia; nie ona wyznacza pierwsze scenariusze naszego reagowania na to, co się obok nas dzieje w świecie. Nie ona dostarcza nam modelu świętości. To jest prawdziwa nasza bieda.

Tak często i łatwo mówimy o sobie i o naszym Kościele, że jesteśmy „maryjni"; i że nasza polska droga do Jezusa wiedzie przez Maryję. Oby! Ewangelia pokazuje nam Maryję wyraźnie jako Uczennicę Słowa: zasłuchaną w Nie, modlącą się Nim, i pragnącą, by się Ono na Niej wypełniło. Daj nam, Boże, konsekwencję, na tej maryjnej drodze. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (8 – 15 IX)

23. niedziela zwykła: Mdr 9, 13-18; Ps 90; Flm 9b-10. 12-17; Łk 14, 25-33;
Poniedziałek: Kol 1, 24 – 2, 3; Ps 62; Łk 6, 6-11;
Wtorek: Kol 2, 6-15; Ps 145; Łk 6, 12-19;
Środa: Kol 3, 1-11; Ps 145; Łk 6, 20-26;
Czwartek: Kol 3, 12-17; Ps 150; Łk 6, 27-38;
Piątek: 1 Tm 1, 1-2. 12-14; Ps 16; Łk 6, 39-42;
Sobota: Lb 21, 4b-9; Ps 78; Flp 2, 6-11; J 3, 13-17;
24. niedziela zwykła: Wj 32, 7-11. 13-14; Ps 51; 1 Tm 1, 12-17; Łk 15, 1-32.

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

Krzysztof Katkowski, Warszawa, sierpień 2019 r.

SZKOŁA ZDZIECINNIAŁA

KRZYSZTOF KATKOWSKI, LICEALISTA:

Jeśli nie wylądujesz w placówce ze świadomymi nauczycielami i możliwością mądrego profilowania nauki, to jesteś skazany na realizowanie się w kontrze do tego, co dyktuje podstawa programowa.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Po co Ci szkoła?

KRZYSZTOF KATKOWSKI: Z grubsza po to, po co ją wynaleziono: do edukowania. Jestem z klasy biologiczno-chemicznej, więc nie lekceważę roli szkoły jako przekaźnika wiedzy. Budowę pantofelka – i wiele innych rzeczy – poznałem właśnie tu. Ale szkoła to dla mnie przede wszystkim przestrzeń nawiązywania relacji. I poznawania świata, rozumienia go. Ważne przy tym, by nie tłamsiła, tylko w tym poznawaniu pomagała.

Twoje pomagały czy tłamsiły?

Chodziłem do katolickiego przedszkola, które wspominam jako tłamszące. Mają tam ustalony szablon – nawet jak masz wadę wymowy, wyglądasz inaczej, to możesz zostać potraktowany jak ktoś inny, czyli „nienormalny". Kolega, który chodził później do podstawówki prowadzonej przez te same zakonnice, wspominał, jak na uwagę, że pochodzimy od małp, spotkały go szyderstwa i pytania, czy naprawdę sądzi, że jego rodzice są szympansami...

W podstawówce spotkałem kilku dobrych nauczycieli. W gimnazjum, w „Niemenie" na Saskiej Kępie, też zdarzało mi się trafiać na nauczycieli wspierających. Jedna z polonistek pożyczyła mi opowiadania zebrane Cortázara, które wywarły na mnie ogromne wrażenie.

Realizujesz projekt związany z filozofem i pisarzem Stanisławem Brzozowskim, pisujesz do „Krytyki Politycznej", angażujesz się społecznie. Robisz to wszystko dzięki szkole, niezależnie od szkoły czy wbrew szkole?

Wybieram odpowiedź środkową: niezależnie od szkoły, bo nikt mi w tym wszystkim ani specjalnie nie pomaga, ani nie przeszkadza. Choć to pierwsze czasami tak: spotkania odbywają się jednak na jej terenie. Miałem okazję zapoznać się z ludźmi ze światów, które znałem tylko z mediów. Z przedstawicielami „Krytyki", do której później trafiłem, „Więzi" czy „Kontaktu", ale też np. konserwatywnego Klubu Jagiellońskiego czy „Teologii Politycznej". Te spotkania pomogły mi zobaczyć świat jako coś znacznie bardziej skomplikowanego, niż sądziłem.

Zrobiłem w mojej szkole cykl spotkań popularyzatorskich, które mniej lub bardziej odchodziły zresztą od samej postaci Brzozowskiego.

Skąd fascynacja Brzozowskim?

Można powiedzieć, że był mi bliski, zanim go poznałem. Zawsze odrzucało mnie wpatrywanie się Polaków – w tym również mi bliskich – w przeszłość. Nieumiejętność wzięcia odpowiedzialności za rzeczywistość, a zwracanie się ku mitom.

W pierwszej klasie warszawskiego Liceum im. Tadeusza Czackiego, do którego chodzę, przystąpiłem do olimpiady z języka polskiego. W finałowym etapie wybrałem na ustną prezentację temat z Brzozowskim. Fascynowało mnie to, że pchał do działania tak wielu ludzi. A później coraz głębiej wchodziłem w jego życiorys. Zaintrygowało mnie, że jego krótkie życie przypadło na przełom wieków XIX i XX, a wiele z tego, o czym pisał i mówił, jest aktualne do dziś. W „Płomieniach" poruszał nie tylko problem polskiej zdziecinniałości, ale też np. pedofilii w Kościele.

A wracając do pytania o źródła: moje zainteresowania zawdzięczam pewnie bardziej domowi, atmosferze sprzyjającej lekturom, ale na plus szkole trzeba zaliczyć, że tej mojej ciekawości najwyraźniej nie stłamsiły.

To standard polskiej edukacji?

Nie. W tzw. przeciętnej szkole, pierwszym lepszym liceum, nie miałbym czasu na zajmowanie się Brzozowskim czy pisanie, a jeślibym ten czas jednak znalazł, pewnie na to samo pytanie odpowiedziałbym inaczej: że robię to wszystko wbrew szkole.

Ale przecież to, co robisz, to nic innego jak poznawanie świata, nauka, rozwój.

W wielu szkołach to nie ma znaczenia: programowe przeładowanie to jeden z największych problemów naszej edukacji. Jeśli nie wylądujesz w placówce ze świadomymi nauczycielami i możliwością mądrego profilowania nauki, to jesteś skazany na realizowanie się w kontrze do tego, co dyktuje podstawa programowa. Albo wręcz na sytuację, w której samorealizacja staje się czymś niewykonalnym.

Nawet w liceach z rankingowej czołówki uczniowie nie znajdują często czasu na nic poza „programową" nauką. Szkoła ma nas uczyć dojrzałości, podejmowania decyzji, tymczasem jesteśmy zmuszeni do przesiadywania i wkuwania materiału. Tego samego albo mniej więcej tego samego dla wszystkich.

Polska szkoła ma za nic indywidualny rozwój?

Na pewno nie wspiera młodych ludzi w tym, co jest w naszym rozwoju najważniejsze: w osiąganiu dojrzałości, także intelektualnej i emocjonalnej. Np. następuje konsekwentny odwrót od Gombrowicza, zgodnie z nowym kanonem „Ferdydurke" ma być omawiana tylko we fragmentach. Tymczasem w hiszpańskim tłumaczeniu „Pornografii" jest to autor zestawiany z Kafką czy Joyce'em. I właśnie twórczość Gombrowicza byłaby świetnym pretekstem do rozmowy o dojrzałości czy niedojrzałości.

Ale nie chodzi mi wyłącznie o tak czy inaczej skonstruowany program lub kanon lektur. Mój ulubiony przykład ilustrujący zjawisko dotyczy przerabiania „Lalki" Bolesława Prusa. Ta książka daje niesłychane możliwości ciekawych dyskusji, np. o tzw. postawie romantycznej, z której autor się podśmiewa, o podejściu do życia, dojrzałości, nowoczesności. Tylko że w większości liceów na ten temat cisza. Króluje sztampa i pytanie: „Czy uważacie, że Wokulski naprawdę kochał Izabelę?". Jedni odpowiadają, że kochał, inni, że nie kochał. Koniec lekcji, kropka. A jest to przecież świetna okazja, by pokazać, że naprawdę wielka literatura też może nas uczyć, jak żyć. Jeśli nie dostaniesz odpowiednich wzorców w domu, to ze szkoły wyjdziesz wyposażony w archetyp Stasia Wokulskiego...

Czyli problemem są nauczyciele?

Oczywiście nie wszyscy. Z drugiej strony tych innych staram się zrozumieć: gdybym miał za tak niewielkie pieniądze użerać się po kilka godzin dziennie z takimi jak ja, to być może nie chciałoby mi się silić na nic poza szablonem (*śmiech*).

Napisałeś tekst „WOS, WOS, WOS na ulicach" dla „Krytyki Politycznej", inspirowany strajkiem nauczycieli.

Choć na same lekcje WOS-u nie chodzę.

Bo?

Bo nie chciało mi się słuchać nudnawego wykładu o tym, na czym polega ↦

system boloński czy jaka jest struktura systemu sądowniczego w Polsce. WOS-u i tak muszę się uczyć, przesiadując w „Krytyce", mając do dyspozycji lektury z zakresu myśli politycznej.

Jakie jeszcze choroby toczą szkołę?

Wszelkie stereotypy na temat nas, uczniów. I związany z tym brak poważnego traktowania młodych ludzi. Najlepszym przykładem jest rozpowszechniony ostatnio szeroko strach przed „seksualizacją", która zagraża nam ponoć w związku z edukacją seksualną. Tylko że w polskiej szkole ta edukacja w zasadzie nie istnieje, „seksualizacja" zaś jest realnym zagrożeniem, ale występującym zupełnie gdzie indziej: w marketingu, reklamie, popkulturze. Tego już wielu dorosłych, w tym polityków, publicystów czy nauczycieli w ogóle nie zauważa. I to nie tylko dlatego, że ich postrzeganie świata wyznacza ideologia. Również z tego powodu, że zwyczajnie nie nadążają za rzeczywistością. Wolą często swój zmyślony, zdziecinniały światek, gdzie wszystko jest ułożone tak, jak oni tego chcą. Może właśnie dlatego w Polsce nie umiemy dialogować?

Napisałeś na portalu ngo.pl: „Męczy mnie już słuchanie, kim jestem w oczach tej czy innej opcji – czy za kogo mam sam się uważać. Dużo słyszę w mediach o sobie – rzadziej to mnie się dopuszcza do głosu".

Bo tak jest, również w kontekście reformy edukacji. Jeśli już, to jakieś pojedyncze zdania uczniów w tekstach dziennikarzy. Nie widziałem wywiadów z młodymi ludźmi, artykułów samych licealistów, uczniów wypowiadających się na ten temat w telewizyjnym studiu. Teraz, przy okazji Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, rzeczywiście młodzi zostali wpuszczeni do tego świata, co daje jakąś nadzieję.

No to pytam Ciebie, licealistę i absolwenta wygaszonego już gimnazjum: po co była reforma edukacji?

Żeby pokazać wyborcom, że „coś zrobiliśmy". W rządach populistycznych wiele rzeczy robi się po to, by pokazać, że „państwo działa", w dodatku działa „na korzyść obywatela". Typowa pokazówka na potrzeby nie tylko elektoratu PiS, ale wszystkich – a jest ich sporo – którzy uważali, że powinien wrócić stary podział na podstawówkę i liceum. Reforma w tym kształcie jest bez sensu – po co niszczyć, jak można poprawić? Do tego ta zmiana została przygotowana i wprowadzona na kolanie.

Może jednak czteroletnie liceum to dobry pomysł?

Znam wielu ludzi, którzy rzeczywiście bardzo źle wspominają czasy gimnazjum. A może jest tak, że źle kojarzy im się akurat ten okres życia – wieku 13–15 lat, a więc największych emocjonalnych huśtawek – i automatycznie odnoszą go do szkoły?

Mnie i wielu moim znajomym gimnazjum wyszło na dobre. Byłem w nie najlepszej podstawówce, kolejna szkoła dała mi możliwość fajnego rozwoju, sprofilowania. Zmieniłem środowisko, poznałem nowych ludzi, mogłem się od nowa wykazać. To był świeży impuls.

Podwójny rocznik w liceach to problem?

Naturalnie, bo w wielu szkołach będzie się odbywała praca na dwie zmiany. Co z zajęciami dodatkowymi? W naszym liceum mamy np. fantastyczne koło astronomiczne, które dostało nagrodę za odkrycie dwóch planetoid. Kiedy to koło ma się teraz odbywać, skoro lekcje będą trwały do 19? I jak osoba mieszkająca poza Warszawą ma na nie uczęszczać? Co z nauczycielem, który o tej 19 będzie wykończony? To ludzi tylko przemęczy.

Jak oceniasz reformę programową?

Nie śledziłem nowych podstaw programowych, ale przy okazji dyskusji o kanonie lektur i przy okazji wprowadzania zmian do tego kanonu, z tendencją, by wrzucać na listę jak najwięcej bogoojczyźnianych autorów kosztem chociażby Miłosza, można było odnieść wrażenie, że dokonuje się wyraźna zmiana. Zmiana, która na pewno nie będzie sprzyjać zachęcaniu nauczycieli do tego, by nowocześniej podchodzili do rozmowy z nami.

Uczniowie powinni protestować, jeśli uważają, że w systemie szkolnym dzieje się źle?

Powinni, w „Czackim" napisaliśmy zresztą list popierający strajkujących wiosną nauczycieli. Inna sprawa, że był to już końcowy etap strajku, i że list podpisało początkowo tylko 40 uczniów, a dopiero później – gdy było już wiadomo, że akcja się kończy – dopisało się więcej osób.

Dlaczego nie udało się przekonać większej liczby?

Pewnie niektórzy byli przeciw strajkowi. Inni się być może przestraszyli, bo – będąc w klasie maturalnej – planowali swoją przyszłość, np. na zagranicznych uniwersytetach. I nagle zorientowali się, że ten strajk może zaburzyć ich plany. Jestem zwolennikiem idealistycznej zasady, by przedkładać dobro wspólne ponad własne, ale rozumiem te osoby. Sam nie wiem, jak bym się zachował, gdybym był wówczas w klasie maturalnej.

Nauczyciele odeszli od tablic, a nawet odstąpili od egzaminowania. To było *fair*?

Na tym w sumie polega strajk. Co innego mieliby zrobić? Strajkować w weekendy? Tak zwrócili uwagę na problem – a jak to wykorzystały niektóre środowiska, to już inna sprawa.

W „Czackim" zorganizowaliście Tęczowy Piątek. To inicjatywa Kampanii Przeciw Homofobii, w którą włączyły się niektóre szkoły.

Sporo uczniów – ale też nauczycieli – ubrało się tego dnia na tęczowo. Było też kilka osób przeciwnych – ci ubrali się na czarno. Ktoś wezwał TV Republika, przyjechali też dziennikarze TVP i portalu Niezależna.pl. Ci ostatni opublikowali komiczny artykuł: osoby ubrane na czarno, a więc przeciwne Piątkowi, skojarzyły się chyba reporterom z Czarnym Protestem, bo w artykule napisano, że demonstrujący byli ubrani na tęczowo i na czarno. Nawet puszczony na radiowęźle utwór Davida Bowiego, którego wielu młodych ludzi słucha bez żadnych podtekstów, ułożył się im w spójną całość, bo napisali, że to „ikona nie tylko artystyczna, ale także idol homoseksualistów, przecierający im szlak swoim coming-outem na początku lat 70." (*śmiech*).

Niestety, po tamtym wydarzeniu i medialnej histerii na pozalekcyjne szkolne inicjatywy muszą być zgody rodziców, co pewnie skutecznie storpeduje wiele przedsięwzięć. Musieliśmy nawet uzyskać akcept spotkania z prof. Bralczykiem, który – jak nietrudno się domyślić – nie robił wykładu o polityce czy „ideologii".

Istnieje problem dyskryminacji osób LGBT+?

Większość moich znajomych – w tym ja – traktuje osoby odmienne najnormal-

niej w świecie. Jak rozmawiam z ludźmi spoza mojego kręgu, też zwykle nie ma problemu. I tak by pewnie pozostało, nikt nie czułby specjalnie potrzeby demonstrowania czegokolwiek. Tyle że w ostatnich miesiącach – m.in. za sprawą kilku głupich wypowiedzi polityków czy kościelnych hierarchów – nasiliła się nagonka na te osoby. Efekt jest taki, że dziś można dostać w mordę już nie tylko za bycie LGBT+ albo za popieranie LGBT+ – wystarczy przejść się po mieście w obcisłych spodniach bądź różowej bluzie. Mój kolega ubrał taką, bo mu się po prostu podobała. I został na ulicy zwyzywany od „pedałów".

Słychać narzekania, że młodzi ludzie nie chcą się angażować. Ani politycznie, ani społecznie.

Odnoszę wrażenie, że niektórzy zatrzymali się trochę na samym wpatrywaniu się w Młodzieżowy Strajk Klimatyczny. Powtarzamy, jak wspaniale, że „młodzi się zaktywizowali", co jest oczywiście prawdą, ale ta inicjatywa wciąż pozostaje raczej młodzieżowym ruchem inteligenckim. Ci ludzie robią świetne rzeczy, ale bez odzewu ze strony młodzieży z „klas niższych". I tak pewnie będzie jeszcze długo, bo sam Młodzieżowy Strajk Klimatyczny. czy partyjne młodzieżówki nie przełamią idiotycznej relacji „pan–cham". To praca dla całych warstw społecznych, to musi być przełamanie polskości.

Inna sprawa, że postawy młodych ludzi są przede wszystkim odzwierciedleniem postaw całego społeczeństwa, które też jest w większości bierne. Zresztą ci sami dorośli często narzekają, że „młodzi siedzą tylko w telefonach". A ja bym się zastanowił, gdzie oni – zwłaszcza po tej stronie, nazwijmy ją, postępowej – popełnili błąd, że młodzi ludzie trzymają się z dala nie tylko od polityki, ale też od jakiegokolwiek zaangażowania.

Gdzie popełnili błąd?

Myślę, że prawica znacznie lepiej zagospodarowuje energię tej grupy. Tam młodzi ludzie czują się lepiej wysłuchiwani, docenieni, traktowani poważnie, czego dobrym przykładem jest prężnie działająca Młodzież Wszechpolska. Co jest po drugiej stronie? Co mają dziś do zaoferowania dorośli młodym, którzy niekoniecznie kochają Korwina, a nawet są daleko od Kościoła? Harcerstwo, wolontariaty?

W dwudziestoleciu miałeś np. socjalistycznego Spartakusa, którego członkiem był Krzysztof Kamil Baczyński. Były też ludowe Wici czy sanacyjny Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej, do którego należała Irena Sendlerowa. Teraz ta oferta nie jest już tak bogata. Mam kilku znajomych w młodzieżówkach partii, ale to nie to samo. Dla wielu już lepiej wybrać tę Młodzież Wszechpolską, tam się chociaż młodych oficjalnie słucha, poświęca im uwagę.

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

Niektórzy zatrzymali się na wpatrywaniu w Młodzieżowy Strajk Klimatyczny. **Powtarzamy, jak wspaniale, że „młodzi się zaktywizowali".** To prawda, ale ta inicjatywa pozostaje młodzieżowym ruchem inteligenckim.

Będzie strajk nauczycieli przed wyborami?

Trudno powiedzieć. A jeśli tak, to nie wiem, czy będzie trwał tak długo, jak ostatnio. Wtedy więcej osób się raczej od nauczycieli odwróciło, a nie wsparło.

Właśnie zaczynasz naukę w klasie maturalnej, za dziewięć miesięcy wyjdziesz z systemu edukacyjnego. Jak powinna zmieniać się szkoła, żeby rzeczywistość do końca jej nie odjechała?

W sumie nigdy nie wyjdę – po szkole będą studia, potem pewnie rodzina i dzieci, które też będą musiały przesiadywać w szkołach.

A co do zmiany, żeby szkoła naprawdę uczyła, musi najpierw sama dojrzeć, co zresztą dotyczy nie tylko edukacji i nie tylko nauczycieli, którzy stali się ostatnio obiektem bezzasadnych ataków. Musi przestać być dzieckiem, które zawsze wie lepiej i nie umie spojrzeć na nic krytycznie.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRZYSZTOF KATKOWSKI *(ur. 2001) jest uczniem klasy maturalnej warszawskiego XXVII Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Czackiego. Prowadzi projekt popularyzatorski dotyczący Stanisława Brzozowskiego, współpracuje z „Krytyką Polityczną".*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Wybrzeże Kościuszkowskie w Warszawie, maj 2019 r.

Napędzane siłą bezwładu

RAFAŁ ZYCHAL

Po chodnikach największych miast jeżdżą już tysiące elektrycznych hulajnóg. Są uciążliwe dla pieszych i powodują coraz więcej wypadków. Ale dla prawa tak jakby ich nie było.

Jak dobrze trafimy, na początek wystarczy złotówka i w drogę. Każda minuta jazdy to koszt rzędu 50 groszy. A gdy już jesteśmy na miejscu, po prostu ją zostawiamy byle gdzie. Hulajnogowy *boom* trwa w najlepsze. I nic nie wskazuje na to, by przeminął wraz z nadejściem chłodniejszej aury.

Elektryczne hulajnogi na wynajem to widomy znak działalności tzw. start-upów. Twórcy sieci wypożyczalni podążyli szlakiem przetartym choćby przez Ubera i pokazali, że dzięki ogólnodostępnym technologiom można stworzyć dochodowy biznes. Przy okazji dołożyli cegiełkę do realizacji wizji elektromobilności, o której tak ciepło zawsze wypowiadał się premier Morawiecki. Na razie zamiast miliona aut na prąd mamy więc tysiące tak zasilanych hulajnóg.

Najpierw zagościły we Wrocławiu, Warszawie i Poznaniu. Przez kolejne miesiące zadomowiły się również na ulicach Trójmiasta i Krakowa. Łącznie jest ich już dobre 10 tysięcy, a ta liczba rośnie. Dziś w każdym z tych miast o klientów walczy już po kilku operatorów. Z nieco zapomnianej zabawki dla dzieci (napędzanej siłą mięśni) hulajnogi stały się modnym gadżetem, także dla tych nieco bardziej wyrośniętych. Oprócz wypożyczalni, mamy jeszcze te zupełnie prywatne. W swojej ofercie mają je już nawet operatorzy komórkowi. Jedno jest pewne – e-hulajnogi na dobre wpisały się w pejzaż największych polskich miast.

O tym, jakie niosą ze sobą szanse, ale i wyzwania, pisaliśmy w „Tygodniku" już w marcu. Co zmieniło się przez te blisko pół roku? Co najważniejsze, nie zmieniły się przepisy. Przybyło hulajnóg, nie ubyło pytań i problemów. Zresztą naiwnością byłoby przekonanie, że upływ czasu sam rozwiąże problemy i uporządkuje bałagan, zwłaszcza ten legislacyjny. Szczególnie w kraju, w którym kultura kierujących i pieszych pozostaje sferą wiecznych narzekań.

Nad problemami, jakie pojawiły się wraz z tymi elektrycznymi pojazdami, głowią się nie tylko nad Wisłą. Śmierć 25-latka pod kołami ciężarówki w Paryżu, tragiczny wypadek popularnej brytyjskiej youtuberki – te wydarzenia odbiły się szerokim echem i zmusiły do dyskusji, co dalej z obecnością e-hulajnóg w przestrzeni miejskiej. Zakazać czy jednak ująć w ramy przepisów? Co kraj, to inne podejście. Jedni reagują szybciej, inni wolniej, a jeszcze kolejni – wcale. Niestety, mimo licznych zapowiedzi rządzących, Polskę wciąż trzeba zaliczyć do tej ostatniej grupy. A i u nas tragedie przy udziale hulajnóg już były. Statystyka nieubłaganie podpowiada, że kolejne to pewnie kwestia czasu.

Pędzi na kółkach, a jednak pieszy

– Wraz z pojawieniem się e-hulajnóg przybyło obowiązków naszym inspektorom, którzy na co dzień monitorują zajęcie tzw. pasa drogowego – przyznaje

Magdalena Wasiak, rzecznik Zarządu Dróg Miasta Krakowa. To jedno z tych miast, gdzie hulajnogi na minuty trafiły w drugim rzucie, czyli dopiero w tym roku. Jak dodaje, ich obecność oznacza także więcej pracy czysto porządkowej. Inspektorzy, jeśli widzą porzuconą na środku chodnika hulajnogę, po prostu ją przestawiają, by nie stwarzała zagrożenia. Ale nie zawsze się tak da i kilka takich pojazdów zostało przez ZDMK zarekwirowanych.

I to właściwie wszystko, co dziś mogą służby miejskie. – Możemy jeszcze informować, prosić i apelować o kulturę jazdy – dodaje Wasiak. Podobne głosy słychać w pozostałych miastach. Wszyscy z utęsknieniem czekają na obiecane zmiany w prawie. Bo jak na razie kierujący hulajnogą w świetle prawa jest... pieszym, ale jednoznacznej interpretacji brak. Ta luka od miesięcy rodzi przeróżne problemy. Przyznajmy, że mknący po chodniku pojazd średnio mieści się w zdroworozsądkowej definicji pieszego. A za jazdę hulajnogą po ścieżce rowerowej grozi mandat, nawet 500 złotych.

W zasadzie równie bezradna co służby miejskie jest policja. Bo jak np. ukarać kierującego hulajnogą, który jest po paru głębszych? Wszak to wciąż pieszy. Przepisy rodzą więcej niejasności. Głośno było choćby o sprawie z Warszawy, gdzie potrącona przez hulajnogę kobieta została początkowo uznana za winną i ukarana mandatem.

Policja nie prowadzi oddzielnych statystyk wypadków z udziałem hulajnóg, ale jej przedstawiciele przyznają, że problem narasta. Widać to też po liczbie medialnych doniesień o kolejnych takich przypadkach. W bardziej obrazowy sposób pokazują to relacje lekarzy. „Dziś blisko 7 godzin składaliśmy roztrzaskaną żuchwę u 19-latka, który przewrócił się na hulajnodze. Potworny uraz, ekstremalny zabieg z dużym ryzykiem trwałego kalectwa, mimo naszych wysiłków (...) Niemal każdego dnia ktoś łamie sobie kości twarzoczaszki na hulajnodze w Warszawie" – pisał na Facebooku warszawski chirurg Marcin Socha.

Urządzenia transportu osobistego

Z luką w przepisach uporały się już Niemcy. Co ciekawe, jeszcze nie tak dawno elektryczne hulajnogi w ogóle nie mogły tam jeździć po drogach publicznych. Teraz ich ruch przeniesiono na ścieżki rowerowe. W wyjątkowych sytuacjach mogą poruszać się po chodnikach i jezdniach. Każdy pojazd musi mieć nie tylko dzwonek czy światła, ale i ubezpieczenie OC. Wreszcie, ich prędkość ograniczono do 20 km/h, a kierujący nie może mieć więcej niż 0,5 promila alkoholu we krwi. Nieco bardziej restrykcyjnie podeszli do tematu Francuzi. Tam bowiem e-hulajnogom zabroniono wjazdu na chodniki.

Propozycje zapowiadane przez naszych rządzących wyglądają podobnie. Najważniejsza różnica jest ciągle ta sama – nasze regulacje wciąż nie weszły w życie. I wcale nie ma pewności, że to się stanie prędko. Projekt zmian w prawie już jest. Termin zakończenia prac? Trzeci kwartał. A potem ustawa jeszcze będzie musiała przejść przez parlament. PiS co prawda już nieraz pokazało, że potrafi wyjątkowo sprawnie zmieniać prawo, ale akurat w tym przypadku legislacyjne młyny mielą wolno.

Jeśli nic się w trakcie uzgodnień między resortami oraz prac w Sejmie nie zmieni, to e-hulajnogi formalnie staną się rowerami, których definicja zostanie poszerzona właśnie o tzw. urządzenia transportu osobistego (UTO). Do tej kategorii wpadną więc również segwaye czy elektryczne jednokołowe skutery. Kierujących będą obowiązywały wszystkie nakazy, zakazy oraz regulacje już obejmujące rowerzystów. Dojdą jednak ważne zakazy: używania ich przez osoby poniżej 10. roku życia oraz pozostawiania w miejscach, gdzie mogą stwarzać zagrożenie. A przede wszystkim UTO mają się przenieść na drogi rowerowe. I tu rodzą się wątpliwości, które podnoszą krytycy tego projektu. Bo w określonych przypadkach hulajnogi i tak będą mogły poruszać się po chodnikach. Patrząc na stan naszej infrastruktury rowerowej, zapisany w przepisach wyjątek szybko może zmienić się w regułę. Choć na plus należy zaliczyć fakt, że policja dostanie narzędzie do walki z łamiącymi przepisy. W krytycznych głosach słychać też kolejne argumenty – że jednak maksymalna prędkość powinna być niższa, ustawa zaś powinna zawierać bezwzględny prymat pieszych na chodnikach.

A co z jazdą w stanie nietrzeźwości, która w przypadku rowerów jest dziś wykroczeniem? Prawnicy zwracają uwagę na nieścisłości. W kodeksie karnym mamy bowiem zapis o jeździe w stanie nietrzeźwości pojazdem mechanicznym. I to już jest przestępstwo, za które grożą nawet dwa lata odsiadki. Zdaniem ekspertów elektryczna hulajnoga jak najbardziej wpisuje się w tę definicję, bo przecież nie jest napędzana siłą mięśni. Albo więc twórcy ustawy doprecyzują prawo, albo interpretacja ostatecznie będzie leżała w gestii sądów. Ta dyskusja wróci z całą mocą, gdy rządowy projekt trafi już do Sejmu. Zapewne nie ograniczy się jedynie do tego, po czym i jak szybko jeździć. Podniosą się i głosy dotyczące kwestii bezpieczeństwa czy problemów ekologicznych, jakie powstają w związku z krótką żywotnością baterii, a może nawet kwestia „sprawiedliwości", po tym, jak okazało się, że jedna z sieci dostarcza do Polski... słabsze hulajnogi niż np. do Niemiec.

Od nowa w następnej kadencji

Pogarszająca się aura zapewne nieco osłabi zainteresowanie hulajnogami. Ale jednocześnie trudniejsze warunki pogodowe mogą wpłynąć na wzrost liczby wypadków. Z zapowiedzi rządu wynika, że na wejście w życie przepisów musimy poczekać do początku 2020 r. Nie uznano, że jest to kwestia wymagająca szybkiej ścieżki legislacyjnej. Nawet jeśli projekt zdąży jeszcze trafić we wrześniu do Sejmu, choćby w ramach spełniania przedwyborczych obietnic, to zakończy swój żywot wraz z dobiegającą końca kadencją parlamentu. W kolejnej cała machina będzie musiała ruszyć od nowa.

Jak na razie nie widać, by była to kwestia, którą władze chcą możliwie szybko się zająć. Przed wyborami są też istotniejsze dla niej sprawy. Oby tylko impulsem do działania nie była jakaś tragedia. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP".

RDC POLSKIE RADIO

RAFAŁ ZYCHAL będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 4 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Poradzimy sobie z tym napięciem

WŁODZIMIERZ PAŃKÓW, SOCJOLOG:

Jest wielu ludzi chcących zachować przynajmniej część pewnego konserwatywnego etosu, który najlepiej wyraził się w ruchu pierwszej Solidarności. A że nie nadają tonu debacie publicznej, to już inny problem.

RAFAŁ WOŚ: „Tak! Jestem pisiorem! I jestem z tego dumny" – tak Pan powiedział w czasie jednej z dyskusji. Sam widziałem.
WŁODZIMIERZ PAŃKÓW: Bo to prawda.

Ale co to znaczy?
To znaczy, że identyfikuję się z polityką obecnego rządu. Oczywiście to nie tak, że zgadzam się ze wszystkim. Ale to chyba oczywiste, że nie da się nigdy w stu procentach identyfikować z tym, co robi jakakolwiek władza. Podoba mi się ogólny kierunek, w którym idzie Polska od roku 2015. W tym sensie dla sporej części pana czytelników jestem właśnie „pisiorem". Nawet jeśli tego nie powiedzą, to tak pomyślą.

Rozumiem, że Pan prowokuje.
Mówię zupełnie szczerze. Naprawdę nie sądziłem, że dożyję momentu, gdy będę mógł powiedzieć: tak, identyfikuję się z władzą, która rządzi w moim kraju. Jak ktoś się identyfikował z Balcerowiczem, Kwaśniewskim albo Tuskiem, to miał taki czas. Ja dotąd nie miałem. Większość przeciwników PiS-u nie chce tego zrozumieć i nie dopuszcza myśli, że podobnie do mnie uważa wielu Polaków.

Co konkretnie pozwala się Panu tak jednoznacznie zidentyfikować z PiS-em?
Sam siebie określam jako konserwatywnego laburzystę. Oznacza to, że jestem po stronie świata pracy. Ale dochodzę tam z pozycji... raczej wstecznych.

Większość lewicowych intelektualistów prześciga się w przekonywaniu, że są po stronie postępu. A ja jestem za zachowaniem przynajmniej części pewnego konserwatywnego etosu. Etosu, który się zresztą najlepiej wyraził w ruchu pierwszej Solidarności. Myślę, że takich ludzi jest w Polsce wielu. A że nie nadają tonu debacie publicznej, to już jest inny problem.

Pan był zaangażowany w Solidarność?
Początkowo było to zaangażowanie bardziej zawodowe – latem i jesienią 1981 r. brałem udział w dużych badaniach robotników z Solidarności prowadzonych przez socjologów pod kierunkiem Alaina Touraine'a i Jana Strzeleckiego. To z resztą też nie było przypadkowe, bo socjologią pracy zajmowałem się przez całe lata 70. Ale czas pierwszej Solidarności to było jednak coś więcej. Zainteresowanie naukowe naturalnie przeszło w sympatię i identyfikację. W tym sensie traktuję swoje chwilowe zaangażowanie po stronie PiS-u sprzed kilku lat [Pańków był członkiem gabinetu „technicznego premiera" Piotra Glińskiego w roku 2013. Tamta próba konstruktywnego votum nieufności wobec rządu Donalda Tuska zakończyła się porażką – red.] jako kontynuację dzieła podjętego przez pierwszą Solidarność. Dziś to już jest raczej kibicowanie tej formacji politycznej.

Tu dochodzimy do ważnego problemu. Bo również druga strona politycznego sporu mówi o sobie dokładnie to samo. Oni uważają, że to Platforma Obywatelska czy wcześniej Unia Wolności najpełniej kontynuują dzieło Solidarności.
Jestem tego świadom. Pod tym względem rozchodzimy się kompletnie z wieloma moimi dawnymi kolegami. Na przykład z członkiem tego samego zespołu badawczego Ireneuszem Krzemińskim, który uważa, ze Solidarność walczyła głównie o jakiś rodzaj ładu liberalnego.

Czy może Pan wyjaśnić na jakimś przykładzie, gdzie widać tę kontynuację przez PiS ducha pierwszej Solidarności?
Wiele razy się nad tym zastanawiałem. W gruncie rzeczy chodzi chyba o samo pojmowanie demokracji. Moja strona rozumie ją inaczej niż tamta strona.

Proszę wyjaśnić, robi się ciekawie.
Ja od dość dawna – głównie pod wpływem koncepcji socjologa Ralfa Dahrendorfa – żywię taką koncepcję demokracji, w której prócz praw cywilnych i politycznych rozwijane są prawa socjalne. Te prawa zostały jednak po roku 1989 zignorowane przez większość establishmentu politycznego. Co było zresztą kluczowym powodem mojej politycznej niezgody na projekt polityczny III RP. Choć przecież wcześniej popierałem Solidarność.

Jeśli pan potrzebuje obrazka, to mnie na zawsze będzie stała przed oczami pewna staruszka, którą zobaczyłem w telewizji gdzieś w początkach polskich przemian. Ona to określiła lepiej niż większość nas, naukowców. Powiedziała, że teraz zaczyna się znów taka „pańska Polska". Więc ja byłem i jestem tej „pańskiej Polsce" przeciwny. Nawet Wałęsa w swoich dobrych czasach to rozumiał. Powiedział kiedyś, że demokracja to jest to i tamto plus książeczka czekowa. Uważałem i uważam nadal, że sytuacja, w której zaledwie 15–20 proc. populacji może się cieszyć książeczką czekową, a co za tym idzie, pełnią praw obywatelskich, nie jest pełnowartościową demokracją. Jako badacz świata pracy nie miałem wątpliwości, że najlepszą drogą do odpowiadającej mi koncepcji demokracji jest właśnie wzmocnienie świata pracy. Problem polega na tym, że po roku 1989 realizowano kurs dokładnie odwrotny. Zniszczono rady pracownicze, które były jednym z najcenniejszych osiągnięć pierwszej Solidarności. Przekonywano, że w nowoczesnym kapitalizmie nie ma miejsca na związki zawodowe.

Wszystko to rozumiem. Ale sam Pan chwilę temu przyznał, że z takiej

TOMASZ GZELL / PAP

Przewodniczący Solidarności Piotr Duda, Wiesława Kozek i Włodzimierz Pańków, Warszawa, maj 2012 r.

koncepcji demokracji zrezygnowała większość postsolidarnościowego establishmentu w Polsce. W tym większość polityków, którzy dziś tworzą PiS.

Gdybyśmy rozmawiali w roku 2000 albo 2005, to zapewne przyznałbym panu rację. Gdy PiS był u władzy po raz pierwszy w latach 2005-07 i realizował liberalne reformy Zyty Gilowskiej, nie myślałem o nim jako o „swoim rządzie". Wspomniałem już o mojej ideowej drodze po roku 1989. Ona nie wiodła bynajmniej przez żadne Porozumienie Centrum czy inne projekty tworzone przez poprzedników dzisiejszej „prawicy". Początkowo była to Unia Pracy z Modzelewskim, Małachowskim, Bugajem czy Bujakiem. Projekt Unii Pracy się nie powiódł. Roztrząsanie, dlaczego tak się stało, nie ma już większego sensu. Efekt był jednak taki, że przez całe lata postulat innego – lepszego dla pracowników – kapitalizmu leżał na ulicy. Podniósł go dopiero PiS. I to też bardzo niedawno. Lepiej późno niż wcale.

Z drugiej jednak strony, w ciągu tych czterech lat znajdzie się również wiele przykładów na antypracowniczą postawę rządzących. Ten rząd nie zrobił nic, by wzmocnić instytucjonalną pozycję związków zawodowych. Lubi wobec pracowników odgrywać rolę „dobrego pana". Jak będzie miał ochotę, to podwyższy płacę minimalną.

WŁODZIMIERZ PAŃKÓW (ur. 1946) jest socjologiem, profesorem, m.in. w IFiS PAN, Collegium Civitas oraz kierownikiem Katedry Nauk Społecznych Akademii Leona Koźmińskiego.
W 1968 r. usunięty z uczelni za udział w studenckich protestach. Studia dokończył eksternistycznie, pracował w tym czasie na budowie. W latach 70. wrócił do przerwanej kariery naukowej. Od 1980 r. zaangażowany w działania Solidarności w Regionie Mazowsze. Od 1989 r. tworzył i kierował przez trzy lata, razem z Grażyną Gęsicką, Ośrodkiem Badań Związkowych „S" Regionu Mazowsze. Na początku lat 90. był związany z Unią Pracy. W ostatnich latach był m.in. członkiem rady programowej PiS, a także wchodził w skład gabinetu „premiera technicznego" Piotra Glińskiego. Obecnie na emeryturze.

Ma pan wiele racji z tym paternalizmem PiS-u. Trzeba jednak pamiętać o momencie, w którym się znajdujemy. Przed wyborami 2015 r. polska praca faktycznie została sprowadzona do parteru. W roku 2013 przestała nawet funkcjonować komisja trójstronna, bo wszystkie centrale związkowe wyszły z niej na znak protestu przeciwko probiznesowym sympatiom rządu Tuska. Związki były i nadal są słabiusieńkie. A na dodatek mają niską wiarygodność społeczną. Nie mówię, że to ich wina, tylko stwierdzam fakty. Nie przyjęły się także rady pracowników wprowadzone do polskiego prawa za pierwszego PiS-u. Skoro więc sama klasa pracownicza nie miała swoich efektywnych przedstawicielstw, to co mógł zrobić obóz, który wypisał sobie „troskę o zwykłego człowieka" na sztandarach? PiS dość obcesowo potraktował związki zawodowe przebijając w roku 2016 ich postulaty dotyczące płacy minimalnej. Oczywiście, że rząd wysłał w ten sposób sygnał, że te związki niewiele dziś znaczą. A jedyną instytucją zdolną ująć się za potrzebami zwykłych pracowników jest rząd.

I nie przeszkadza to Panu?

Jasne, że przeszkadza. Ale jednocześnie zaraz dodam, że przyjęta postawa jest efektywna dla pracowników. Zresztą nie jest to znów takie nietypowe. Jeżeli sobie przypomnimy, jak nazywają to Francuzi, „trzy wspaniałe dekady powojennego zachodniego kapitalizmu", to odbywało się to podobnie. Bardzo często efektywne wzmocnienie pracownika było inicjowane przez rządy bynajmniej nie lewicowe i prozwiązkowe. Przez różnego typu chadeków albo konserwatystów. Końcowy efekt był jednak dobry. I to się liczyło.

PiS to jednak także masa innych posunięć, które wielu Polaków przerażają. Na plan pierwszy wysuwa się zagrożenie autorytaryzmem. Widzi Pan to zagrożenie?

Mój Boże, skoro tendencje autorytarne pojawiają się w wielu Państwach regionu od Rosji przez Ukrainę po Węgry, to dlaczego by to miało ominąć Polskę?

No więc czemu Pan – dawny buntownik przeciwko autorytarnej komunie – nie bije na alarm?

Bo nie uważam, by natężenie myślenia autorytarnego w PiS-ie było szczególnie wysokie i bardzo groźne. Inna sprawa, że pewne wzmocnienie autorytetu władzy publicznej było w Polsce ostatnich lat mocno oczekiwane. Ileż przez nasze media przetoczyło się w ciągu ostatniej dekady debat o „państwie z tektury"? Pamiętam rozmowy z akademikami z Francji, którzy w latach 90. załamywali ręce, że w Polsce panoszy się Kościół katolicki. Ja im spokojnie tłumaczyłem, że gdy rozsypały się autorytety i osłabła moc ↦

sprawcza państwa, to musi się znaleźć jakaś instytucja, która w to miejsce wejdzie. I tak było w Polsce. Gdy słucham opozycji, to nie wiem, o co im chodzi. Silny Kościół? Źle. Silne państwo? Źle. To kto ma spełnić to wiszące w powietrzu od dekady oczekiwanie naprawy Rzeczypospolitej?

Społeczeństwo obywatelskie? Unia Europejska?

Tego próbowaliśmy przed rokiem 2015. Gdyby wyszło, to PiS byłby dziś w głębokiej opozycji. Ale ludzie nie byli zadowoleni i zagłosowali za innym rozwiązaniem.

A co z problemem zamachu na trójpodział władzy? Na niezawisłość sądów?

Każdy, kto choć trochę zna historię polityczną demokratycznego świata, dobrze wie, że trójpodział i zrównoważenie władz nigdzie i nigdy nie występuje w stanie idealnym. Zawsze istnieje rodzaj rywalizacji pomiędzy parlamentem, rządem i sądami, a dzisiaj jeszcze dodatkowo – mediami. Raz górą są jedni, innym razem drudzy. Często też reguły bywają zawieszane. Zazwyczaj dzieje się to w dwóch wypadkach. Raz, gdy trzeba powstrzymać tendencje kryzysowe. A dwa, gdy istnieje potrzeba wyjścia z klinczu uniemożliwiającego przemianę. Więc to nie jest tak, że ustroju nie wolno zmieniać i dopasowywać do nowych czasów. Na tym zresztą polega polityka. Chodzi tylko o to, by sprawy nie wymknęły się spod kontroli. W Polsce takiego zagrożenia nie widzę. Powiedziałbym, że tzw. PiS-owska rewolucja jest taką „na naszą polską miarę".

A co by Pan powiedział tym Polakom, którzy takie zagrożenie dostrzegają i się nim martwią?

Żeby spojrzeli na współczesne Niemcy.

Na Niemcy?

Tak. Właśnie na kraj, który wydaje się dziś ostoją politycznego ładu w Europie. Tam od 2005 r. już po raz trzeci rządzi tzw. wielka koalicja. Złożona z dwóch najliczniejszych partii w parlamencie: socjaldemokratów i chadeków. Ja to nazywam systemem koalicji hegemonicznej, który jest w zasadzie bardzo podobny do władzy monopartii w systemie autorytarnym. Bo cóż może dziś niemiecka opozycja wobec takiego czołgu, jakim jest CDU/CSU i SPD? To już nasz spór polityczny jest dużo żywszy niż ten niemiecki. Różnica polega oczywiście na tym, że Niemców nikt nie krytykuje za ich hegemoniczne koalicje, a Polska jest na cenzurowanym za poczynania rządu opartego na większości parlamentarnej.

> Ludzie, którym PiS-owskie programy socjalne zwracają godność i podmiotowość, **mogą w końcu powiedzieć dosyć.** Mogą nie chcieć dzielić się z jeszcze słabszymi.

Polska opozycja czuje się bezsilna. Większość nie liczy się z jej głosem w parlamencie, media publiczne wyraźnie sprzyjają rządzącym. Czy tak powinna wyglądać demokracja?

Wydaje mi się, że opozycja w Polsce zachowuje się histerycznie. I wcale nie chodzi jej o uzyskanie wpływu na rzeczywistość – bo ten wpływ posiada – czy podjęcie dialogu, bo uczestniczy w nim w sposób bardzo napastliwy. Mam wrażenie, że ciągle nie doszła do ładu ze swoją porażką. W związku z tym wszystko tłumaczą sobie jakimiś machinacjami Kaczyńskiego – a nie swoimi zaniedbaniami.

Spróbujmy się jednak na chwilę oderwać od takich ocen. Czy Pana – jako obywatela i jako socjologa – nie martwi intensyfikacja politycznego sporu w Polsce po roku 2015? Czy to nie jest tak, że w pewnym momencie jako wspólnota tego sporu nie wytrzymamy i – mówiąc kolokwialnie – „pęknie nam żyłka"?

Bez przesady. To normalna walka polityczna. Znając polską rzeczywistość i przeżywając ją na własnej skórze od roku 1968, stawiam tezę, że poradzimy sobie z tym napięciem. Na szczęście w Polsce na ogół unikamy skrajności. Ostatnie skrajności – czyli stalinizm lat 40. i 50. oraz tzw. stan wojenny – z autentycznym terrorem politycznym na szeroką skalę są w naszej zbiorowej pamięci epizodami niechlubnymi. I to jest dobry znak. Jeszcze za komuny zwykliśmy żartować, że pod Polską jest biegun entropii – cokolwiek się tu próbuje poskładać, to się jakoś rozłazi. Co ma również swoje dobre strony. Prawdziwego faszyzmu nie udało się tu stworzyć nawet za tzw. sanacji, komunizm się rozlazł. Solidarność też. Podobnie jak było z neoliberalizmem, który w latach 90. wydawał się nie do zdarcia. Przeciwników PiS-u przerażonych popularnością Kaczyńskiego też mogę w ten przewrotny sposób pocieszyć, choć akurat sam ten rząd popieram. Jednak i on w końcu – miejmy nadzieję – spełni swoje zadanie i potem coś go wysadzi z siodła.

Co to będzie?

Może być tak: ludzie, którym PiS-owskie programy socjalne zwracają godność i podmiotowość, mogą w końcu powiedzieć dosyć. Mogą nie chcieć dzielić się dalej z jeszcze słabszymi. I odrzucić takie instrumenty jak 500 plus. To częste zjawisko polityczne i społeczne.

Sensem tej rozmowy miało być pokazanie czytelnikom „Tygodnika", którzy skłaniają się do bycia po stronie antypisowskiej, jak myśli ta druga strona. Czy jest coś, co by im Pan chciał powiedzieć?

Proszę się nie gniewać, ale wydaje mi się, że to jałowe. Postawy polityczne nie kształtują się poprzez wymianę argumentów. Niestety.

A jak się kształtują?

Są pochodną statusu społecznego jednostki i interesów środowiska, którego jesteśmy częścią. Czasem bywają dziedziczone. Socjologowie nazywają to pasmową teorią świadomości społecznej. To jest szczególnie silne w przypadku środowisk elitarnych, o wysokiej samoświadomości. Widzę to zjawisko na przykładzie akademików, którzy są – zwłaszcza w moim pokoleniu – zdecydowanie liberalni. I oczywiście zażarcie anty-PiS-owscy.

I co?

I nic. Nasze środowisko jest już za stare na zmianę poglądów, bo wymagałoby to rozprawy z całą ich biografią. Biografią, której ważnym elementem jest jednak aktywny udział w montowaniu nad Wisłą liberalnego porządku. Czasem w dobrej wierze, czasem z oportunizmu. Więc tutaj zmiany nie będzie. Będziemy się musieli pięknie różnić już do końca życia.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

ANNA

Dziewit-Meller:
Zobaczcie, jak żyjemy

Kilka dni temu, w wieku zaledwie 50 lat, zmarł ksiądz Tomasz Wiosna. Był katechetą w moim liceum im. Juliusza Słowackiego w Chorzowie, a późne lata 90. ubiegłego wieku były czasem, gdy na religię chodzili wszyscy, w każdym razie w mojej klasie, ja też. Zresztą dla księdza Wiosny mogłabym i teraz zapisać się na takie lekcje, bo one były głównie o tym, jak sobie radzić w świecie pełnym przeciwności, gdy się jest skołowanym nastolatkiem. Wiosna był naszym sojusznikiem, bo stał po stronie młodzieży, słuchał uważnie tego, co do niego mówiliśmy, i niewątpliwie ostatnią rzeczą, jaką pomyślałabym o nim, to że był wobec nas li tylko przedstawicielem instytucji Kościoła. Nie widziałam go od matury, wiem, że pojechał potem na misję, gdzieś na tereny byłego ZSRR, czasem ktoś z kolegów czy koleżanek licealnych przyniósł o nim jakąś wiadomość, ale w mojej pamięci pozostał na zawsze tym młodym gościem, w nieco nieświeżym zielonym polarze, którego po prostu lubimy jako człowieka, bo i on w nas widzi ludzi, i wcale nie chce, jak chciałby może patron mojego liceum, „zjadaczy chleba w aniołów przerobić".

Kiedy dotarła do mnie smutna wiadomość o śmierci księdza Wiosny, czytałam akurat nową książkę specjalizującego się w portretowaniu różnych grup zawodowych dziennikarza Pawła Reszki. Jego metoda pisarska polega na tym, że daje głos tym, do których przychodzi. Nie ocenia, nie sufluje niczego czytelnikowi, nie jest wszechwiedzącym narratorem tych opowieści – stara się tylko uchwycić wielogłos danego środowiska. W „Czarnych" udzielił tego głosu księżom katolickim. Ponieważ piszę to na chwilę przed oficjalną premierą tej książki, ogromnie ciekawa jestem jej przyjęcia w Polsce toczonej wojną kulturową, której Kościół stanowi poważny element. Jestem przekonana, że kościelne instytucje przyjmą tę książkę źle, może nawet jako kolejny z przejawów „ataków na Kościół", o których tak wiele słychać z licznych ambon. Bo są „Czarni" książką czyniącą z księży ludzi, a zdaje mi się, jako osobie niegdyś będącej przecież siłą rodzinnej inercji *intra ecclesiam*, że nie do końca o to Kościołowi chodzi, żebyśmy myśleli o nich jako o ludziach.

Na okładce tuż pod tytułem wybito siedem grzechów głównych, o których Reszka rozmawia z księżmi, odnosząc się do ich życia, i nimi właśnie tytułując kolejne części tej książki. Pisze we wstępie: „Jeździłem po Polsce. Spotkałem się z (...) duchownymi. Byli dewoci, libertyni. Zajmujący stanowiska i prości wiejscy księża. Młodzi wikariusze i proboszczowie, którzy liczą dni, zanim ich biskup nie odwoła z ostatniej parafii. Widywałem księży diecezjalnych i zakonników. Konserwatystów i tych, co zrzucili sutannę. Spotykałem się z ich kobietami. A także z ofiarami – dorosłymi – skrzywdzonymi jako dzieci przez księży. (...) Szukałem perspektywy od wewnątrz". Słyszymy więc ich głosy, bez cenzury, bo anonimowe, do głębi, do szpiku kości zwyczajne, po ludzku słabe, gnuśne, smutne, samotne, czasem pełne pychy, ślepe na własne błędy i grzechy, dostrzegające liczne źdźbła w cudzych oczach, wątpiące, redukujące dysonanse poznawcze, z dystansem do swojej roli i całkowicie bez niego.

Z kart książki przeziera wielka samotność księży. Gdy nagle środek ciężkości opowieści o Kościele przenosi się na tych, którzy go prowadzą, wszystko zaczyna wyglądać inaczej. Jeden z rozmówców Reszki marzy o tym, by ściany plebanii były szklane, by wszyscy parafianie mogli w końcu zobaczyć, jak naprawdę wygląda ich życie. Dzięki tej książce przez chwilę możemy sobie to wyobrazić i jest to obraz, który nie tylko szokuje, ale przede wszystkim zasmuca. Że do seminariów szli jako idealiści, ale srodze zawiedli się na tym, co tam zobaczyli i przeżyli, że parafie bywają polami niebywałych konfliktów pomiędzy zamieszkującymi je dorosłymi mężczyznami, że pieniądze są takim samym problemem jak wszędzie, jedni mają ich dużo, inni bardzo mało i to budzi gniew i żal, ale także chciwość; że jest wielka samotność, że pojawia się tęsknota za drugim człowiekiem do kochania, że widzą w swej formacji kompletny brak przygotowania do radzenia sobie z tłumionymi popędami, że pornografia i alkohol, że kobiety, że mężczyźni, że „»Nie ma Jezusa«. Ten problem obiega plebanie, seminaria i zakony. Wprawdzie »Jezus jest«, ale tylko na ołtarzach, na ustach, w rękach kapłańskich, ale to już nie jest ten Bóg". Że zwątpienie zaczyna się od źle zbudowanej relacji z samym sobą, że „teoretycznie jesteś jakimś pasterzem, przewodnikiem, przedstawicielem kogoś na ziemi. A w praktyce wykonawcą usług dla ludności", że „co to jest Polska katolicka? Idę do kościoła, bo trzeba mszę odprawić. Mówimy »odprawić«, a nie zastanawiamy się, po co w zasadzie jest to wszystko. (...) Czy Kościół to instytucja, która jest celem samym w sobie? Dlatego właśnie kołacze mi się po głowie to pytanie, czy my księża jesteśmy wierzący, czy nasi biskupi są wierzący, czy zakonnicy są wierzący?".

Doskonałe pytanie, tylko komu je zadać? Czy w Polsce jest miejsce na takie pytanie? ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Kamiennej Górze, I Wydziałem Cywilnym, toczy się postępowanie w sprawie o sygn. akt I Ns 265/18, z wniosku Zuzanny Pawlak, przy udziale Pauli Pawlak-Klimczak, Dominiki Furykiewicz-Lange, Alana Żochowskiego, Adriana Żochowskiego, Gminy Lubawka – Zakład Budżetowy Gospodarki Mieszkaniowej, o uchylenie lub zmianę stwierdzenia nabycia spadku po Zdzisławie Pawlaku, zm. 2 czerwca 2014 r. w Pieszycach i ostatnio stale zamieszkałym w Lubawce.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze I Wydziału Cywilnego, al. Wojska Polskiego 36, 58-400 Kamienna Góra, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym.

WIARA

SPOWIEDŹ TO NIE MATEMATYKA

KS. ADAM BONIECKI I KS. JACEK PRUSAK SJ:

Czasem trzeba nieść cudze grzechy albo swoje błędy.

ARTUR SPORNIAK: Australijski pedofil, ks. Michael McArdle, zeznał, że spowiadał się ze swoich przestępstw ponad 1500 razy trzydziestu różnym spowiednikom; zalecali mu modlitwę.

KS. ADAM BONIECKI: Spowiadał się bez postanowienia poprawy – to widać wyraźnie. Także bez naprawienia wyrządzonych szkód. O żalu za grzechy trudno w tej chwili przesądzać. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z cynikiem, który gra, posługując się religijnymi kategoriami...

Takie wypowiedzi jednak sprawiają, że w Australii wprowadzane jest prawo wymuszające na księżach przekazywanie informacji o przypadkach pedofilii uzyskanych podczas spowiedzi.

KS. ADAM BONIECKI: Nic nowego. Mamy męczenników, którzy odmówili złamania tajemnicy spowiedzi. Św. Janowi Nepomucenowi nakazano wyjawić treść spowiedzi żony króla. Odmówił, więc go utopiono w Wełtawie w Pradze. A teraz jego figurki stoją prawie w każdej polskiej wsi i przypominają, że istnieją sprawy, za które płaci się nawet życiem.

KS. JACEK PRUSAK SJ: W przypadku ks. McArdle'a nie chodzi o tajemnicę spowiedzi, tylko o ignorancję spowiedników. Jeśli aż trzydziestu spowiedników na wyznanie pedofilii do zaoferowania miało pouczenie, żeby się więcej penitent modlił, to znaczy, że oni źle spowiadali. Oprócz wspomnianych warunków dobrej spowiedzi, których zabrakło ze strony penitenta, zabrakło podstawowej wiedzy ze strony spowiedników. Gdyby ci spowiednicy byli mądrzejsi, albo po prostu spowiadali zgodnie z wymogami Kościoła, to taki pedofil nie otrzymałby rozgrzeszenia na takich warunkach, a w ramach pouczenia problem nie zostałby tak zlekceważony.

Domaganie się teraz przez państwo uchylenia tajemnicy spowiedzi w przypadku pedofilii jest potraktowaniem wszystkich spowiedników w taki sam sposób – jakby wszyscy na równi byli nieodpowiedzialni.

KS. ADAM BONIECKI: Żeby było jasne: spowiedź, w której nie udzielam rozgrzeszenia, jest także objęta tajemnicą spowiedzi. Co do jakości spowiedników, mam dość sceptyczny stosunek do relacji ludzi, którzy opowiadają o tym, co im ksiądz powiedział na spowiedzi. W latach 70. we Włoszech opublikowano książkę będącą – jak przedstawiano – zapisem nagranych wypowiedzi spowiedników podczas spowiedzi podstawionych osób spowiadających się z grzechów seksualnych. Wynikało z niej, że w różnych miejscach Włoch spowiednicy mówili te same wyjątkowo głupie rzeczy – albo byli tak uformowani, albo redaktorzy książki trochę jej treść podkręcili. Ludzie opowiadają tak nieprawdopodobne rzeczy, co im ksiądz rzekomo powiedział na spowiedzi, że trzeba do tego podchodzić ostrożnie.

Zdaje się, że samego penitenta nie obowiązuje tajemnica spowiedzi.

KS. JACEK PRUSAK SJ: Nie do końca tak jest. Po niedawnym tekście dziennikarki OKO.Press na temat tego, co księża mówią w konfesjonale o edukacji seksualnej dzieci, przypomniano, że kary kościelne dotykają także penitentów ujawniających treści spowiedzi.

Dekret Kongregacji Nauki Wiary z 1988 r. „Ad poenitentiae sacramentum tuendum" stwierdza: „Ktokolwiek, jakimkolwiek środkiem technicznym cokolwiek w spowiedzi, prawdziwej lub udawanej,

ROBERT FRANKIŃSKI / REPORTER

Pielgrzymka kobiet i dziewcząt do sanktuarium w Piekarach Śląskich, sierpień 2016 r.

przez niego czy przez kogoś innego uczynionej, coś, co zostało powiedziane przez spowiednika lub penitenta nagrywa albo za pomocą środków masowego przekazu rozprzestrzenia, popada w ekskomunikę »latae sententiae« [czyli automatyczną – red.]".

KS. ADAM BONIECKI: Proszę zobaczyć, jak późno przepis ten wprowadzono – właśnie pod wpływem owej włoskiej książki. Gdy ukazała się w Rzymie, lokalny Kościół wprowadził kary na autorów i na czytelników. Dlatego książkę tę przeczytałem dopiero, kiedy pojechałem do Paryża, choć kupiłem ją w Rzymie.

Jednak zdarza się, że księża swoimi poradami krzywdzą penitentów.

Czy rolą dziennikarzy nie jest także to ujawniać?

KS. JACEK PRUSAK SJ: To różne sytuacje: gdy dziennikarz rozmawia ze skrzywdzonymi penitentami i to opisuje, a gdy nagrywa symulowaną spowiedź albo nawet nie udając spowiedzi traktuje ją instrumentalnie jako materiał do tekstu. Przypadki takie wskazują na brak świadomości powagi sakramentu i są zakładaniem pułapki na nieświadomego jednak sytuacji księdza – spowiedź nie jest zwyczajną rozmową.

KS. ADAM BONIECKI: Mniejsza o kanony, tu chodzi o stosunek do drugiego człowieka. Spowiedź nie od razu przybrała taką formę, jaką ma teraz. Jest to dorobek ponad tysiąca lat. Jezusowe „komu odpuścicie grzechy, będzie odpuszczone" musiało znaleźć jakąś formę. Forma, którą dzisiaj mamy, odzwierciedla przekonanie człowieka, że on do swojego wnętrza powinien dopuścić Kościół, który ma władzę sakramentalną. Jest to przeżycie bardzo głęboko religijne. Oczywiście, czasami ono jest spłycone... Przystąpienie do spowiedzi jest jednak aktem wiary. To coś szalenie intymnego i delikatnego. Jako spowiednik muszę mieć szacunek wobec człowieka, który w intymnej sytuacji otwiera się przed Bogiem. Formuła łacińskiego Kościoła „Ja tobie odpuszczam grzechy" wskazuje, że spowiednik działa *in persona Christi* (w osobie Chrystusa). Doskonale wiem, że nie umarłem na krzyżu za jego grzechy, że jestem tylko głosem... Ktoś, kto to nadużywa spowiedzi, nie ma szacunku do intymności człowieka.

Co do perspektywy księdza jest podobnie, gdyż znajduje się on w sytuacji ↦

powiernika, świadka różnych tragedii. Jest taka pokusa, żeby wtedy zamienić się w doradcę, w pocieszyciela, w kolegę, w przyjaciela... Doskonale zapamiętałem to, co mi kiedyś powiedziała jedna z sekretarek pracująca niegdyś w „Tygodniku": „Nie przychodzę do spowiedzi po głupie rady – tak powiedziała. – Przychodzę po znak odpuszczenia grzechów". Istotą sakramentu spowiedzi jest odpuszczenie grzechów. Franciszek to miał na myśli, gdy mówił, żeby spowiedź nie była salą tortur, gdzie się będę pastwił nad człowiekiem: „A ile razy? A czy całkiem świadomie?". Pytania, które mogą poniżać człowieka. Jezus z niesłychaną delikatnością podchodził do człowieka: „Odpuszczają ci się twoje grzechy. Idź i nie grzesz więcej!". Też nie mówił: „Drobiazg, nie przejmuj się!".

Istotą tajemnicy spowiedzi jest więc ochrona prawa do intymności. Dodaje się także – prawa penitenta do dobrego imienia. W przypadku spowiedzi pedofila to jest na jednej szalce, na drugiej jest niesłychana krzywda dzieci. Dlaczego pierwsza szalka ma przeważać?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Gdybyśmy tak chcieli to rozpatrywać, wtedy musielibyśmy brać pod uwagę krzywdę kogokolwiek. Spowiednik musiałby reagować – czyli łamać tajemnicę? – za każdym razem. Przecież nie licytuje się krzywdy ludzkiej w taki sposób: na to cierpienie musisz reagować, na tamto nie. Pedofilia nie jest uzasadnieniem odejścia od tajemnicy spowiedzi. Natomiast jest bardzo poważnym grzechem. Problem w tym, że rzadko kiedy pedofil mówi, że jest pedofilem. Podobnie jak większość penitentów, grzechów seksualnych nie opisuje on w szczegółach. Woli pozostawać na poziomie dużej ogólności. Mówi: wykroczyłem przeciwko szóstemu przykazaniu (ewentualnie dziewiątemu przykazaniu). Jeśli spowiednik nie będzie dopytywał o szczegóły, otrzyma rozgrzeszenie. Tak ogólnikowo z grzechów seksualnych spowiadają się zwłaszcza księża.

KS. ADAM BONIECKI: A jak spowiednik będzie dopytywał, to...

KS. JACEK PRUSAK SJ: ...będzie swój grzech minimalizować. Żeby spowiedź rzeczywiście była ważnym sakramentem, obie strony powinny być świadome, jakie warunki muszą być spełnione. Niestety często idzie się do spowiedzi, żeby się pozbyć poczucia winy, a nie żeby się nawrócić. O to nas oskarżają niekatolicy. Ale takie traktowanie spowiedzi jest jej karykaturą.

Innym problemem jest sposób spowiadania się samych księży.

Na czym polega różnica?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Jest to spotkanie „profesjonalisty z profesjonalistą". Ksiądz nie potrzebuje pouczeń, bo sam jest księdzem, chce rozgrzeszenia. A jeśli inny ksiądz go poucza, wtedy się irytuje. Jeśli ma poważne grzechy na sumieniu, to będzie się tak spowiadał, żeby je ukryć.

Czy wtedy spowiedź będzie ważna?

KS. JACEK PRUSAK SJ: O to pytanie właśnie chodzi.

KS. ADAM BONIECKI: Nawet jak nie jest ważna, spowiednik jest związany tajemnicą – trzeba to ciągle podkreślać. Kiedy byłem w seminarium – to była pierwsza połowa zeszłego stulecia – kładziono nam do głowy, żeby zadawać pytania bardzo szczegółowe. Dziś się od tego odchodzi. Mam takie dwa doświadczenia. Jedno, że nauczono mnie, żeby pouczenia przyjmować jako pokutę, więc cierpliwie je wysłuchuję, choć czasami są rzeczywiście dziwne. Drugie, że jeśli ktoś – zwłaszcza ksiądz – mówi, że zgrzeszył przeciwko szóstemu przykazaniu i bardzo żałuje, to jednak trzeba zapytać: sam? Z cudzą żoną? Z kimś podporządkowanym? Osobą pełnoletnią? To są różne grzechy. Na przykład odkrywasz, że masz przed sobą człowieka, który boryka się ze swoim homoseksualizmem. Spotkałem się z kimś takim. Spowiadam już prawie 60 lat i nie zdarzyło mi się jednak, by ktoś się wyspowiadał z pedofilii. Trzeba być świadomym pokusy, że to można tak zręcznie przedstawić – zwłaszcza jak spowiada się ksiądz – iż nie dotknę zła, które popełniłem. Tymczasem jedną z niezastępowalnych wartości spowiedzi jest nazwanie grzechów ciężkich, które się popełniło. To oczyszczające, jeśli wobec drugiego człowieka powiem takie upokarzające mnie słowa: popełniłem taki a taki grzech ciężki. Nazwanie po imieniu swoich grzechów jest już aktem pokuty. Skręca mnie, gdy słyszę modlitwy w rodzaju: „odpuść nam nasze słabości". Bóg nie ma co przebaczać naszych słabości, jeśli nas stworzył słabymi! Przepraszamy za winy, za grzechy.

GRAŻYNA MAKARA

KS. ADAM BONIECKI:

Jedną z ważnych wartości spowiedzi jest nazwanie grzechów ciężkich, które się popełniło. To oczyszczające, jeśli wobec drugiego człowieka powiem takie upokarzające mnie słowa.

Co w przypadku spowiedzi pedofila spowiednik powinien zrobić, żeby ratować przede wszystkim dzieci i nie łamać przy okazji tajemnicy?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Nie dać rozgrzeszenia, mówiąc, że jego warunkiem jest zrobienie tego, tamtego i owego...

Czyli czego – przyznania się w prokuraturze? Czy od takiego warunku można uzależnić rozgrzeszenie?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Nie. Ale można domagać się podjęcia konkretnych kroków profilaktycznych.

KS. ADAM BONIECKI: Zapytam: czy ja go wtedy rozgrzeszam warunkowo, mówiąc, że rozgrzeszenie będzie ważne, jak się zgłosi na leczenie?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Tak nie możesz powiedzieć. Albo dajesz rozgrzeszenie, albo nie dajesz. Nie ma trzeciej możliwości. Jeśli wyczujesz, że się spowiada w sposób powierzchowny, możesz mu nie dać rozgrzeszenia, tłumacząc, iż traktuje spowiedź instrumentalnie. Że nie bierze odpowiedzialności za to, co zrobił, i nie widać w nim wystarczającej skruchy, żeby się to nie powtórzyło.

KS. ADAM BONIECKI: Miałem przypadki, gdy mówiłem: „Nie odmawiam ci rozgrzeszenia, ale my tę spowiedź rozkładamy na dwa etapy. Kiedy to i to zrobisz, przyjdź, dostaniesz rozgrzeszenie".

Jakoś nie podoba mi się powiedzenie: „Nie dostrzegam u ciebie objawów skruchy...”.

KS. JACEK PRUSAK SJ: Nie ma obowiązku rozgrzeszania w każdym przypadku. Z drugiej strony trzeba roztropnie szafować warunkami. Kiedyś spotkałem się z przypadkiem, jak młody stażem ksiądz uzależnił rozgrzeszenie żony alkoholika od tego, czy zgłosi się do ośrodka interwencji kryzysowej, bo przecież jest współuzależniona. Jej proboszcz znał sytuację, ale mówił jej z kolei na spowiedzi, że ma nieść swój krzyż. Ostatecznie się nie zgłosiła. Czym innym jest świadomość moralna swojego grzechu, a czym innym świadomość psychologiczna swojego stanu. Od tej drugiej nie można uzależniać rozgrzeszenia. Szlachetnie jest chcieć pomóc, ale trzeba brać pod uwagę uwarunkowania psychologiczne penitenta. Spowiedź jest spotkaniem dwóch osób...

KS. ADAM BONIECKI: Trzech; a właściwie pięciu...

KS. JACEK PRUSAK SJ: W grę wchodzi pytanie o dojrzałość obu tych stron. Tajemnica nie jest najważniejszą stroną tego sakramentu, tylko chodzi o to, że jest ona nieusuwalna.

KS. ADAM BONIECKI: Uważam, że gdybyśmy wprowadzili klauzulę, iż w przypadku spowiedzi pedofilii tajemnica nie obowiązuje, to i tak byłby to koniec spowiedzi w takiej formie. To byłoby zburzenie jej fundamentu. Ja bym wtedy już w ogóle nie siadł do konfesjonału. Tajemnica jednak należy do natury tego sakramentu w formule, którą Kościół wypracował.

KS. JACEK PRUSAK SJ: To nie takie proste. Żaden z nas nie był w takiej sytuacji, żeby dowiedział się na spowiedzi o krzywdzie konkretnego znanego mu dziecka. Nie wyobrażam sobie, że można wtedy wrócić spokojnie do domu i o tym zapomnieć.

Nie można pójść do kogoś, kto może dziecku pomóc, np. jego wychowawczyni, i nie mówiąc konkretnie, o co chodzi, poprosić, by zwróciła baczniejszą na nie uwagę?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Nie można wykorzystać żadnej wiedzy pozyskanej na spowiedzi. Na tym polega dramat tej sytuacji.

Pewien znany ksiądz w portalu naTemat stwierdził, że kategoryczny zakaz naruszania tajemnicy spowiedzi nie oznacza, iż ksiądz nie może reagować. Jego zdaniem duchowny może rozmawiać z innymi osobami związanymi ze sprawą, ale nie może nawet sugerować, że coś wie.

KS. ADAM BONIECKI: Moim zdaniem ta rada jest sprzeczna w sobie – jeśli rozmawia, to sugeruje, że coś wie.

KS. JACEK PRUSAK SJ: Wówczas, Adamie, nie mógłbyś rozmawiać z penitentem poza spowiedzią. To tak nie działa.

A jak Wam, księżom, udaje się oddzielić wiedzę o penitencie, żeby ona nie wpływała na Was w żaden sposób w kontakcie z nim poza spowiedzią?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Penitent wie, że ja nie mogę w żaden sposób wrócić do rozmowy ze spowiedzi. Poza tym zawsze pytam znajomych, czy rzeczywiście chcą się spowiadać u mnie. Jeśli chcą, nie mogę odmówić.

KS. ADAM BONIECKI: Nie mogę odmówić tylko w sytuacji zagrożenia życia. W innych – mogę. Gdy byłem generałem zakonu, odmawiałem spowiadania podwładnych. Jest inne rozwiązanie: gdy ktoś mi mówi podczas spowiedzi o jakimś złu, które się dzieje, proszę, byśmy porozmawiali o tym poza spowiedzią. To jest oczywiście ryzykowne, bo wiedzę otrzymuje się i na spowiedzi, i poza nią.

GRAŻYNA MAKARA

KS. JACEK PRUSAK SJ:

Niestety często idzie się do spowiedzi, żeby się pozbyć poczucia winy, a nie żeby się nawrócić. O to nas oskarżają niekatolicy. Takie traktowanie spowiedzi jest jej karykaturą.

KS. JACEK PRUSAK SJ: Wiele osób prosi, że chce porozmawiać „tak jak na spowiedzi”. I choć to formalnie nie jest spowiedź, dyskrecja mnie wówczas także obowiązuje. Owo porównanie do spowiedzi właśnie ma zagwarantować dyskrecję. I tu wyłania się kolejny problem. Do naszych domów na rekolekcje ignacjańskie przyjeżdżają także osoby z doświadczeniem bycia wykorzystanym w dzieciństwie. Rozmowa z rekolekcjonistą nie jest spowiedzią. Czy zatem mamy obowiązek informować prokuraturę? O ile się nie mylę, ostatnio takie sytuacje prawo polskie zaczęło zaliczać do chronionych tajemnicą zawodową.

I jeszcze jedna sprawa: w polskim prawie informacje zdobyte na spowiedzi nie mogą być traktowane jako materiał dowodowy. Nawet więc jeślibym zdradził tajemnicę spowiedzi, zaciągając ekskomunikę, nic bym w sądzie nie wskórał.

Prosty wniosek: gdyby ci wszyscy księża pedofile naprawdę się spowiadali, nie byłoby tylu ofiar.

Jak sobie radzicie jako spowiednicy z brzemieniem wejścia w tajemnicę zła?

KS. JACEK PRUSAK SJ: Ja sobie radzę podobnie jak z psychoterapią. Czasem trzeba nieść cudze grzechy. Jednak staram się penitenta zrozumieć, ale nie wchodzić w syndrom zbawcy. Nie uratujesz ludzi przed nimi samymi. W spowiedzi jesteś świadkiem w imieniu Kościoła tego, co się dzieje między Bogiem a człowiekiem. A w psychoterapii próbujesz osobie pomóc, żeby wzięła odpowiedzialność za swoje życie.

KS. ADAM BONIECKI: Zgadzam się, że trzeba być świadomym, iż zło jest realne, a ja nie jestem zbawcą. Natomiast po latach spowiadania muszę powiedzieć, że jest coś, co się niesie: złe rozwiązania. W dwóch sytuacjach w jakimś młodzieńczym zapale nie postąpiłem według norm kościelnych. Nie mówię, że normy trzeba kanonizować, one się zmieniają, ale zwykle wyrastają z długiego doświadczenia. Jakoś swoją łagodność pokrętnie wytłumaczyłem. Moje pełne miłosierdzia rozwiązania wcale nie przyniosły cudownych owoców – są ich dalsze ciągi. I mam takie dwa kamienie w plecaku.

KS. JACEK PRUSAK SJ: Trzeba mieć świadomość, że błędy będą się zdarzały. Jest to związane z ryzykiem zawodowym. Spowiedź to nie matematyka.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Życie bez wiary nie jest życiem w ciemno

DARIUSZ KOT

Samodzielność światopoglądowa nie oznacza, że ktoś w nic nie wierzy i uwierzy w byle co. Każdy ma jakiś światopogląd.

Czy szybkie rozrastanie się społeczności osób deklarujących się jako niereligijne (*religious nones*) to oznaka czekającej nas bezbarwnej, destruktywnej i samotnej przyszłości? Socjolog i pastor baptystów Ryan Burge sugeruje, że amerykańscy niereligijni porzucają nie tylko kościoły czy synagogi, ale także podstawowe struktury spajające społeczeństwo. Wskazuje z niepokojem na ich niski poziom edukacji i politycznego zaangażowania. Gdy wydarzy się katastrofa albo przyjdzie pomóc biednym – przewiduje socjolog – ciężko będzie *religious nones* zmobilizować do wsparcia potrzebujących (w czym są bardzo skuteczne wspólnoty religijne).

Zdaniem Burge'a niereligijni „dryfują" przez życie. Być może są odpowiedzialni za wzrastający wśród Amerykanów poziom stresu, niezadowolenia z życia, narkomanię, a nawet samobójstwa?

Niereligijni jako choroba

Z bardzo podobną litanią amerykańskich nieszczęść – w które wpleciona jest niereligijność – wystąpił dziennikarz David Brooks na jednej z konferencji TED (Technology, Entertainment and Design). „Najszybciej rosnącą partią polityczną są bezpartyjni. Najszybciej rosnącym ruchem religijnym są niereligijni. Wskaźniki depresji rosną, problemy ze zdrowiem rosną. Licząc od roku 1999 liczba samobójstw wzrosła o 30 proc...".

A przecież Ameryka to kraj z bogatymi tradycjami tolerancji religijnej. W Polsce, przy absolutnej dominacji katolicyzmu, niereligijni znajdują się pod znacznie większą presją.

Nauczycielka Grażyna Juszczyk jako ateistka zdjęła krzyż w pokoju nauczycielskim, powieszony bez konsultacji z pracownikami szkoły. Była z tego powodu – według wyroku sądu w Opolu – poniżana i nękana psychicznie. Kiedy wygrała sprawę, a także apelację, szkoła przeprosiła i wypłaciła odszkodowanie. Wtedy prokuratura z Wrocławia – organ państwowy! – skierowała do Sądu Najwyższego skargę kasacyjną.

Problem nie dotyczy jednak tylko urzędników czy polityków zabiegających o względy Kościoła. W tej samej liberalnej „Polityce", która stanęła w obronie Grażyny Juszczyk (Joanna Podgórska „Niewierzący w Polsce pod katolicką presją"), Adam Szostkiewicz pisał niedawno („Młoda niewierząca Hiszpania"), że niewierzący mogą mieć swój system wartości i bywają odporni na różne destrukcyjne ideologie. Zauważył jednak – oczywiście znów w obawie o przyszłość społeczeństwa – że brak własnych wartości może człowieka wpychać w objęcia różnych szarlatanów. Zacytował popularnego swego czasu katolickiego myśliciela Gilberta Chestertona: ten, kto nie wierzy w nic, uwierzy w cokolwiek.

Jeszcze bardziej negatywnie nazwano niewierzących w materiałach przygotowujących jesienną sesję filozofów polskich. Amerykańskie *none* – pochodzące od sformułowania *none of the above* (żadne z powyższych) w amerykańskich sondażach przynależności religijnej – przetłumaczono tam jako „nijaki".

Samodzielni światopoglądowo

Jestem ateistą, a zatem w momencie, kiedy podaje mi się spis wspólnot religijnych, jestem zmuszony wybrać opcję „nones". Nie przyszłoby mi jednak do głowy, że ta decyzja – odrzucenie religijnych wspólnot i masowych wierzeń – może określać mój światopogląd! Gdyby mnie zapytano, do jakiej wspólnoty się zaliczam, odpowiedziałbym bez wahania: samodzielni światopoglądowo (albo niezależni światopoglądowo).

Mój obraz świata nie jest nijaki i na pewno nie jest mi obojętne, w co ludzie wierzą i jak na tej bazie współpracują ze sobą. Przeciwnie. W sondażach pytających o przyczyny odejścia *nones* od Kościoła na samej górze znajduje się: kwestionują wiele z kościelnych wierzeń. Jest to dla mnie bardzo istotne.

Samodzielność światopoglądowa nie oznacza, że ktoś w nic nie wierzy i uwierzy w byle co. Nie ma ludzi bez światopoglądu. Nikt nie żyje „w ciemno", bez żadnej mapy. *Nones* to nie społeczna rzeczywistość, tylko puste, tymczasowe miejsce (*placeholder*), czekające na zrozumienie przez teologów, filozofów i religioznawców, o jakich zjawiskach mówią. Pozwolę sobie zatem teraz na kilka podpowiedzi dla wszystkich opisywaczy społeczeństwa, którzy traktują nas – samodzielnych światopoglądowo – jak rodzaj wirusa, rdzy albo kwasu, który za chwilę rozpuści cywilizację stworzoną poprzez rozpowszechniane wierzenia religijne i tezy ideologiczne.

Problem z cieniami

Po pierwsze, warto by wyeliminować z sondaży terminy negatywne: niereligijni, ateiści itp. Pomogłoby to usunąć negatywne, nihilistyczne skojarzenia. Ludzie wierzący na własną rękę i żyjący po swojemu nie są cieniami ludzi religijnych. Nie oglądamy się za siebie.

To nie oznacza oczywiście, że budujemy obraz świata bez korzystania z dorobku kultury czy bez udziału w społeczności. Oznacza to tylko, że nie przyjmujemy wierzeń w gotowych zestawach, przygotowanych hurtowo dla milionów ludzi przez księży czy ideologów partii politycznych. O wiele chętniej korzystamy z wiedzy naukowej. Nie tylko sami wybieramy, ale także sami decydujemy, na jakich zasadach chcemy wybierać. Inaczej mówiąc, jako dorośli podejmujemy nową i samodzielną decyzję o wyborze obrazu świata, który nam się wydaje najbardziej wiarygodny.

Dwie strony medalu

Dzięki Wielkiej Historii, nowej dyscyplinie naukowej, przedstawiającej historię ludzkości z ogromnego czasowego dystansu, jako część historii Wszechświata i życia na Ziemi, wiemy, że masowe światopoglądy faktycznie były spoiwami coraz większych społeczeństw. Ale te często otoczone kultem „spoiwa" nie są ani

SIMONA GRANATI / CORBIS / GETTY IMAGES

Demonstracja pod pomnikiem Giordana Bruno, dominikanina i filozofa spalonego na stosie na Campo de' Fiori w Rzymie, kwiecień 2017 r.

wieczne, ani nie zapewniły nam nigdy Królestwa Bożego na ziemi (popularyzuję wiedzę o ewolucji wczesnych wierzeń chrześcijańskich, więc temat nie jest mi obcy).

Przez większość historii masowe wierzenia i wartości umożliwiały nam współpracę zamiast zabijania się, ale dostarczały także nadprzyrodzonego uzasadnienia dla wyzysku i nierówności społecznych. (Dotyczy to również świeckich ideologii, nie tylko religii). Wyjątkiem mogłaby być współczesna liberalna demokracja, ale system ten przeżywa właśnie głęboki kryzys. Yuval Harari wskazuje, że podstawy światopoglądowe tego systemu – humanizm, prawa człowieka, idea wolnej woli – nie są w stanie sprostać realiom epoki informatycznej.

Wyważone oceny są bardzo potrzebne, bo inaczej nowe zjawiska nas przerosną. Pastor Ryan Burge, przytaczając dane o naszej mizernej edukacji i aktywności politycznej, nie uwzględnił tych najbardziej wykształconych, określających się jako agnostycy i ateiści. Niewierzący w USA z reguły wybierają w sondażach przynależności religijnej jedną z trzech opcji: ateista, agnostyk albo „żadne konkretne wierzenia" (*nothing in particular*). Burke wziął pod uwagę tylko dane o tej trzeciej, największej i najsłabiej wykształconej podgrupie niewierzących. Jednocześnie użył w swoim artykule argumentów typu: „tradycje religijne przez dziesięciolecia zbudowały dyskretnie działające sieci wsparcia dla najsłabszych" albo „po ludziach aktywnych religijnie można się częściej spodziewać, że uznają się za bardzo szczęśliwych". Moim zdaniem przy tego rodzaju argumentach przedmiotem porównania powinni być wszyscy ludzie samodzielni światopoglądowo, bez wyłączania najlepiej wykształconych podgrup. Pozbawione negatywnego wydźwięku określenia postaw pozareligijnych mogą pomóc w unikaniu tego rodzaju potknięć w przyszłych analizach. (Nie chcę już nawet wspominać o użyciu aktywności politycznej jako prawie wyłącznego miernika zaangażowania w budowę struktur społecznych...).

Epoka informatyczna

Być może warto popatrzeć trochę szerzej i dalej w przyszłość. Nie sposób wykluczyć, że nasz prastary – jak to określa Harari – „przemysł wierzeniowy" (*industry of belief*) powoli traci swą efektywność. Być może w świecie coraz to nowych technologii i odkryć naukowych potrzebujemy raczej negocjować obrazy świata, niż je wpajać, gloryfikować i za wszelką cenę chronić. Niektórzy badacze systemów społecznych twierdzą, że w obecnych warunkach – coraz szybszych zmian i coraz bardziej kruchych struktur – potrzebować będziemy jak najwięcej odmiennych wizji świata i sposobów życia, niezbędnych do wyewoluowania antykruchych instytucji (tzw. *World of Views*).

Następna wielka rewolucja kulturowa nie nastąpi za tysiąc ani za sto lat. Może się wydarzyć jutro po południu. Nasze dobrze „spojone" i w związku z tym mało elastyczne szkoły, parlamenty i Kościoły nie będą w stanie od razu zareagować. Z osobami o samodzielnych wierzeniach wygląda to inaczej. My już wiemy, jak to jest, kiedy rozpada się świat i trzeba go poskładać od nowa. Jesteśmy gotowi. ©

Autor jest filologiem, w miesięczniku „Znak" publikował teksty o Jezusie historycznym. Prowadzi stronę www.worldviewresearch.org.

MATERIAŁY ZGROMADZENIA

Polskie Małe Siostry od Jezusa, Częstochowa, 2013 r.

Moc w codzienności

AGNIESZKA SKIBIŃSKA

Nie mieszkają w klasztorach, wykonują proste prace. Małe Siostry Jezusa we wrześniu obchodzą 70-lecie.

„Po co one są?" – ksiądz Igor z Brześcia zadawał sobie to pytanie od dawna. Żyją w bloku, wśród ludzi, najczęściej podejmując pracę fizyczną. Pierwszy raz fraternię zgromadzenia Małych Sióstr Jezusa w Nowej Hucie w Krakowie odwiedzam przed Wielkanocą 2019 r. W mieszkaniu dominuje kolor niebieski. Na prasowalnicy leżą poukładane błękitne habity. Jest cicho, spokojnie. Słucham o powołaniu, o codzienności. Siostra Teresa Maria już tego samego dnia opowiada mi także o swojej pasji.

– Poczekaj, pokażę ci – przynosi kartki, które sama tworzy. Suszy wcześniej polne kwiaty, a potem układa je w różne wzory w zależności od okazji. Przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą wspólnota wysyła je do bliskich. – Wybierz sobie.

Przyglądam się kwiatom, ziarenkom piasku. Jest też krzyż. Krzyż z sercem. Dokładnie taki, jaki towarzyszy zgromadzeniu.

– Może chciałabyś takie pudełko? – pyta niedługo potem siostra Krysia. Jest w kształcie serca, kolorowe. – Odwiedzamy w więzieniu mężczyznę skazanego na dożywocie. Robi tam takie rzeczy i dzieli się z nami.

– Tu masz olejek do włosów i peeling czekoladowy – siostra Justyna przysuwa opakowania w moją stronę. Pracuje w wytwórni naturalnych kosmetyków.

Zanim zjemy kolację, siostry zapraszają mnie na wspólną modlitwę w domowej kaplicy, na którą przeznaczony został osobny pokój.

Francuska bagietka

– Małe Siostry Jezusa to wspólnota, która próbuje żyć duchowością Karola de Foucaulda. Nasza założycielka, mała siostra Magdalena, czytając jego reguły, miała taką intuicję, że nie tylko słowo jest ważne, ale też duch, czyli sposób, w jaki Karol żył. To jest próba odtworzenia życia Jezusa w Nazarecie – Syna Bożego, który stał się człowiekiem. Zwyczajne życie, zanurzone w codzienności, a jednocześnie zanurzone w obecności Ojca – tłumaczy siostra Krystyna Klara.

Magdalena Hutin założyła zgromadzenie 8 września 1939 r. w Tugurut w Algierii. Obecnie na całym świecie jest 1350 małych sióstr, w tym ok. 40 Polek.

– Pragnieniem Karola de Foucaulda było stanie się bratem Jezusa. Jezus jako człowiek był i jest pośród nas. Tak samo i my chciałybyśmy być jednymi spośród ludzi, z którymi żyjemy i pracujemy. Nie kimś lepszym, a mniejszym – dodaje siostra Teresa Maria, która decyzję o wstąpieniu do wspólnoty podjęła w czwartej dekadzie życia. Do fraterni w Krakowie przyjechała jako emerytka. Wcześniej jednak odbyła długą drogę, poprzez spotkanie z założycielką zgromadzenia – małą siostrą Magdaleną, naukę francuskiego we włoskiej wspólnocie, a następnie wyjazd do Francji i po powrocie mieszkanie w kilku polskich fraterniach.

Dla Teresy kluczowy fragment Ewangelii to rozmowa Jezusa z samarytanką: pokazała jej, jak wiele rzeczy ją więzi. Dobra praca, pozycja społeczna, mieszkanie. – Usłyszałam Jezusowe „daj mi pić" i w tym momencie otworzyło się to we mnie jako „pójdź za mną, zostaw wszystkie te ułudy, które wydaje się, że cię napełnią, nasycą" – wspomina siostra Teresa. Po tym wydarzeniu poprosiła o przyjęcie do zgromadzenia.

Złożyła podanie o bezpłatny urlop – szefowa rozpłakała się, nie wyobrażała sobie jej odejścia. Teresa wtedy jeszcze nie wiedziała, gdzie będzie odbywać formację zakonną. Okazało się, że ma wyjechać do fraterni w Rzymie. To był moment kryzysowy – miała już 37 lat, czuła, że sobie nie poradzi, że musi zrezygnować. Gdy powiadomiła szefową o zmianie planów, usłyszała słowa, których się nie spodziewała: „Pani Tereniu, kto przykłada rękę do pługa, niech się wstecz nie ogląda". Potem długo płakała podczas modlitwy. Ostatecznie usłyszała, że będzie dobrze.

Kiedy po raz pierwszy przyjechała do Tre Fontane, miała wrażenie, że mieszka tam już od dawna.

– Siostry próbowały rozmawiać ze mną na migi, uśmiechem, tak jak potrafiły – wspomina siostra Teresa. – Ja dziwnym sposobem wiele rzeczy rozumiałam, mimo że rozmawiałam z Koreanką mówiącą po francusku albo z Afrykanką mówiącą trochę po angielsku.

To była jedna z pierwszych styczności z inną kulturą. Kolejna okazja przyszła sześć lat po złożeniu ślubów wieczystych, gdy pojechała do Béni Abbès w Algierii,

by poznać islam z bliska. Jeden miesiąc przeznaczyła tam na modlitwę, drugi na kontakt z ludźmi. Pierwsze, o czym teraz opowiada, to gościnność i wrażliwość mieszkańców. Kiedyś odwiedzały z inną siostrą rodzinę wspólnoty muzułmańskiej. Poczęstowano je zieloną herbatą i długą francuską bagietką. Chwilę później trójka dzieci wróciła ze szkoły, prosząc o jedzenie.

– Okazało się, że ta bagietka miała starczyć dla rodziny i dzieci, ale przyszli goście, więc zostali przyjęci w imię Allaha. Dzieci popatrzyły, wypiły trzecie parzenie herbaty i wybiegły się bawić. Pozostało we mnie wrażenie ich ogromnej wrażliwości na gościa, a równocześnie poczucie, jak mało znałam i rozumiałam sytuację tych ludzi...

Większą część życia zakonnego spędziła w Częstochowie. Były wtedy lata 80. i w sklepach panowały pustki. Wspólnota posiadała duży ogród, co pozwalało przygotować posiłki dla sióstr i dla gości. Ogród, hodowla kur i owiec – te zadania należały do siostry Teresy.

Krótko pracowała w Szczecinie w małej manufakturze czekoladek i cukierków, gdzie ręcznie produkowano słodycze. Na sześć lat zatrzymała się w Zielonce, pełniąc tam służbę dla zgromadzenia. Dopiero później przyjechała do Krakowa. Do dziś zajmuje się wspólnym domem, cieszy się prostotą i zwyczajnością życia oraz relacjami ze starszymi mieszkańcami bloku i osiedla.

Dzieci Boga

– Zawsze wiedziałam, że nie chcę iść do zgromadzenia i nie chcę być nauczycielką – śmieje się siostra Justyna, która w tym roku „przeżyła kryzys trzydziestki". – Gdy w głowie zaczęły się pojawiać myśli o wstąpieniu, byłam przerażona. To było jeszcze przed maturą – dodaje i wspomina o zgromadzeniu franciszkanek. Szukała prostoty, ubóstwa, radości. Ostatecznie postanowiła skończyć studia, tyflopedagogikę, i rozeznać myśli o powołaniu, które jej towarzyszyły. Jej życie zmieniło się na Krakowskim Przedmieściu. Wpadła wtedy na koleżankę, która powinna być w tym czasie na Erasmusie. Zapytana o przyczynę powrotu, wypowiedziała trzy słowa: Małe Siostry Jezusa. Tak siostra Justyna dowiedziała się o zgromadzeniu. Od pierwszego impulsu do wstąpienia minęło osiem lat i był to czas znaków, które zrozumiała dopiero po kilku latach.

„Follow me" (chodź za mną) – widniał napis na torbie mężczyzny jadącego obok niej w metrze. Justyna uśmiechnęła się pod nosem. Jechała na uroczystości obchodzone 1 grudnia, czyli w dzień śmierci brata Karola de Foucaulda. Małe Siostry Jezusa z Warszawy zapraszały, by świętowała razem z nimi. Zgodziła się.

Co roku czytany jest wtedy fragment z Księgi Mądrości: „Miłujesz bowiem wszystkie stworzenia, niczym się nie brzydzisz, co uczyniłeś, bo gdybyś miał coś w nienawiści, nie byłbyś tego uczynił. Jakżeby coś trwać mogło, gdybyś Ty tego nie chciał? Jak by się zachowało, czego byś nie wezwał? Oszczędzasz wszystko, bo to wszystko Twoje, Panie, miłośniku życia!" (Mdr 11, 22-26; 12, 1-2). Dwa lata wcześniej była na modlitwie u dominikanów. Modliła się o wskazanie zgromadzenia i drogi jej powołania. Na zakończenie rozdawano kartki z cytatami – na jej kartce były te same słowa, teraz przypomniała sobie intencję, z jaką ją losowała.

Poprosiła Małe Siostry Jezusa o staż. Przez miesiąc sprzątała klatki schodowe, chodziła spać o 22.00, a wstawała o 4.30. Doświadczyła jednocześnie trudu i radości życia. Pokochała tę prostotę. Do zgromadzenia wstąpiła w październiku, na świętego Łukasza.

Droga Justyny nie ograniczyła się do wspólnoty polskiej. Wigilia we wspólnocie we Francji była początkowo dla niej wyzwaniem. Bo w Korei, Stanach, we Włoszech czy Rwandzie nie przeżywano jej tak, jak w Polsce. Pośród tej różnorodności pojawiała się jednak wspólna myśl, by spędzić Wigilię z opuszczonymi. Pomyślały o bezdomnych. Zrobiły kanapki, zapakowały ciastka, przygotowały herbatę, czekoladę i kawę w termosach. Wyszły na Wigilię do miasta.

– Później poszłyśmy na pasterkę o północy. Jeszcze po zakończeniu stałyśmy z bezdomnymi przed kościołem i piliśmy razem czekoladę. Był wśród nich Francuz, bardzo nieśmiały. Trochę z nim rozmawiałam, ciągle jednak to ja musiałam rozpoczynać temat. Wychodząc z domu pomyślałam, że zabiorę jedną rzecz, którą komuś podaruję. Był to mały Jezus z gliny. Poprosiłam, żeby Francuz wystawił rękę, i położyłam mu na dłoni figurkę. Zaczął płakać i ucałował jego głowę. Powiedział, że to najpiękniejszy prezent, jaki mógł tego dnia otrzymać.

Nie tylko w święta siostry odkrywały różnice między sobą. Polityka czy ↦

Małe Siostry, Mali Bracia

„NIKOGO ZA ŻYCIA NIE NAWRÓCIŁ, nawet w tym sensie nie odniósł sukcesu życiowego. A przecież stworzył duchowość naszych czasów" – pisał prof. Stefan Swieżawski o Karolu de Foucauldzie. Istotnie, gdy w 1916 r. islamscy Senussowie zamordowali francuskiego pustelnika, wydawało się, że jego życie było pasmem niepowodzeń. Usunięty z armii francuskiej za hulaszcze życie, nawrócony w wieku 28 lat, próbował zostać trapistą. Ostatecznie powędrował na algierską pustynię, gdzie napisał regułę dla chcących być świadkami Ewangelii wśród muzułmanów. Nie znalazł jednak żadnych uczniów.

Po kilkunastu latach do Béni Abbès przybywają jednak pierwsi z nich: zafascynowany życiem de Foucaulda francuski ksiądz René Voillaume i jego czterej koledzy seminaryjni. W 1933 r. zakładają wspólnotę kontemplacyjną. Kilka lat później przyjeżdża do nich Magdalena Hutin, która pod wpływem lektury biografii Karola (autorstwa René Bazina) chce odnaleźć własną drogę powołania. Po wielu rozmowach z Voillaume'em uznają, że Kościół potrzebuje zgromadzenia łączącego kontemplację ze zwykłym życiem pośród najuboższych ludzi. Oboje podróżują po świecie, zakładając kilkuosobowe wspólnoty. W 1967 r. papież zatwierdza zakony Małych Sióstr i Małych Braci Jezusa.

„To duchowość, która eliminuje termin: »sukces«" – pisał Swieżawski. „Małe siostry mają żyć w masie ludzkiej, jak zaczyn w cieście" – nauczała Magdalena Hutin.

Od 1965 r. Małe Siostry działają w Polsce: pierwsza wspólnota powstaje w Częstochowie: nielegalnie, w tajemnicy. Prymas Stefan Wyszyński mówi siostrom: „Możecie w Polsce pracować, ale macie być niewidzialne". W podobnej konspiracji (od końca lat 70.) działają bracia.

©℗ MACIEJ MÜLLER

sytuacja w innych państwach również stanowiły temat do dyskusji. Raz na tydzień każda z sióstr przygotowywała informacje ze świata. To była okazja, żeby poznać siebie nawzajem.

– Żyjąc we wspólnocie z osobami z innego kraju czy kontynentu zrozumiałam, kim jestem. Zaczęłam mocniej rozumieć, skąd wynikają niektóre nasze zachowania. Dzięki temu odkryłam, że jestem Justyną, a później Polką. A to jest Francesca, moja siostra, niezależnie, czy jest Polką, czy Koreanką, niezależnie od koloru oczu albo skóry. Ta tożsamość nie musi być taka znacząca. Można mieć do tego dystans. Mogę zrobić coś inaczej, niż nauczyła mnie moja kultura. Mogę nie obchodzić jakiegoś święta, mogę spojrzeć na coś z innej strony. To nie umniejsza tego, kim jestem, nie umniejsza mojej godności, tożsamości. Tożsamość jest głębsza. Wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi.

Dlaczego ja?

„No idź i zobacz" – usłyszała od zaprzyjaźnionego księdza. Kiedy Krystyna miała 12 lat, w jej rodzinnej miejscowości pojawił się młody wikary. Dał dziewczynom książkę o Karolu de Foucauldzie. To był pierwszy mocny znak, bo w latach 80. o Małych Siostrach Jezusa się nie mówiło, działały już w Polsce, ale nieoficjalnie. Potem Krystyna pojechała na rekolekcje. Znów usłyszała o bracie Karolu. Fascynował ją sposób funkcjonowania zgromadzenia, bo korespondował z życiem Franciszka z Asyżu.

Od tego momentu dużo o nim czytała. Wkrótce upadł komunizm, Małe Siostry zostały zarejestrowane jako wspólnota zakonna. Miała wtedy 19 lat i przygotowywała się do matury. Powiedziała rodzicom, że jedzie na Jasną Górę, żeby pomodlić się przed egzaminem. Pojechała do Częstochowy odwiedzić fraternię Małych Sióstr Jezusa. – I rzeczywiście, poszłam, zobaczyłam i zostałam – wspomina.

Przed złożeniem ślubów wieczystych odbyła podróż do Nigru, kraju z większością muzułmańską. – Przyjazd do Nigru to był szok. Mnie jednak zauroczyło życie koczowników, jego ogromna prostota, zanurzenie w naturze, bez ograniczenia murami, choć jest to życie bardzo wymagające, radykalne. W pierwszej kolejności ze względu na klimat, na upał, który tam panuje, na brak deszczu. Oprócz tego stała i bardzo bliska konfrontacja

ARCHIWUM ZGROMADZENIA

Mała Siostra Magdalena Hutin – założycielka Zgromadzenia

ze śmiercią. Prosty przykład: skorpiony. Mama zarzuca swoje niemowlę na plecy i owija je chustą, a w chuście siedzi skorpion. Jeżeli ukąsi dziecko, ono nie przeżyje. Kiedy wyprowadza się stado kóz na pastwisko, nie zawsze wszystkie wracają, bo może zaatakować je szakal. Szakale potrafiły podchodzić bardzo blisko do obozowisk. Panuje głód. Ludzie są wycieńczeni. Nie ma dostępu do lekarza, lekarstw. Żyjąc na pustyni zrozumiałam, że jedyną pomocą, jaką mają ci muzułmańscy koczownicy, jest Bóg. Zdanie się na Boga, przyjmowanie wszystkiego z taką wdzięcznością, jest bardzo przejmujące.

Siostra Krystyna od siedmiu lat sprząta klatki schodowe. Na początku były zdziwione spojrzenia mieszkańców, domysły... Niektórzy pytali od razu, inni dopiero po kilku miesiącach, ktoś zapraszał do domu, próbując odkryć przyczynę. Teraz jest to już naturalne. Przyzwyczaiła się.

Gdy pytam o monotonię, siostra odpowiada: – Dla nas monotonia jest ważnym doświadczeniem. Nazaret jest monotonią. Nie myślałam o zmianie pracy. Lubię ją, chociaż czasami mnie denerwuje. Wiem, że jest szokująca dla ludzi. To mocny znak, myślę, że potrzebny: dlaczego ktoś rezygnuje ze wszystkiego, żeby wykonywać taką prozaiczną pracę? Zamiatać schody bez końca...

Z pasją uczęszcza na kurs biblijnego języka hebrajskiego. Już piąty rok. Pokazuje mi książki, Biblię, hebrajskie słowa. Widzę radość w jej oczach.

– Od czasu do czasu wraca do mnie zdumienie, że to ja jestem na tej drodze.

Powtarza, że ciężko jej znaleźć odpowiednie słowa. – Przecież na tych rekolekcjach, gdzie usłyszałam o bracie Karolu, było tyle innych dziewczyn, więc dlaczego ja? To nie jest żal. Nie umiem tego wyjaśnić. Nie jest to też zachwyt swoją osobą. Myślę, że to dotyka tajemnicy Boga, który wchodzi w relacje, w więź z każdym z nas. Potem ta droga z Nim może nagle zejść na takie ścieżki, które zostawiają człowieka oszołomionym, po francusku *bouche ouverte*, z buzią otwartą. Dlaczego ja? Może Pan potrzebuje takiego znaku. Znaku życia dziewiczego, życia w kluczu Nazaretu... Dotykasz tajemnicy i to jest takie transcendentne... Trochę wprawia cię w bojaźń. Może to tak, jak Mojżesz stał przed krzakiem na pustyni. Widział, że krzak płonie, ale się nie spala. I akurat on przed tym stał. Dlaczego ja?

Wśród ludzi

Księdza Igora z Brześcia siostra Krystyna poznała, gdy zaraz po powrocie z Nigru przyjechała do Kostomłotów – wioski nad Bugiem, w której istnieje jedyna w Polsce parafia neounicka modląca się w obrządku bizantyjsko-słowiańskim. Uczyła się tam nowej kultury i języka staro-cerkiewno-słowiańskiego. Dołączyła do tamtejszego zgromadzenia, żeby budować jedność. – To jest mała parafia, gdzie żyją jednocześnie prawosławni, unici i rzymscy katolicy. Chociaż należymy do Kościoła rzymskokatolickiego, w tej wiosce zdecydowałyśmy się, by należeć do Kościoła unickiego. Zgodnie z myślą, żeby stać się „jednym z" – wyjaśnia siostra Krystyna.

Ksiądz Igor długo próbował zrozumieć charyzmat Małych Sióstr Jezusa. Często zadawał sobie pytanie o sens ich życia.

Czekam, aż siostra Krystyna dokończy opowieść.

– W końcu ksiądz z Brześcia na modlitwie usłyszał odpowiedź: „Igor, Ja Jestem. One są".

© AGNIESZKA SKIBIŃSKA

SZYMON

Hołownia:
Obsesje

Jeśli komuś wydawało się, że byliśmy już na dnie niemądrych wypowiedzi polskich biskupów – parę dni temu mógł usłyszeć pukanie od spodu w to dno. Komunikat wydany po zebraniu Rady Biskupów Diecezjalnych, wyrażający solidarność z abp. Jędraszewskim i informujący, że biskupi „modlili się za tych, którzy stają się pierwszymi ofiarami ideologii LGBT" (każdy z nas z pewnością widział te hordy osób homoseksualnych i transpłciowych atakujących piesze pielgrzymki, upuszczających krew pochwyconym niecnie ministrantom i rozbijających zebrania Kół Żywego Różańca), był tylko jednym z dowodów na to, że nasi hierarchowie, broniąc się przed zarzutami o kunktatorstwo w sprawie wyjaśniania skandali pedofilskich, przyjęli linię obrony właściwą emocjonalności przedszkolaka. Opowiedzieli sobie bajkę, w której to oni obsadzili się w roli ofiar, następnie sami głęboko w nią uwierzyli, po czym uronili szczerą modlitewną łzę nad swoim ciężkim losem.

Nieszczęścia zwykły chodzić parami, obradujący na Jasnej Górze szefowie diecezji wydali więc też i drugi dokument: „Stanowisko biskupów diecezjalnych w sprawie aktów przemocy motywowanych nienawiścią wobec Kościoła katolickiego i jego wiernych". Daje on czytelnikom nie tylko szansę na uzupełnienie wiedzy w zakresie filozofii sztuki, nauczanie której okazuje się być jedną z biskupich kompetencji („Wypełniając powierzone nam nauczycielskie zadanie w Kościele, przypominamy, że miejsca, obrzędy i obrazy święte nawet w zakresie twórczości artystycznej nie są wyrazem tzw. wolności artystycznej, rozumianej jako zupełna dowolność twórcy w przedstawianiu i interpretowaniu znaków świętych, zgodnie z własnym poczuciem estetyki lub subiektywną wyobraźnią artystyczną, która bywa także poruszana motywacją ideologiczną" – konia z rzędem temu, kto zrozumie, o co w tym zdaniu się rozchodzi). Zawiera też coś, z czego niepodobna się już nabijać. Policzek wymierzony wszystkim chrześcijanom, którzy doświadczają dziś realnych prześladowań: tracą szanse, pracę, majątek, życie.

Rozumiem, że nie każdy z biskupów diecezjalnych miał w życiu okazję być w północnej Nigerii, Syrii, Iraku czy Arabii Saudyjskiej, ale każdy z nich ma dziś u siebie w kurii internet. Dalibóg nie wiem, jak będąc biskupem w kraju, w którym katolicyzm ma się jak pączek w maśle, Kościół idzie ramię w ramię z potężną partią rządzącą i cieszy się niemożliwymi do wyobrażenia nigdzie na świecie (poza Watykanem) przywilejami, można w ogóle pisać, że apeluje się „o podjęcie kroków prawnych lub innych, które skutecznie zapewnią realizowanie wolności religijnej i sprawią, że Kościół katolicki w Polsce będzie mógł bez przeszkód nieść orędzie Chrystusa i wypełniać swoją misję". Jak będzie można po tym, na Bożym sądzie, spojrzeć w twarz 170 tysiącom chrześcijan, którzy każdego roku na świecie tracą życie ze względu na Chrystusa, podczas gdy w Polsce jedynym prześladowaniem, jakie może dotknąć katolika, jest ukłucie w sercu, gdy ktoś pomaże coś po świętej ikonie, bo wpadło mu do głowy, że w tak głupi sposób najlepiej wyraża się swoje sprzeczne z kościelnymi poglądy?

Znam osobiście nie jednego, ale wielu polskich biskupów. To pozwala mi zakładać, że niejeden z nich pukał się w myśli w głowę, gdy słuchał niektórych słów z obu dokumentów. Dlaczego nie zaprotestowali? W imię jakiej jedności, lojalności, wobec kogo stchórzyli? Który to już raz usłyszę później w prywatnej rozmowie: „Ma pan rację. Tak jest. Dobrze pan powiedział"? Tylko czy to moim zadaniem i innych oburzonych dziś świeckich jest bycie ich ustami? Skoro otrzymali od Boga pełnię kapłaństwa, dlaczego wciąż jest w niej miejsce na lęk?

Pogodziłem się już z wielokrotnie wyrażaną i tu myślą: polski Episkopat ze ślepą konsekwencją prowadzi Kościół instytucjonalny w Polsce, w formie jaką znamy, do upadku. I chyba coraz mniej we mnie zapału do tego, by komuś, kto tak się uparł, by wszystko zniszczyć, przeszkadzać. Oczywiście, że jest tu też nadzieja. Bo Kościół jako taki przetrwa. Odrodzi się z małych, żywych wspólnot, parafii, rodzin, dzieł miłosierdzia, grup, które oprą się politycznym i ideologicznym obsesjom pasterzy.

Wielu moich znajomych deklaruje dziś, że na znak protestu przestaje łożyć na tacę, a środki wpłaci wprost na sensowne dzieła prowadzone przez Kościół, bo nie chce mieć poczucia, że współpłaci za bzdury takie, jak te cytowane powyżej, chce powiedzieć tym gestem: „nie w moim imieniu", skoro nie może zrobić nic więcej. Doskonale ich rozumiem, choć ja mam z tą formułą protestu taki kłopot, że przecież banknot kładziony na tacę nie jest opłatą za usługę, lecz ofiarą, ekwiwalentem mojego czasu (poświęconego na pracę), który dołączam do składanych na ołtarzu płodów ziemi, chleba i wina – to coś o dużo większym znaczeniowym ciężarze niż tygodniowa składka za przynależność do klubu. Poza tym świadomie wybrałem kościół, do którego chodzę, tu nigdy nie ma kazań o polityce, tu nie walczy się z ideologiami, tu oddaje się prawdziwą chwałę Bogu. Gdy przestanę dawać na tacę – ukarzę więc dobrego księdza, który owszem, nie będzie miał z czego ukręcić daniny biskupowi, ale też zapłacić za prąd czy organiście. W końcu zaś kuria powie mu: „coś słabo ostatnio u księdza, chyba musimy dokonać zmian kadrowych". Podetnę ostatnią gałąź, na której w Kościele siedzę.

Strajk konsumencki to rozwiązanie dobre pod warunkiem, że omija dobre sklepy. Niech jak najszybciej opustoszeją te kościoły, w których Pan Jezus jest członkiem PiS-u, w których szczuje się heteroseksualistów na gejów. Niech jednak frekwencyjnego (i finansowego) wiatru w żagle dostaną te wspólnoty, w których głosi się nadzieję, nie strach, nie butę, nie jakieś wizje świata wzięte prosto z Marsa. Wyżywanie się na szeregowcach, gdy chce się dotknąć generałów, to – powtórzę – zły pomysł. Można jednak zasypać ich listami. Ignorować organizowane przez nich defilady. Odmówić – ale z poziomu parafialnej rady ekonomicznej – raz czy drugi przekazania dotacji na kurię. A przede wszystkim – naprawdę modlić się za nich. O cud: uzdrowienie ich serc, umysłów i oczu. ©

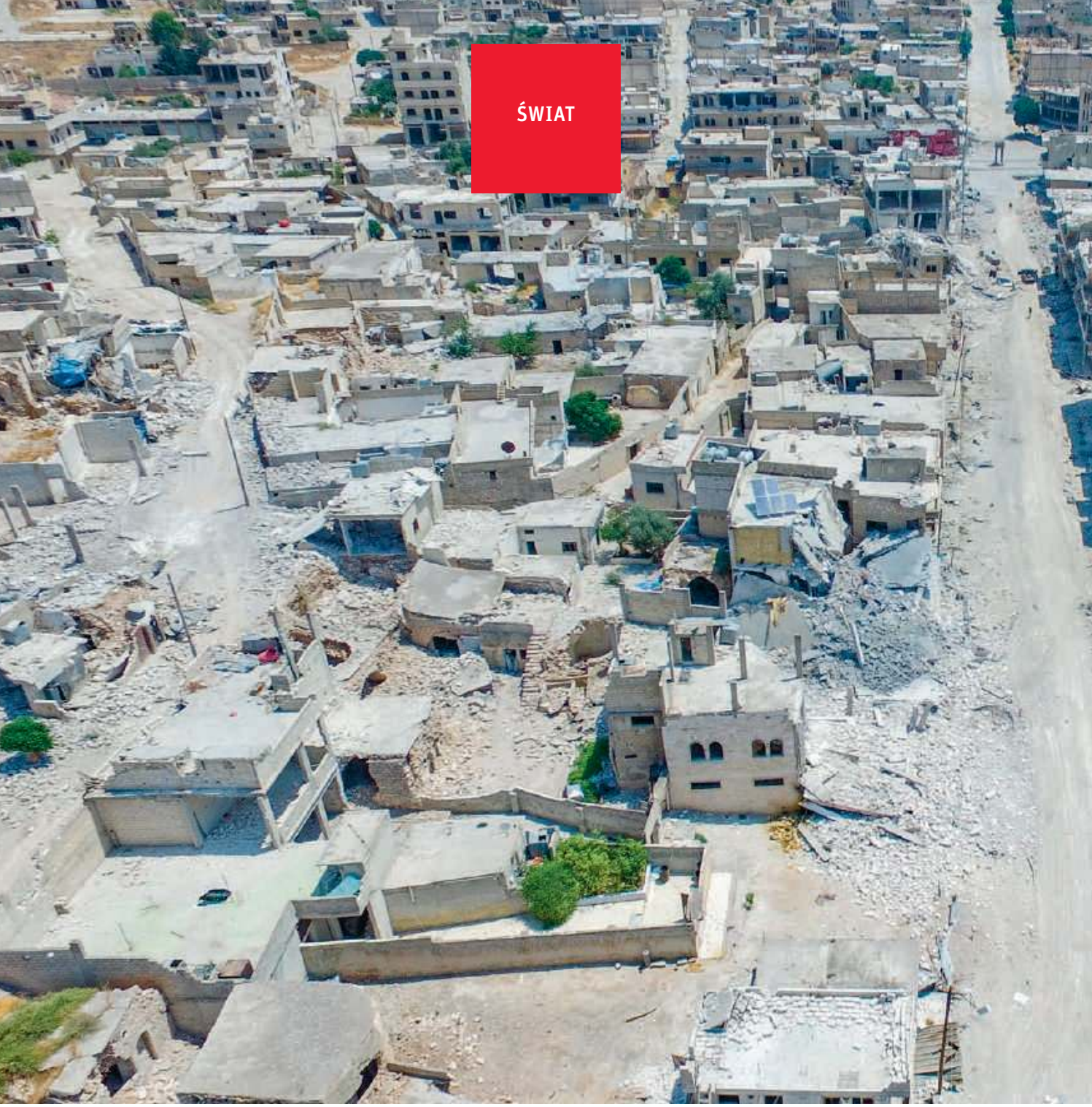

ASAD PODBIJA SYRIĘ

Armia rządowa zajęła miasto Chan Szajchun, ważne strategicznie i symbolicznie. Reżim dokonał tu jednej z najgorszych masakr z wykorzystaniem gazów bojowych.

INGA ROGG Z JEROZOLIMY

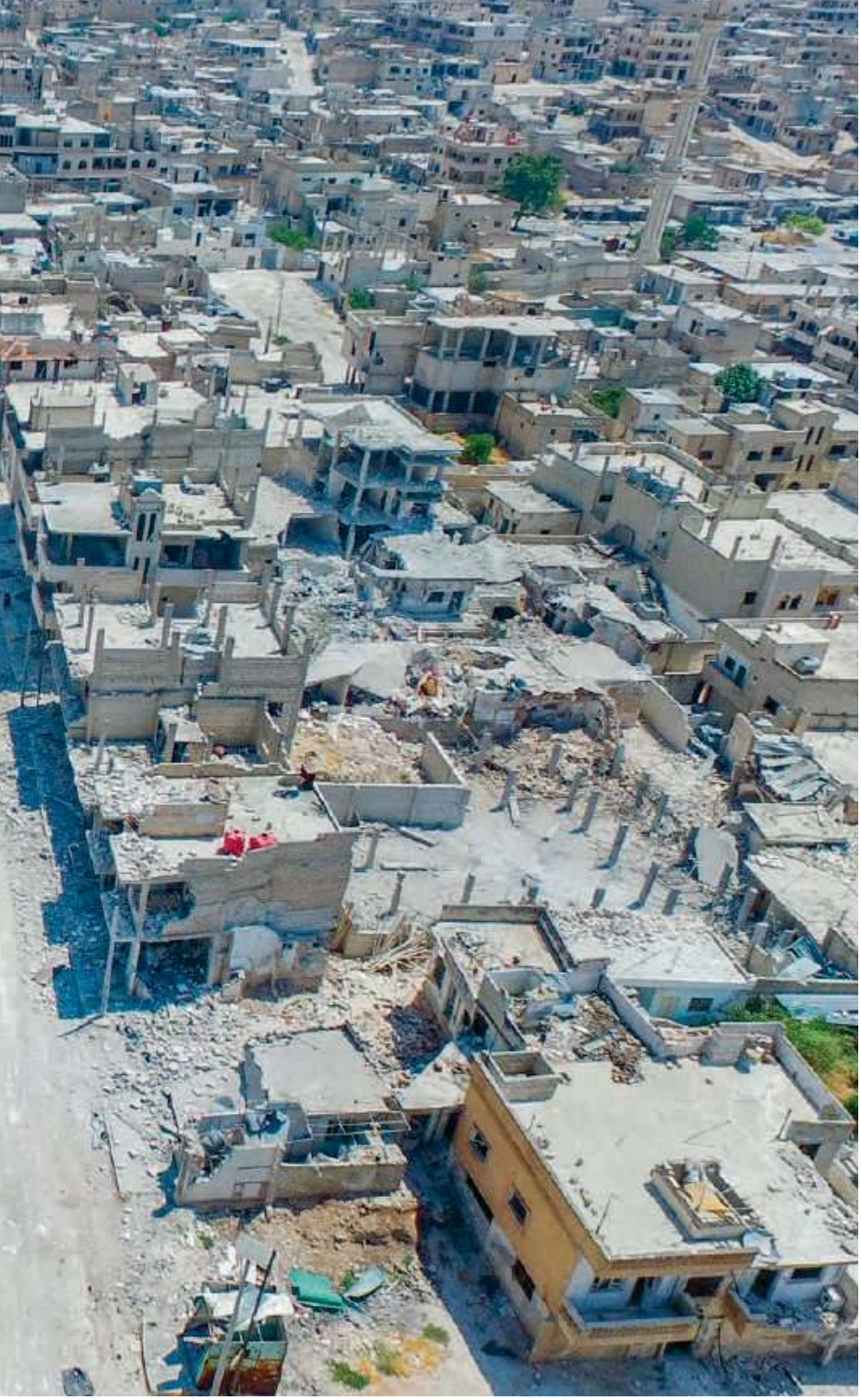

IZEDDIN IDLIBI / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Widok na miasto Chan Szajchun w syryjskiej prowincji Idlib, 3 sierpnia 2019 r.

Na pozór była to jedna z wielu podobnych wieści, jakie ostatnio napływają z Syrii. W ostatnich dniach sierpnia wojska rządowe wdarły się do Chan Szajchun. Przed wojną to miasto, położone w południowej części prowincji Idlib, liczyło 35 tys. mieszkańców. Teraz to opustoszałe ruiny.

Siły lądowe prezydenta Baszara al-Asada, wspierane z powietrza, atakowały je od wielu tygodni. Syryjscy powstańcy w końcu wycofali się z miasta. Wraz z nimi opuściły je dziesiątki tysięcy cywilów – mieszkańców i tych, którzy się tutaj wcześniej schronili. Wprawdzie – według dochodzących z Chan Szajchun informacji – grupy powstańców stawiały jeszcze opór w południowej części miejscowości, jednak w obliczu ciągłych nalotów, prowadzonych przez samoloty rządowe i rosyjskich sojuszników Asada, ich klęska była kwestią czasu.

Jeśli reżimowi Asada uda się na trwałe przejąć kontrolę nad Chan Szajchun, będzie to przełom dla rządu w Damaszku. W ten sposób powstańcy, którzy pozostają jeszcze na terenach na południe od miasta, znaleźliby się w okrążeniu. Byliby też odcięci od strategicznie ważnej drogi, która prowadzi z Aleppo przez centralną Syrię do Damaszku.

Ale Chan Szajchun jest ważne nie tylko z tego powodu. To również miejsce-symbol – i dla samego powstania przeciwko Asadowi, i dla jego zbrodni.

Ekstremiści pretekstem dla Rosji

Pięć lat temu powstańcom udało się wyprzeć syryjskie wojska rządowe z Chan Szajchun. Usiłując odzyskać miasteczko – niewielkie, ale mające, jak powiedziano, położenie strategiczne – reżim Asada przeprowadził tutaj wiosną 2017 r. jeden z najgorszych ataków z użyciem broni chemicznej. W ataku, podczas którego 4 kwietnia 2017 r. użyto gazu bojowego, zginęło ponad 80 ludzi, a setki odniosły rany [patrz „TP" nr 16/2017 – red.]. Śledztwo przeprowadzone przez ekspertów ONZ potwierdziło później, że reżim Asada zastosował wtedy sarin, jeden z najbardziej śmiercionośnych gazów bojowych. W odwecie prezydent Donald Trump rozkazał zaatakować pociskami manewrującymi Tomahawk położoną w pobliżu syryjską bazę lotniczą.

Prezydent Asad nigdy nie pozostawiał wątpliwości, że chce odbić całą Syrię – obojętne, za jaką cenę. Chan Szajchun leży dziś pośrodku strefy zdemilitaryzowanej – tej, na którą we wrześniu 2018 r. zgodziły się Rosja i Turcja. W praktyce jednak strefa zdemilitaryzowana od dawna istnieje już tylko na papierze. Mając wsparcie rosyjskiego lotnictwa, pod koniec kwietnia tego roku reżim rozpoczął ofensywę na ten region – ostatni większy kawałek Syrii pozostający w rękach antyasadowskich powstańców.

Wprawdzie od tego czasu co i rusz ustalano zawieszenia broni, jednak trwały one krótko. Ostatnie załamało się w pierwszej połowie sierpnia. Od tego momentu siły rządowe systematycznie bombardowały okolice Chan Szajchun. Rebelianci twierdzili wielokrotnie, że ↦

siły rządowe są wspierane w tej ofensywie przez milicje, które pozostają pod rozkazami Iranu – choć jak dotąd nie ma na to dowodów.

Natomiast Rosja przyznała, że w walkach biorą udział również jej wojska lądowe. Jako pretekst służy tutaj Rosjanom obecność islamskich ekstremistów. Większa część prowincji Idlib, a przede wszystkim tereny położone wzdłuż linii frontu, są kontrolowane przez Hayat Tahrir al-Sham (Organizację na rzecz Wyzwolenia Lewantu – HTS). Jest to powstała w styczniu 2017 r. koalicja różnych grup zbrojnych wywodzących się z „otuliny" syryjskiej odnogi Al-Kaidy i organizacji o profilu dżihadystycznym. Bojownicy związani z HTS wielokrotnie atakowali rosyjską bazę lotniczą w Humajmim, naruszając tym samym umowę rosyjsko-turecką.

Ankara w tarapatach

W obliczu ostatniej eskalacji walk francuski prezydent Emmanuel Macron zaapelował do Władimira Putina, aby „pilnie wcielić w życie" umowę rozejmową. Także Waszyngton krytykował postępowanie reżimu Asada i jego sojuszników. Na Moskwie nie zrobiło to najwyraźniej wrażenia. Cytowany przez rosyjskie media minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow mówił, że odpowiedzialność za to, co dzieje się teraz w Idlib, mają ponosić ekstremiści, jako że nie zaprzestali swych ataków. Ławrow skrytykował przy tym otwarcie Turcję, twierdząc, że armia turecka nie zapobiegła atakom „terrorystów".

Turcja założyła wcześniej w strefie zdemilitaryzowanej dwanaście posterunków obserwacyjnych. W drugiej połowie sierpnia armia turecka wysłała – jak sama podała – posiłki do jednego z tych posterunków. Jednak syryjskie lotnictwo zbombardowało turecki konwój, właśnie w okolicy Chan Szajchun. Teraz, po faktycznym zajęciu miasta przez syryjskie wojsko rządowe, turecki posterunek został odcięty – na terenie kontrolowanym już przez reżim. Jeszcze pod koniec sierpnia Ankara twierdziła jednak, że nie zamierza ewakuować swoich żołnierzy. „Niech reżim nie igra z ogniem" – mówił turecki minister spraw zagranicznych Mevlüt Çavuşoğlu, dodając, że Turcja zrobi wszystko, by zagwarantować bezpieczeństwo swoich żołnierzy.

Co prawda Ankara wciąż wspiera koalicję rebeliantów w północno-zachodniej Syrii, dostarczając im uzbrojenie, ale prezydent Recep Tayyip Erdoğan zapewne wolałby uniknąć otwartej konfrontacji z reżimem Asada. Głównym zamierzeniem Erdoğana jest dziś raczej to, aby zapobiec kolejnej masowej ucieczce Syryjczyków w kierunku swojej granicy. Turecki prezydent jest tutaj zdany na dobrą wolę Moskwy.

Cywile w pułapce

Rozpoczynając wiosną ofensywę na Idlib – tę ostatnią już dziś „twierdzę" antyasadowskiego powstania – prezydent Syrii i jego sojusznicy zmienili dotychczasową taktykę. Zamiast poprowadzić generalną ofensywę na cały region – czego obawiało się wielu obserwatorów – postawili na „taktykę salami": stopniowego zajmowania kolejnych kawałków terenu, krok po kroku. W praktyce wygląda to

Izrael poszerza front przeciw Iranowi i jego sojusznikom

OPRÓCZ CELÓW W SYRII izraelskie lotnictwo atakowało w ostatnich dniach sierpnia także cele w Libanie i Iraku. W ten sposób Izraelczycy realizują swoje zapowiedzi, że uczynią wszystko, by zapobiec możliwemu zagrożeniu ze strony Iranu i jego sojuszników.

Według libańskich mediów nocą z 25 na 26 sierpnia trzy izraelskie drony ostrzelały bazę palestyńskiej organizacji Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny – Dowództwo Naczelne na wyżynie Bekaa. Ugrupowanie to ma kwaterę główną w Damaszku, jest sojusznikiem libańskiego Hezbollahu (szyickiej „Armii Boga") i tak jak Hezbollah otrzymuje wsparcie z Iranu. Kilka godzin wcześniej dron kamikadze (aparat bezzałogowy z materiałem wybuchowym) uderzył w bazę Hezbollahu w południowej dzielnicy Bejrutu; winą za atak Hezbollah obarczył Izrael.

Jeśli potwierdzi się, że za te ataki w Libanie odpowiada Izrael, byłyby to pierwsze akcje tego typu od czasu wojny między Izraelem i Hezbollahem w 2006 r. Gdyby bojownicy Hezbollahu mieli zrealizować swe groźby odwetu, Bliski Wschód znalazłby się u progu nowej wojny. Fakt, że Izrael akceptuje takie ryzyko, jest sygnałem, jak poważnie Izraelczycy traktują zagrożenie ze strony Iranu i jego sprzymierzeńców.

Zresztą – sygnałem kolejnym. Pod koniec sierpnia izraelskie lotnictwo atakowało też cele w Syrii (ponownie) oraz, podobno, w Iraku. Izraelczycy twierdzą, że bombardując domniemaną bazę irańskich Strażników Rewolucji pod Damaszkiem zapobiegli „poważnemu atakowi na Izrael, do którego miały być użyte liczne drony kamikadze". Atak ten mieli przygotowywać bojownicy Hezbollahu, przeszkoleni wcześniej w Iranie w obsłudze dronów.

Z kolei w zachodnim Iraku celem ataku bombowego przeprowadzonego przez drony był konwój szyickiej milicji Brygady Hezbollahu. O jego dokonanie milicja oskarżyła Izrael; miałby to być piąty już izraelski atak w Iraku w ostatnich tygodniach. Izraelczycy nie potwierdzili, że były to ich drony. Jednak operacja wpisuje się we wzorzec „irańskiego korytarza lądowego" od Teheranu do izraelskiej granicy, któremu Izraelczycy starają się zapobiec wszelkimi środkami. Jak dotąd im się to nie udało, mimo kilkuset już nalotów przeprowadzonych przez izraelskie lotnictwo na terenie Syrii. Jest wątpliwe, czy większe efekty da taktyka brania na celownik irańskich interesów równocześnie na wielu frontach.

Ponadto w przypadku Iraku taka taktyka Izraela może zachwiać kruchą równowagą między różnymi frakcjami w irackim rządzie, wśród których duże wpływy mają frakcje proirańskie. Związani z nimi politycy nazwali teraz izraelskie ataki „wypowiedzeniem wojny" i zażądali wycofania z Iraku żołnierzy USA. Niemiecko-irański politolog Ali Fathollah-Nejad uważa, że w ten sposób „zwiększa się niebezpieczeństwo, iż Irak w większym niż dotąd stopniu stanie się polem konfrontacji irańsko-amerykańskiej". © INGA ROGG

tak, że zamiast „dywanowych” bombardowań celów cywilnych Asad i jego sojusznicy koncentrują się na poszczególnych miejscowościach, poddając je „punktowo” ostrzałowi.

Taka taktyka oznacza wyższe straty własne, lecz Damaszek najwyraźniej jest gotów ponosić tę cenę. Z szacunków niezależnych obserwatorów wynika, że od kwietnia, od początku tej ofensywy, po stronie reżimu zginęło ok. 2 tys. żołnierzy. Straty sił powstańczych są – według informacji z ich otoczenia – co najmniej tak samo wysokie. Tymczasem nawet koalicja HTS – której bojownicy mają największe doświadczenie, i którzy przewodzili po stronie powstańczej podczas walk o Chan Szajchun – nie jest w stanie na dłuższą metę kompensować sobie tak wielkich strat w szeregach.

Dla ludności cywilnej fatalne skutki ma zarówno polityczne przeciąganie liny między Ankarą oraz Moskwą, jak też notoryczna słabość rebeliantów wspieranych przez Turcję. Choć większość Syryjczyków nie podziela – ujmując rzecz łagodnie – poglądów radykałów z Hayat Tahrir al-Sham, to wielu z nich stanęło za nimi, gdyż w gruncie rzeczy byli oni jedynymi, którzy chronili ich przed grożącą ofensywą – i w ślad za tym: zemstą – ze strony wojsk Asada.

Także dlatego setki tysięcy syryjskich wygnańców szukały schronienia właśnie w prowincji Idlib – po tym, jak w ostatnich latach jedna po drugiej padały powstańcze enklawy rozsiane wcześniej po całej Syrii. W ten sposób miasteczko Chan Szajchun stało się nagle sporym miastem.

Teraz trwa kolejny exodus. Organizacje humanitarne twierdzą, że w ciągu minionych pięciu miesięcy z południowej części prowincji Idlib uciekło już kilkaset tysięcy cywilów. Uciekają w kierunku północnym, na tereny położone blisko granicy z Turcją. Jednak granica ta jest dziś zamknięta.

© INGA ROGG
Przełożył WP

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung”, specjalizuje się w tematyce Bliskiego Wschodu. Przez ostatnie siedem lat mieszkała w Stambule, a wcześniej w Bagdadzie. Obecnie mieszka i pracuje w Jerozolimie.

HINDUSTAN TIMES / GETTY IMAGES

Protest Indusów po decyzji rządu Malezji, że nie deportuje Zakira Naika do Indii. Islamski kaznodzieja jest ścigany w wielu krajach Azji. New Delhi, lipiec 2019 r.

Nienawiść z importu

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z KUALA LUMPUR

Malezyjska policja bada sprawę nienawistnych kazań głoszonych przez Zakira Naika, islamskiego telekaznodzieję pochodzącego z Indii. Przybysz naruszył delikatną równowagę etniczno-religijną, która w tej części Azji jest coraz rzadsza.

Hinduiści mają w Malezji „sto razy więcej praw” niż mniejszość muzułmańska w Indiach, choć są przy tym bardziej lojalni wobec indyjskiego premiera Modiego niż wobec malezyjskiego rządu, a miejscowi Chińczycy to jedynie „goście”, którzy powinni wrócić do Chin – takie opinie można było usłyszeć podczas kazania Zakira Naika, które ten muzułmański duchowny wygłosił w konserwatywnym malezyjskim stanie Kelantan.

Są w Azji kraje, w których eksploatowanie niechęci do mniejszości narodowych mogłoby ujść na sucho. Ale w ponad 30-milionowej Malezji – gdzie dwie trzecie mieszkańców to muzułmanie, a reszta, odpowiednio, wyznawcy buddyzmu, chrześcijaństwa i hinduizmu (tych ostatnich jest ok. 6 proc.) – harmonia społeczna jest pilnie strzeżona. Wypowiedzi popularnego kaznodziei wywołały więc gniew i oburzenie, a sprawa od połowy sierpnia nie schodzi z pierwszych stron gazet.

Moralista z zarzutami

Zakir Naik – z wykształcenia lekarz (niepraktykujący), świetny mówca i islamski moralista – urodził się w Mumbaju niespełna 54 lata temu. Popularność zyskał, gdy w 2006 r. założył satelitarną telewizję Peace TV, która nadaje ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich w języku urdu, po angielsku, bengalsku i mandaryńsku. Za cel Naik stawia sobie nawracanie na islam – tyle tylko, że często w prowokacyjnym stylu.

Trzy lata temu kaznodzieja uciekł z rodzinnych Indii, gdy zarzucono mu, że promuje wrogość i nienawiść między religiami. Władze w Delhi oskarżają go też o przestępstwa finansowe i nawoływanie do terroryzmu. Z kolei rząd sąsiedniego Bangladeszu twierdzi, że swoimi kazaniami Naik przyczynił ↦

↦ się do radykalizacji nastolatków, którzy zamordowali 22 ludzi w kawiarni w stołecznej Dhace.

W obu tych krajach, podobnie jak w Kanadzie, Naik ma zakaz publicznych wystąpień i nie można tam oglądać jego programów. Po zamachach na Sri Lance w Wielkanoc tego roku także rząd w Kolombo zdelegalizował Peace TV. To samo – za szerzenie homofobicznej mowy nienawiści – rozważa Wielka Brytania.

W Malezji, która podjęła go jak specjalnego gościa i przyznała status stałego rezydenta, Naik mieszka od 2016 r. Obserwatorzy miejscowej polityki uważają, że zapraszając go, poprzedni premier chciał się przypodobać muzułmańskim wyborcom, wśród których mówca jest bardzo popularny. Nowemu rządowi nie wypada go teraz wprost atakować, stąd na każdym kroku politycy podkreślają, jak bardzo szanują Naika jako postać życia religijnego. Fotografowali się z nim zarówno były, jak i obecny szef rządu.

Gdy w czerwcu rząd w Delhi zwrócił się do Kuala Lumpur o jego ekstradycję, Malezyjczycy odmówili – twierdząc, że islamski trybun nie może liczyć na sprawiedliwy proces w swej ojczyźnie.

Jednak teraz, po ujawnieniu treści jego kazania w Kelantanie, wszystko mogło się zmienić. Zaprotestowała dwumilionowa mniejszość indyjska, a później dołączyło do niej kilku ministrów i media, żądając jego deportacji.

Ani słowa o mniejszościach

Kaznodzieję – oficjalnie podejrzanego o umyślną zniewagę, z zamiarem sprowokowania naruszenia pokoju – długo i wielokrotnie przesłuchiwała malezyjska policja. Dostał też zakaz publicznych występów, w tym za pośrednictwem mediów społecznościowych. Premier Mahathir Mohamad stanowczo stwierdził, że choć Naik może wygłaszać kazania o zasadach wiary, to ma trzymać się z daleka od polityki etnicznej Malezji.

Zakir Naik szybko oświadczył, że jego słowa wyjęto z kontekstu, że nie jest rasistą i nie zamierzał wypowiadać się przeciwko jakiejkolwiek mniejszości.

Policyjne śledztwo trwa, bo – jak powiedział minister spraw wewnętrznych Muhyiddin Yassin – nikt nie stoi ponad prawem i nie ma od tego wyjątków, zwłaszcza w sprawach bezpieczeństwa narodowego, a za taką jest tu uważana harmonia społeczna. Minister dodał, że Naik powinien uznać swój status rezydenta za przywilej i nie przeciwstawiać się etyce i prawu, jakie obowiązują w goszczącym go kraju.

W sprawie ekstradycji Malezja nie zmieniła jednak zdania. Proponowano wprawdzie wydalenie Naika do jakiegoś trzeciego kraju, ale rząd Mahathira mógłby zapłacić za taki krok zbyt wysoką cenę. Ekipa skorumpowanego byłego premiera Najiba próbuje przedstawić swoich następców i oponentów jako wrogich islamowi, grając na religijnych uprzedzeniach Malajów.

Z kolei miejscowi duchowni są w sprawie Naika podzieleni. Mufti najbardziej zróżnicowanego etnicznie stanu Penang, Wan Salim Noor, wyraził pogląd, że zagraniczni kaznodzieje w ogóle nie powinni być sprowadzani do Malezji, bo ich wystąpienia zakłócają spokój wielokulturowego społeczeństwa.

Delikatna tkanka społeczna

Jak już powiedzieliśmy, nieco ponad 60 proc. obywateli Malezji to muzułmanie, głównie etniczni Malajowie. Pozostali to – wyznający różne religie – Chińczycy i przybysze z Indii, którzy od 200 lat współtworzą miejscową kulturę.

Od pół wieku, dzięki skutecznej polityce etnicznej, w kraju nie doszło do żadnych poważnych ekscesów między społecznościami, a Malezyjczycy, z którymi rozmawiam na temat afery, chcieliby utrzymać *status quo*.

– O religii lepiej nie dyskutować publicznie, to prowadzi tylko do złego. Nie chcemy w Malezji tego, co się dzieje w Indiach, na Sri Lance czy w Birmie – mówi mi Yasin, malajski właściciel restauracji. Z kolei Emma, agentka nieruchomości, której dziadkowie przypłynęli tu z Chin, ma coraz więcej obaw. Widzi postępującą radykalizację Malajów i przypomina o krwawych zamieszkach rasowo-religijnych z 1969 r.

Być może z powodu takich właśnie obaw rząd stara się wyciszyć sprawę. Anwar Ibrahim, lider rządzącej koalicji, zablokował zaplanowany wcześniej uliczny protest przeciw kaznodziei. Osobiście zadzwonił do organizatora, przekonując, że marsz należy odwołać, i obiecując, że na Zakira Naika spróbuje wpłynąć inaczej.

Tylko czy kaznodzieja posłucha głosu rozsądku? © TOMASZ AUGUSTYNIAK

Chytry plan Johnsona

MARCIN ŻYŁA

Brytyjski premier na wojnie z parlamentem – jego cel to brexit za wszelką cenę lub wygrana w przyspieszonych wyborach. Wkrótce może osiągnąć jedno i drugie.

Reguła jest prosta: gdy na londyńskiej giełdzie najbardziej zwyżkują akcje przedsiębiorstw zajmujących się wydobyciem złota w Afryce, spadają zaś kursy angielskich firm budowlanych, znaczy to, że zbliża się tzw. twardy brexit – i związane z nim ryzyko, trudne do przewidzenia.

Tak właśnie było w minioną środę, 28 sierpnia, gdy ogłoszono, że królowa Elżbieta II – działając zgodnie z sugestią doradców, trojga członków Tajnej Rady Jej Majestatu (w praktyce: współpracowników premiera) – nakazała zawieszenie prac brytyjskiego parlamentu między 9 września a 14 października. Wnosił o to sam premier Boris Johnson. Tłumaczył, że obecna sesja parlamentu trwa już ponad dwa lata, a „nowe otwarcie" umożliwi przedstawienie posłom strategii rządu na kolejne miesiące, kiedy Wielka Brytania nie będzie już członkiem Unii Europejskiej.

Mało kto jednak premierowi uwierzył.

Zostały cztery dni

Dla opozycji, wielu członków jego własnej Partii Konserwatywnej, większości posłów oraz dla milionów obywateli przeciwnych wyjściu z Unii bez „umowy rozwodowej" intencje premiera są oczywiste: chodzi o ograniczenie parlamentowi możliwości zablokowania tzw. twardego brexitu.

Johnson powtarza bowiem: Brytyjczycy opuszczą Wspólnotę zgodnie z harmonogramem, czyli w czwartek, 31 października, o godzinie 23 czasu londyńskiego – z umową lub bez. Za-

VUDI XHYMSHITI / AP / EAST NEWS

Przeciwnicy brexitu protestują przed Pałacem Westminsterskim. Londyn, 28 sierpnia 2019 r.

wieszenie parlamentu czyni tę obietnicę bardzo prawdopodobną, ponieważ gdy posłowie wrócą z wakacji (we wtorek 3 września), na zapobieżenie ewentualnemu twardemu brexitowi będą mieć tylko cztery dni. W piątek wieczór wszystkie nieukończone procedury legislacyjne zostaną anulowane. A po zwołaniu nowej sesji będzie już za późno, bo 17 i 18 października – na szczycie Unii w Brukseli – zapadną ostateczne decyzje.

Wielka Brytania to państwo, w którym obawa przed despotycznymi władcami jest wpisana w polityczne DNA, a kontrola poczynań premiera przybiera formę cotygodniowych przesłuchań, podczas których puste frazesy czy próby ominięcia niewygodnych pytań kwitowane są szyderczym śmiechem nawet ze strony posłów partii rządzącej. Dlatego zawieszenie parlamentu w takim momencie (i na nieco dłuższy czas niż zwykle) wywołało wstrząs porównywalny tylko z wynikami referendum z czerwca 2016 r., w którym minimalną większością głosów zdecydowano o brexicie.

W ciągu dwóch dni petycję z żądaniem, by nie zawieszać pracy parlamentu, podpisało 1,6 mln obywateli. Kilkaset tysięcy uczestników mieli nadzieję zgromadzić organizatorzy demonstracji, które zaplanowano w wielu miejscach kraju. W sądach w Edynburgu i Belfaście mają zaś w najbliższych dniach odbyć się wysłuchania skarg obywateli, którzy zarzucają premierowi nadużycie władzy. Do trzeciej skargi, złożonej w Londynie przez aktywistkę Ginę Miller (która już raz, w 2017 r., w podobny sposób „zmusiła" ówczesny rząd do zatwierdzenia warunków brexitu przez parlament), dołączył nawet były premier i konserwatysta John Major.

Jeremy Corbyn, przewodniczący opozycyjnej Partii Pracy, zapowiedział mobilizację w parlamencie: debatę w trybie pilnym i wniosek o wotum nieufności. Jeśli wniosek przejdzie – i jeśli w ciągu dwóch tygodni nie udałoby się uzyskać poparcia dla nowego gabinetu – będzie to oznaczać przyspieszone wybory, prawdopodobnie na początku listopada.

Wszystko albo nic

Johnson powtarza, że przyspieszone wybory to ostatnia rzecz, której pragnie. Ale w ostatnich tygodniach regularnie odwiedzał szkoły, szpitale i jednostki policji, obiecując przed kamerami więcej pieniędzy na politykę społeczną i bezpieczeństwo – wyglądało to jak początek kampanii.

Choć wróżono zamieszanie, rząd działa sprawnie i reglamentuje informacje (zamiast ministrów często wypowiada się rzecznik premiera). Johnson rzadko słyszy niewygodne pytania: zrezygnował z udziału w cyklicznych konferencjach prasowych na rzecz „wideoczatów z obywatelami" na portalu społecznościowym. Parlament (a więc i najwięksi krytycy) miał przerwę wakacyjną; teraz, zawieszając go, premier zyskał dodatkowe pięć tygodni „spokoju" od posłów.

Co więcej, jeśli Johnson przetrwa falę oburzenia – i jeśli nie powstrzymają go posłowie, sądy lub demonstracje – zyska w Brukseli kartę przetargową. 21 sierpnia w Berlinie kanclerz Angela Merkel dała mu miesiąc na zaproponowanie alternatywy wobec tzw. backstopu (mechanizmu zapobiegającego powrotowi granicy między Republiką Irlandii a brytyjską Irlandią Północną, który premier uznaje za ograniczenie suwerenności). Na razie nie słychać o nowych propozycjach. Ale jeśli Londyn i Bruksela dojdą jednak do porozumienia, to w drugiej połowie października – i na kilka dni przed brexitem, gdy lęk przed skutkami wyjścia z Unii bez umowy osiągnie poziom maksimum – Izba Gmin znajdzie się przed tragicznym wyborem. Jeśli zagłosuje przeciw renegocjowanej umowie, na posłów spadnie odpowiedzialność za twardy brexit. Jeśli się na nią zgodzi, Johnson wygra dwie wojny naraz: z parlamentem oraz z Unią Europejską.

Po nich zaś, być może, następne wybory. ©℗

Tekst ukończono w piątek, 30 sierpnia.

KADRY Z FILMU MINISTERSTWA OBRONY ROSJI

Kraby z Fukushimy

ANNA ŁABUSZEWSKA

Polityka władz Rosji przypomina schemat czarnobylski: wciąż nie wiemy, co wybuchło w Zatoce Dwińskiej. Wszystko zakrywa nuklearna mgła dezinformacji. Choć może nie wszystko...

Był czwartek, 8 sierpnia, gdy na dalekim północnym poligonie na Morzu Białym coś wybuchło.

Przez pierwsze dwa dni rosyjskie władze milczały w tej sprawie jak głaz. Moskwa wybąkała niewyraźnie pod nosem, że doszło do niewielkiego, lokalnego i krótkotrwałego skażenia promieniotwórczego w okolicach miejscowości Nionoksa (liczy ona tysiąc mieszkańców) koło Siewierodwińska. Żadnych konkretów. Potwierdzono jedynie śmierć kilku osób obecnych w bezpośredniej bliskości eksplozji (o czym więcej za chwilę).

Generalna linia polityki informacyjnej władz Rosji przypominała schemat czarnobylski: najpierw milczenie, potem kłamstwa, potem znowu milczenie, potem dementi, potem krok do przodu i przyznanie się do „niewielkiego zagrożenia", po czym znowu lekceważenie, ukrywanie, mylenie śladów. I taką sytuację mamy do dziś – już miesiąc po wypadku.

Temat drążą niezależne i zagraniczne media, władze starają się unikać wyjaśnień. Zwłaszcza po tym, jak prezydent Putin podczas pobytu we Francji, indagowany przez dziennikarzy, wyniośle uciął pytania. „Och, skądże, nic groźnego się nie stało, żadnej radiacji nie było i nie ma – odparł Władimir Władimirowicz, pocierając dłonią rosnący nos Pinokia. – Nasi eksperci zbadali sprawę, nie ma powodów do niepokoju".

„Zwiastun burzy" z dna podnoszony

Ale to zapewnienie nie uspokoiło nikogo – ani w Rosji, ani poza jej granicami.

Moskwa nadal twierdziła (i twierdzi), że nic poważnego się pod Siewierodwińskiem nie wydarzyło. Jednak z niewyjaśnionych przyczyn czasowo wyłączono z użytkowania stacje monitorujące na terytorium Rosji tło radiacyjne w ramach międzynarodowego systemu monitoringu prób jądrowych – i to od centralnej Rosji aż po Czukotkę.

Media spoza Rosji miały na to proste wyjaśnienie: stacje wyłączono, by zagraniczni partnerzy nie byli w stanie zorientować się na podstawie udostępnianych pomiarów, co tak naprawdę wybuchło pod Nionoksą, jakie izotopy przedostały się do atmosfery itd. Takie dane mogłyby bowiem podpowiedzieć, czym zajmowano się na poligonie, jaka broń była testowana, jakie były komponenty paliwa rakietowego (o ile testowano rakietę) itd. Natomiast rosyjskie media państwowe powielały (i powielają) wersję, że zagrożenia nie ma.

Tymczasem radioaktywny obłok przemieścił się nad centralną Rosją, po czym dotarł aż do Mongolii. Wyłączone stacje pomiarowe nie mogły zmierzyć wartości tła radiacyjnego. „Normy radiacyjne zostały przekroczone tylko szesnastokrotnie i tylko na niedługi czas. A zatem żadnego zagrożenia nie było" – brzmi oficjalne zapewnienie.

A co wybuchło? Może „Buriewiestnik" (Zwiastun Burzy), rakieta z silnikiem o napędzie jądrowym? Może. A może „Scyt"? Może. Ministerstwo Obrony nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Natomiast według źródeł Radia Swoboda awaria, w wyniku której doszło do wybuchu i skażenia, nie miała bezpośredniego związku z testem nowej broni. Wypadek miał wydarzyć się podczas próby podniesienia rakiety „Buriewiestnik", która zaległa na dnie morskim w Zatoce Dwińskiej podczas nieudanych ćwiczeń w listopadzie 2017 r. lub w październiku 2018 r. To oczywiście jedynie kolejna już sugerowana wersja wydarzeń. Rosyjskie władze nie potwierdzają żadnej z prób wyjaśnienia okoliczności awarii, jakie przedstawiają dziennikarze i eksperci.

Radio Swoboda sugeruje, że tamtego 8 sierpnia rakieta miała zostać podniesiona z dna i następnie umieszczona na pontonach, po czym zdemontowana i poddana utylizacji. Jednak z niewiadomych przyczyn doszło – jeszcze pod wodą – do wybuchu paliwa w segmencie startowym rakiety, a wybuch zniszczył pracujący reaktor. Do atmosfery dostały się skażone substancje. Zginęli lub odnieśli rany ludzie znajdujący się na pontonach: naukowcy z instytutu pracującego na potrzeby agencji Rosatom, nurek oraz towarzyszący im wojskowi.

Wiadomo, że eksplozja na wodach Zatoki Dwińskiej była bardzo silna – wstrząsy odnotowały m.in. fińskie służby sejsmologiczne. Co udało się pozbierać po wybuchu, a co zostało w morzu – tego na razie nie mamy szans się dowiedzieć.

Testy pocisku nuklearnego „Buriewiestnik" na poligonie pod Archangielskiem, styczeń 2019 r.

Po wielkiemu cichu

Tymczasem, jak twierdzą władze Rosji, incydent był niegroźny. Zginęło pięciu naukowców i dwóch wojskowych. Kilka, może kilkanaście osób zostało poważnie rannych. Przewieziono je do szpitali.

Pod koniec sierpnia media światowe podały jednak – powołując się na lekarzy, którzy zajmowali się rannymi – że w szpitalu zmarło dwóch pacjentów przywiezionych z poligonu. I to na skutek powikłań po chorobie popromiennej. Minister zdrowia Rosji Weronika Skworcowa na konferencji prasowej poinformowała, że w tkankach lekarzy mających styczność z poszkodowanymi przywiezionymi spod Siewierodwińska stwierdzono jakieś tajemnicze zmiany.

Okazuje się bowiem, że w ramach trzymania w głębokiej tajemnicy wszystkiego, co związane z wybuchem pod Nionoksą, lekarzom i ratownikom, którzy mieli udzielić pomocy ofiarom, nie powiedziano, że podczas eksplozji doszło do skażenia promieniotwórczego. W związku z tym personel medyczny nie miał początkowo odpowiedniej odzieży, sprzętu ani nawet podstawowych środków dezaktywacyjnych. Nie zastosowano też przewidzianych w wypadku skażenia procedur oddzielenia napromieniowanych pacjentów od reszty ludzi leczonych w szpitalach: wożono ich wózkiem po korytarzach, na których siedzieli pacjenci, używano sprzętu przeznaczonego dla wszystkich, operowano w ogólnie dostępnych salach. Dezaktywację przeprowadzono dopiero następnego dnia. A później wszystko próbowano starą metodą zamieść pod dywan.

Ale nie wszystko udało się ukryć. Lekarz, w którego organizmie stwierdzono obecność izotopu cez-137, tak relacjonował przebieg zdarzeń dziennikarzom portalu Meduza (z zastrzeżeniem nieujawniania nazwiska): „Przywieźli pacjentów w ciężkim stanie. Pytaliśmy, czy nie są napromieniowani. »Nie, wszystko w porządku, przystępujcie do pracy«. Jeden z pacjentów miał złamany kręgosłup i zmiażdżone biodro. Położyliśmy go natychmiast na stół operacyjny. W czasie operacji przywieźli wreszcie z opóźnieniem dozymetry, których nie mieliśmy w szpitalu. Jak zmierzyli poziom radiacji, to w pośpiechu wybiegli z sali. To było groźne promieniowanie beta. Dopiero nazajutrz, gdy cały szpital »świecił« od cezu-137, wojsko przeprowadziło dezaktywację, wykosiło trawę wokół szpitala i wywiozło wszystkie przedmioty, które mogły zostać napromieniowane. Np. zdemontowane zostały wanny, w których byli myci pacjenci z poligonu".

Skoro był pan w Japonii...

Dalej lekarz relacjonował: „Przyjechała komisja z Ministerstwa Zdrowia, zapowiedziała, że zapłaci nam za nadgodziny, jakieś pięćset rubli [równowartość 50 zł – red.]. Była awantura". Potem przyjechali wojskowi. „Nie chcieli wejść do sal, gdzie leżeli napromieniowani pacjenci".

Wreszcie przystąpiono do badania lekarzy, którzy mieli styczność z pacjentami spod Nionoksy. W organizmie jednego stwierdzono cez-137. „To groźny izotop, znacznie podwyższa ryzyko choroby nowotworowej. A to młody człowiek, jego żona jest w ciąży".

Według relacji lekarza pracownicy komisji zaczęli wypytywać jego młodszego kolegę, gdzie był na urlopie. Gdy powiedział, że w Japonii, miał usłyszeć: „A to najadł się pan krabów z Fukushimy, dlatego ma pan podwyższone normy cezu".

„Potem komisja zebrała nas wszystkich i powiedziała, abyśmy nikomu o niczym nie mówili" – kończy swoją relację lekarz.

Tymczasem nad sprawą incydentu koło Siewierodwińska nadal unosi się skłębiony radioaktywny obłok niepokojących znaków zapytania. ©

TP

Ludzie kontra demokracja

„Tygodnik Powszechny" zaprasza na spotkanie z prof. YASCHĄ MOUNKIEM, autorem książki „Lud kontra demokracja. Dlaczego nasza wolność jest w niebezpieczeństwie i jak ją ocalić"

środa, 18 września, godz. 18
Kraków, aula Pałacu Larischa (ul. Bracka 12) – wejście obok kawiarni De Revolutionibus
Prowadzenie: Rafał Woś

UWAGA! Liczba miejsc ograniczona, obowiązują bezpłatne wejściówki, do pobrania na **powszech.net/demokracja**

Wywiad Rafała Wosia z Yaschą Mounkiem czytaj na **powszech.net/mounk**

MATERIAŁY PRASOWE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Miasta nie do życia

WOJCIECH JAGIELSKI

Indonezja i Egipt – jedne z najludniejszych krajów świata – budują nowe stolice, bo funkcjonowanie w starych stało się nie do zniesienia.

Przywódcy państw od wieków przenosili swoje stolice lub budowali nowe w miejscach, które wydawały im się lepsze, bezpieczniejsze czy korzystniejsze dla ich panowania. Po przegranej I wojnie światowej i upadku Imperium Osmańskiego Mustafa Kemal Atatürk – twórca nowoczesnej Turcji – przeniósł stolicę do Ankary, ponieważ dotychczasowa, Stambuł, znalazła się pod okupacją.

Stolica Pakistanu, Islamabad, została zbudowana w latach 60. XX w., by zastąpić pierwszą stolicę, portowe Karaczi. Na wyborze lokalizacji zaważyła wiara ówczesnych przywódców, że nowe miasto lepiej scali młode państwo, ulepione w 1947 r. z czterech krain połączonych jedynie wspólną wiarą, islamem.

Politycznym eksperymentem – i niezwykłą okazją dla popisów architektonicznych mistrzów – była też Brasília, brazylijska stolica zbudowana od podstaw w 1960 r. Miała zrównoważyć rozwój kraju, skupiony dotąd na jej wschodnich wybrzeżach, i odciążyć tamtejsze wielkie miasta: Rio de Janeiro, São Paulo, Recife i Kurytybę.

Stolica jako narzędzie

Pod koniec XX w. nową stolicę kazał budować także Nursułtan Nazarbajew, przywódca stepowego Kazachstanu. Uznał, że stara – Ałma Ata, położona na kazachskim południu – nie zapewnia odpowiedniej jedności państwa, nie zabezpiecza przed irredentyzmem. Północna część kraju zamieszkana jest bowiem przez ludność pochodzenia słowiańskiego, ciążącą ku Rosji. Kazał więc przenieść stolicę do miasteczka Akmoła, położonego pośrodku kraju, w połowie drogi między kazachskim południem a słowiańską północą. Akmołę przezwano Astaną. A gdy wiosną tego roku sędziwy Nazarbajew złożył władzę, usłużni dworzanie przechrzcili ją na Nur-Sułtan.

Z kolei wybór Canberry na stolicę Australii w 1911 r. miał zaradzić rywalizacji między Sydney i Melbourne. Wybór Ottawy na stolicę Kanady – uchronić to państwo od politycznych i regionalnych waśni między Montrealem i Toronto, a także od rywalizacji kultur francuskiej i angielskiej.

Centralne, a więc kompromisowe położenie miasta Jamusukro – między bogatym chrześcijańskim południem a ubogą muzułmańską północą – było oficjalnym argumentem za przeniesieniem tam z Abidżanu stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej. Głównym powodem przenosin – do których tak naprawdę nie doszło – był jednak fakt, że Jamusukro było rodzinną wioską założyciela państwa i jego pierwszego przywódcy.

Także przeprowadzka stolicy Nigerii z nadmorskiego Lagosu do położonej w środku kraju Abudży miała łagodzić konflikt między muzułmańską północą i chrześcijańskim południem, zagrażający istnieniu tego najludniejszego, 200-milionowego państwa w Afryce. Abudżę zbudowano także dlatego, że portowe Lagos przepoczwarzyło się w największe miasto kontynentu – urbanistyczne monstrum, tak przeludnione i zanieczyszczone, że życie w nim zaczęło przypominać koszmar.

Sen o Jawie

Postanawiając przenieść stolicę z Dżakarty w inne miejsce, przywódcy Indonezji też tłumaczą dziś, że zapewni to polityczną i gospodarczą równowagę, że stolica powinna leżeć w środku kraju, a nie na jego uboczu. W rzeczywistości przeprowadzka z Dżakarty jest konieczna, bo życie w tym mieście stało się nie do zniesienia.

Indonezja, jeden z największych archipelagów świata, składa się z kilkunastu tysięcy wysp, z których te położone najbardziej na zachodzie od tych najodleglejszych na wschodzie dzieli odległość 5 tys. kilometrów (to tak daleko, z grubsza biorąc, jak z Krakowa do Madrytu i z powrotem).

Dżakarta, położona na Jawie, leży na zachodzie. Jawa, najbogatsza z wysp i kiedyś ośrodek holenderskiej kolonizacji (Dżakarta nosiła wtedy nazwę Batawia), jako stołeczna prowincja Indonezji – niepodległej od 1945 r. – stała się jeszcze zamożniejsza i bardziej wpływowa. Szacuje się, że na Jawie żyje dwie trzecie z 260 mln Indonezyjczyków (Indonezja jest czwartym, po Chinach, Indiach i USA, najludniejszym krajem świata, a także najludniejszym krajem muzułmańskim). Tutaj znajdują się dwie trzecie bogactwa kraju. Na Jawie, a zwłaszcza w Dżakarcie, zarobki są wyższe niż gdzie indziej, lepsze są opieka lekarska, szkoły i widoki na przyszłość. Stołeczny status sprawił, że Ja-

ED WRAY / GETTY IMAGES

Podtopione północne dzielnice Dżakarty, listopad 2015 r.

wajczycy od zawsze dominują w polityce i gospodarce.

Nic dziwnego, że przenosiny do Dżakarty były zawsze dla Indonezyjczyków awansem społecznym, a miasto z każdym rokiem się rozrastało. Szacuje się, że dziś liczy ono – wraz z przedmieściami – ok. 30 mln mieszkańców, co czyni je trzecim po Tokio i São Paulo największym miastem świata. A w ciągu najbliższego ćwierćwiecza ludność Dżakarty ma się zwiększyć prawie dwukrotnie.

Dżakarta się zapada

Miasto dusi się w tłoku i skażonym powietrzu. Rozbudowa transportu publicznego, a nawet sieci dróg nigdy nie nadążyły za przyrostem liczby ludności – i dziś Dżakarta ma złą sławę najbardziej zatłoczonego miejsca na świecie, obok Bangkoku i Miasta Meksyk.

Skazani na poruszanie się samochodami – bo rozbudowa miasta sprawiła, że zwiększył się także dystans między przedmieściami a śródmieściem – mieszkańcy godzinami tkwią w ulicznych korkach. Zdarza się, że przedsiębiorczy i przekupni policjanci czy kierowcy karetek pogotowia wynajmują swoje uprzywilejowane pojazdy i wożą na sygnale pasażerów (to zwyczaj praktykowany także w zatłoczonym Teheranie).

Samochody zatruwają spalinami powietrze, co sprawia, że Dżakarta należy też do najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie. Okoliczne lasy, pola i łąki przerabiane są na budowy, tony śmieci z plastiku zatykają rzeki i kanały.

W dodatku miasto tonie. Tak szybko, jak żadne inne miasto na świecie – a toną lub zapadają się pod ziemię jeszcze m.in. Lagos, Nowy Orlean, Houston, Astrachań czy Pekin. Pobudowane na tropikalnym bagnistym terenie, co roku zapada się – zwłaszcza w północnej, nadmorskiej części – o 20–25 cm. Nadmiar ludności sprawia, że wyczerpują się pokłady wody gruntowej. Ziemia, zalana betonem i asfaltem, nie przepuszcza w głąb wody deszczowej, więc ta nie uzupełnia naturalnych zbiorników. Co roku północne dzielnice Dżakarty zalewane są też przez powodzie i sztormy, a eksperci od klimatu i urbanistyki straszą, że za 30 lat cała północna część miasta może zostać zalana – i zniknie.

Stolica pośrodku dżungli

Przeprowadzka stolicy z Dżakarty ma i uratować miasto, i zmniejszyć przepaść, jaka dzieli Jawę od pozostałych wysp.

Pomysł nie jest nowy – przyszedł on do głowy już pierwszemu prezydentowi Sukarno, założycielowi indonezyjskiego państwa. Pod koniec lat 50. XX w. rozważał on przeniesienie stolicy kraju na wyspę Borneo, do niewielkiej wówczas mieściny Palangkaraya. W zamiarach Sukarno miała ona wybić się na najważniejsze miasto potężnej wyspiarskiej konfederacji Mafilindo, składającej się z Indonezji, Malezji i Filipin. Sukarno marzył, by stworzyć takie skonfederowane państwo i stanąć na jego czele.

Pomysł wrócił za sprawą panującego od 2014 r. prezydenta Joko „Jokowi" Widodo, który w kwietniu tego roku wygrał reelekcję, a jesienią zostanie zaprzysiężony na drugą i ostatnią pięciolatkę. „Jokowi" też chce przenieść stolicę z Dżakarty na Borneo, które w części indonezyjskiej (Indonezja dzieli wyspę z Malezją i sułtanatem Brunei) nosi nazwę Kalimantan.

Na miejsce nowej stolicy wybrano 200 hektarów rządowych gruntów między miastami Balikpapan i Samarinda. Właśnie tam, pośrodku dżungli, ma stanąć nowiuteńkie i nowoczesne miasto: przestronne i czyste, wolne od tłoku, spalin, powodzi, zabójczych fal tsunami, trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów.

Budowa ma kosztować ponad 30 mld dolarów (rząd zapłaci jedną piątą; resztę – prywatni inwestorzy) i zacznie się za dwa lata. Przeprowadzka – za pięć. W nowej stolicy zamieszkają dwa, najwyżej trzy miliony ludzi – przede wszystkim przeniesieni tam z Dżakarty urzędnicy i ich rodziny. Przeprowadzka stolicy na Borneo ma ożywić i rozwinąć tę wielką wyspę – trzecią największą na świecie po Grenlandii i Nowej Gwinei, ale zamieszkałą przez zaledwie 16 mln ludzi.

Stołeczni urzędnicy i zagraniczni dyplomaci, przywykli do wygód, załamują za to ręce, bo przeniesienie stolicy oznaczać będzie dla nich konieczność przeprowadzki z wielkiego miasta w środek ↦

dżungli. Załamują ręce i protestują także obrońcy przyrody, bo budowa nowej stolicy na Borneo grozi szybszą ekspansją tamtejszych kopalń węgla i plantacji palm olejowych, wycięciem lasów deszczowych, likwidacją mateczników orangutanów.

Nowy Nowy Kair

Za to w stumilionowym Egipcie, rządzonym twardą ręką przez wojskowego dyktatora Abd al-Fattaha as-Sisiego, nikt nie protestuje – skoro za sprzeciw można wylądować w więzieniu. A prezydent uznał, że 25-milionowy Kair nie pomieści już wszystkich jego mieszkańców, życie w nim stało się nie do zniesienia, trzeba więc wybudować nową stolicę – na pustyni, 50 km na wschód od starej. Nazwy jeszcze nie ogłoszono, ale ponieważ ma wyrosnąć w pobliżu wzniesionego na przedmieściach Nowego Kairu, Egipcjanie nazywają ją potocznie Nowym Nowym Kairem.

Żeby odciążyć stary Kair, duszący się w tłoku, ciasnocie, spalinach i upale, a także aby oszczędzić pod uprawę żyzne ziemie z delty Nilu, już w latach 80. XX w. egipskie władze zaczęły budować nowe miasta na podkairskiej pustyni. Miały stać się osiedlami dla stołecznych robotników i urzędników, ale przeradzały się, niemal bez wyjątku, w azyle dla kairskich dygnitarzy i bogaczy, którzy chętnie uciekali ze śródmiejskiego ścisku i gwaru. Ich jako jedynych stać było na samochody, by dojeżdżać do centrum stolicy, i na kupno mieszkań, których ceny, wobec niezwykłego wręcz zapotrzebowania, poszybowały do niebotycznych wysokości, nieosiągalnych dla zwykłych zjadaczy chleba.

Kairczycy obawiają się, że Nowy Nowy Kair podzieli los Nowego Kairu czy Miasta Szejka Zajjeda i stanie się kolejną enklawą dla bogaczy i dygnitarzy, podczas gdy pozostali ludzie dalej będą się zmagać z uciążliwościami przeludnionego miasta. Może nawet z uciążliwościami jeszcze dokuczliwszymi, bo władze wyniosą się z niego i – nie odczuwając już na własnej skórze trudów życia w nim – będą się o nie troszczyć mniej niż dotąd.

Pobudować nowe miasto i uciec do niego jest łatwiej, niż naprawić stare. A jeśli cierpliwość kairczyków się wyczerpie i znów, jak podczas Arabskiej Wiosny roku 2011, przyjdzie im do głowy, by wyjść na ulice stolicy i domagać się ustąpienia przywódcy, do jego nowego pałacu będą mieli aż 50 kilometrów drogi, strzeżonej przez wiernych mu żołnierzy i policjantów.

Podobne względy bezpieczeństwa przyświecały też generałom rządzącym Birmą, gdy przenosili stolicę z zatłoczonego Rangunu do nowego miasta Naypyidaw, pobudowanego w górach i nieosiągalnego dla potencjalnych buntowników.

> Jeszcze sto lat temu – i także później, gdy wybijały się na niepodległość – Afryka i Azja były społecznościami wiejskimi. Dziś właśnie tam **stare miasta wynaturzają się w urbanistyczne potwory.**

Wędrówka ludu do miast

Przenosiny stolic z Dżakarty, Kairu czy Lagosu są skutkiem wielkiej urbanizacji: współczesnej wędrówki ludów uciekających z wiosek do miast za chlebem, nadzieją na lepsze i godne życie, za obietnicą wyzwolenia się z pielęgnowanego na wsi gorsetu tradycji, wyznaczającemu każdemu miejsce i rolę w życiu.

Jeszcze sto lat temu – i także później, gdy wybijały się na niepodległość – Afryka i Azja były społecznościami wiejskimi. Dziś właśnie tam stare miasta wynaturzają się w urbanistyczne potwory, coraz trudniejsze do życia, za to niemożliwe do naprawienia, wymykające się spod wszelkiej kontroli. Budowa nowych miast jest swego rodzaju kapitulacją – ucieczką od wielkomiejskiego problemu, a nie próbą jakiegokolwiek rozwiązania.

Według szacunków ONZ w 2050 r. liczba ludności świata wzrośnie do dziesięciu miliardów, z czego prawie siedem będzie mieszkać w miastach. Tymczasem jeszcze w 1950 r. na świecie żyło dwa i pół miliarda ludzi, a w miastach – niespełna miliard (mniej niż jedna trzecia).

Stare miasta w Azji i Afryce (to głównie tam odbywa się wielka wędrówka ludów), jak Kalkuta, Delhi czy Karaczi, Lagos, Kinszasa czy Kair, nie pomieściły wszystkich przybyszów, nie zapewniły im warunków do życia. Jednak nowe miasta – w XXI w. w Afryce i Azji powstało ich już ponad sto, a sto kolejnych właśnie jest budowanych – wznoszone są nie z myślą o nowych uciekinierach z wiosek, lecz raczej o tych, którzy przybyli wcześniej i zdążyli dorobić się w wielkomiejskim świecie.

Nowe, nowoczesne i wygodne, czyste i zielone miasta – jak indyjski Gurgaon, wzniesiony w pobliżu Delhi, albo pobudowany na sztucznym półwyspie nigeryjski Eko Atlantic koło Lagosu – mają nie tylko pomieścić przedstawicieli tamtejszej klasy średniej, ale też zapewnić im dobre życie.

W przeciwnym razie ludzie ci wyruszą szukać go gdzie indziej, na Zachodzie.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

TP *Kluby „TP" zapraszają na spotkania*

BERLIN, CZWARTEK, 5 września, godz. 19
„Nauka i religia – spojrzenie na sprawę Galileusza". Miejsce: sala seminaryjna klasztoru oo. dominikanów (Oldenburger Str. 46).

LUBLIN, CZWARTEK, 5 września, godz. 17
„Życie na pograniczach". Gośćmi będą Beata Halicka i Zbigniew Kruszewski. Miejsce: Collegium Iuridicum KUL (ul. Spokojna 1).

WARSZAWA, CZWARTEK, 12 września, godz. 18
„Kłopoty z teologią". Spotkanie wokół książki „Po co Kościół" ks. Grzegorza Strzelczyka. Miejsce: sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ANDRZEJ

Stasiuk:
Bahnowate

Coś nie tak było z tym pejzażem. Niby wszystko tak jak dawniej: skromność, chwiejna równowaga między próbą wzrostu a upadkiem, babcine chałupinki, ciężkie od zieleni ogródki i sady, zarośnięte przypłocia, pokruszony asfalt, po którym dało się najwyżej czterdzieści, pięćdziesiąt na godzinę i slalomem. Starowiecze poprzetykane to tu, to tam wetkniętą postnowoczesnością.

Na co drugim stojącym w łopianach przydrożnym słupie wisiało ogłoszenie, że zakłada się internet i numer telefonu. Dla kogo? – myślałem. W tej krainie, z której wyjechali prawie wszyscy młodzi? Dla starowin na ławeczkach, dla dziadków ciągnących poboczem ręczne wózki z ukoszoną zieleniną? Samochodów prawie nie było. A te, które się zjawiały, brnęły z mozołem w asfaltowe wyrwy. Wiele z nich miało polskie blachy. Od Pomorza po Śląsk. Letni zjazd gastarbeiterów. Gdy one wyjadą, zrobi się jeszcze puściej. Ale zawsze lubiłem ten kraj. Od pierwszego razu, gdy wiele lat temu popłakałem się po parodniowym pijaństwie w hotelu Żorż, widząc na wieży lwowskiego ratusza ukraińską flagę. Tak było. Prawdziwi mężczyźni nie wstydzą się łez. W każdym razie lubiłem ten kraj. Może dlatego, że przypominał mi dzieciństwo. Z tymi babcinymi chałupkami, skromnością, przypłociami, tęskną zieloną perspektywą świata i jego bezpieczeństwem. Lubiłem go, chociaż mój kolega z ukraińskiego zespołu, jak się napił, to pytał, kiedy w końcu coś Stepana Bandery, jak już skończymy z Adamem Mickiewiczem. A drugi mój kolega, wybitny pisarz, stwierdził, że nie ma zamiaru oglądać „Wołynia", bo to artystyczne gówno. Tak mu powiedzieli i nie zamierzał.

No ale teraz jechałem na północ przez Zakarpacie od rumuńskiej granicy i coś mi nie pasowało w pejzażu. Nie byłem tu od wielu lat. Prywatność jakby się trochę zrekonstruowała, jakieś tuje, przystrzyżone żywopłoty, ogrodzenia z żelaznych żerdzi, jakieś tynki w oczojebnych barwach, ale to były wysepki w morzu zieloności i jak powiedziałem, starowiecza. Państwowość zaś to był permanentny rozkład. Pokruszony beton, koślawe słupy, czarne zrezygnowane kable zwisające tuż nad ziemią, rozpaczliwe mosty, robotnicy kolejowi moknący na pustkowiu w ulewie bez żadnej osłony, postindustrialne ruiny, które zgarniała przyroda, pordzewiałe żelaza i powolna, cicha udręka materii, z której normalnie wytwarza się byty dające ochronę obywatelom i społeczeństwom. Nawet psiarnia nigdzie nie stała, jakby już nie było czego pilnować. I tylko od czasu do czasu na wzgórzach stały cerkwie i klasztory. Wymalowane, wyślicznione, obite złocistą blachą.

Ta blacha to był wynalazek ostatnich lat. Wcześniej jej nie widziałem. Wcześniej był szary ocynk. A teraz to złoto, remonty, greckie błękity, klomby, w jednym zaś miejscu zniknęła droga, którą miałem w nawigacji, i tam, gdzie miała przebiegać, stał klasztor. Jakieś feudalne to było z tymi wioszczynami u stóp. Jakieś wyzywające i aroganckie wśród tego ludzkiego biedakrajobrazu. Jakieś bezczelne. Bo czyż pasterze nie powinni dzielić losu swoich trzód? Tak naiwnie myślałem, jakbym nie wiedział, z jakiego kraju przybyłem. Ale u nas to jakoś przepadało w kipieli, że tak powiem, wszechstronnego rozwoju. Kościoły wyglądały po prostu jak kolejne inwestycje. Jak coś w rodzaju fabryk albo centrów logistycznych Pana Boga. A tutaj, mimo swojej urody i elegancji, przypominały rany na ciele kraju. Były skądinąd. Nie miały nic wspólnego.

Jechałem na północ. W stronę Przełęczy Użockiej. W Siankach na smętnym ryneczku stał nowy Bandera. Chyba z brązowego metalu. Miał tę swoją zwyczajną minę lekko zalęknionego uczniaka, próbującego trzymać fason. Pojechałem na wschód. Na Wysocko Niżne i Meżihirię. Wsie ciągnęły się gęsto przy drodze. Stare, zapadające się, jak zwierzęta z przetrąconymi grzbietami. Na łąkach trwały sianokosy. Grabie, widły, furki, ręczna robota. Robiłem to samo u dziadków, u wujostwa czterdzieści lat temu na Mazowszu, na Podlasiu. To, co chowałem w szczęśliwej pamięci, tutaj wydawało się nieubłaganym losem. Wjeżdżałem do przysiółków. Robiło się tak kamieniście i wąsko, że z trudem zawracałem. Tak było też w Bahnowatem. Cerkiew stała na wzgórzu i miała szarą blaszaną kopułę. Bahnowate było za biedne nawet na tanie złoto. Obok starej chałupy zobaczyłem mężczyznę. Czołgał się wśród zarośli wlokąc za sobą sparaliżowane nogi. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 41/19, toczy się postępowanie z wniosku Grażyny Czarneckiej o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej we wsi Kamień, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 588 o pow. 0,49 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza spadkobierców po Stefanii Karbownik, z domu Koconowskiej, córce Ludwiki i Wojciecha, do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 114/19, toczy się postępowanie z wniosku Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa o stwierdzenie zasiedzenia na rzecz Skarbu Państwa nieruchomości położonych w miejscowości Chodel, stanowiących działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 451 o pow. 0,36 ha, numerem 457 o pow. 0,78 ha, numerem 478 o pow. 0,36 ha, numerem 1054/2 o pow. 0,0292 ha, numerem 1259 o pow. 0,17 ha, numerem 1377 o pow. 0,13 ha, numerem 1924 o pow. 0,71 ha, numerem 2002 o pow. 0,44 ha, numerem 2059 o pow. 0,26 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

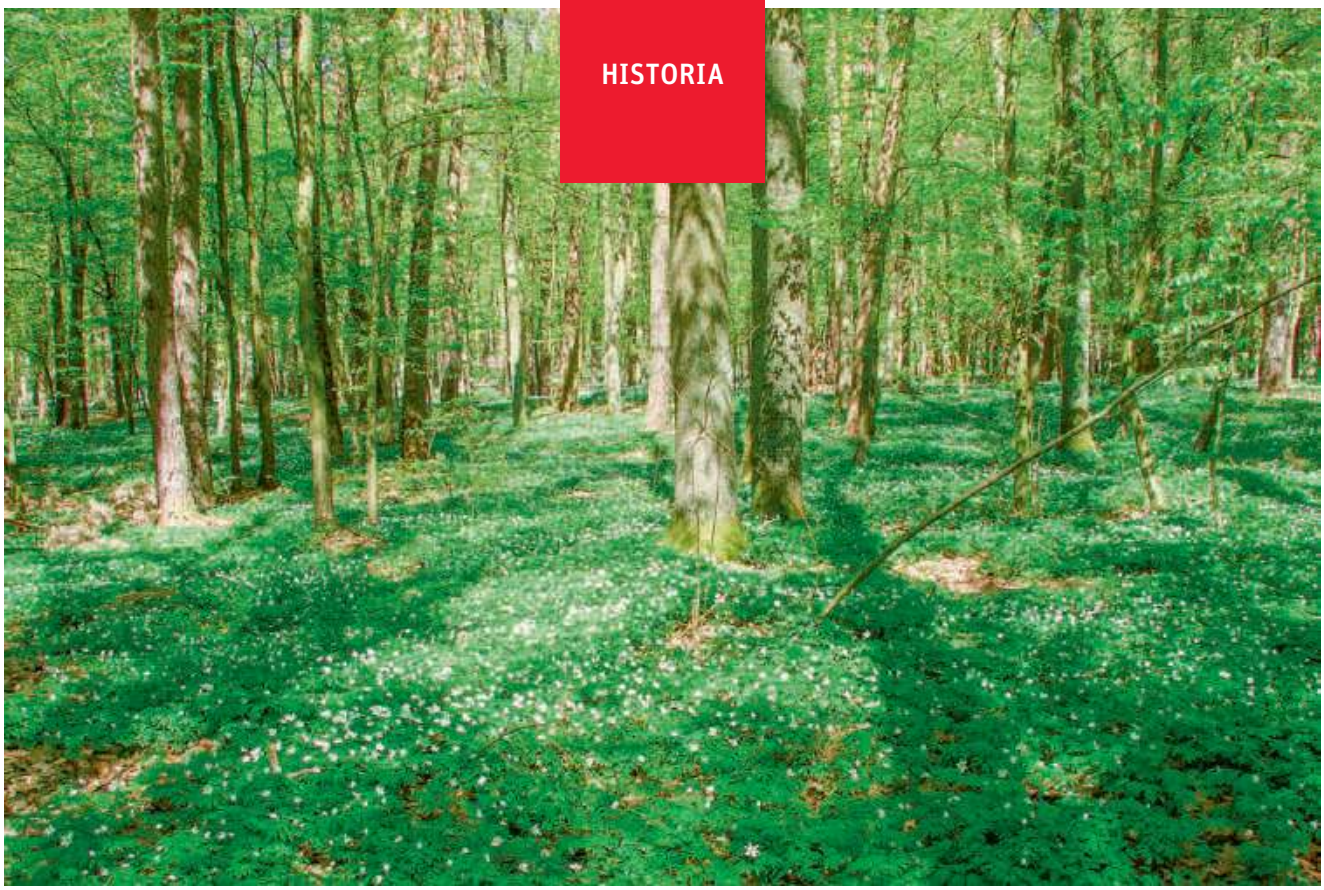

ANTONI SUŁEK

ŚMIERĆ PRAWDZIWYM ZWYCIĘZCĄ

W niewielkiej wsi Barłogi, w lasach Lubelszczyzny, II wojna światowa zostawiła liczne groby. Pójdźmy ich tropem: odnajdźmy je, odkryjmy ich historie.

ANTONI SUŁEK

Minęła 80. rocznica wybuchu tamtej wojny: ostatnia okrągła rocznica za życia jej świadków. Niedługo już nikt nie powie: „Widziałem, jak było". Zostaną „świadkowie drugiej generacji", zbieracze opowieści.

Wojny – uczy Clausewitz – są przedłużeniem polityki. Toczą je politycy, państwa, narody. Przedłużeniem wojen w polu są wojny o pamięć. To wszystko z perspektywy wielkiej historii. Z perspektywy ludzi są przede wszystkim ci, którzy przeżyli, i ci, którzy zginęli. Przy 50 mln ofiar tamtej wojny jej prawdziwym zwycięzcą była śmierć. *Mors vera victrix.*

Wojna objęła cały świat i wiele narodów. Nie można się było przed nią schować. W małej, liczącej wtedy 26 gospodarstw śródleśnej wsi Barłogi koło Kurowa w Lubelskiem, rodzinnej wsi autora tekstu, kosa wojny dosięgła Polaków i Żydów, żołnierzy niemieckich i sowieckich. Zostawiła ich groby.

Odszukajmy je wszystkie.

Śmierć Niemca

Do Barłogów wojna dotarła 8 września, z widokiem płonącego od niemieckich bomb Kurowa. Parę dni potem w lesie stanęło Wojsko Polskie, a w domu gajowego dowództwo dywizji. Do sztabu przywieziono jeńca: rosły żołnierz, w mundurze i hełmie z okularami, motocyklista. Przesłuchiwali go długo. Potem stał przed sztabem, pilnowany przez dwóch żołnierzy i oczy chłopów. Był pierwszym Niemcem tu widzianym. „*Waser, cigaret*" – zapamiętali, jak powtarzał. Po południu żołnierze zabrali go do lasu. Gdy wrócili, już bez niego, mruknęli gajowemu, że „pod sosną".

Niemcy przekroczyli środkową Wisłę, sztab odbierał meldunki, że zajmują kolejne miejscowości na prawym brzegu. O zmroku 14 września wojsko cicho

Las wokół Barłogów był świadkiem wielu śmierci. Na zdjęciu obszar, gdzie mogło ukrywać się i gdzie zginęło 10 Żydów.

odeszło na Lubartów. Rano gajowy z synem poszli na obchód i na brzegu lasu łatwo znaleźli płytki grób, rozgrzebany już przez zwierzęta. Zaciągnęli ciało dalej w las i zakopali głębiej, mogiłę przykryli kamieniami. Wieś pamiętała tego Niemca jako szpiega, skazanego przez sąd polowy. Ale stary gospodarz zadał mi pytanie: „Jak wojsko idzie do przodu, to jeńców wysyła na tyły. A jak się cofa?".

Wkrótce przyjechali na wieś Niemcy, trzej w czarnych mundurach. Szukali grobu. Już wiedzieli, że jest tu gdzieś w lesie. Tłumacz mówił: „Nie bacz sie, każda matka chce wiedziecz, gdzie jej syn pochowany". Ale gajowy Piech bał się zemsty na całej wsi i tylko powtarzał, że nic nie wie, i że wojsko do lasu nie wpuszczało. Po roku Niemcy przyjechali drugi raz, rozdali chłopom długie szpile i kazali szukać grobu, obiecując nagrodę. Nikt go nie znalazł.

O tym grobie we wsi zapomniano. Aż w 1996 r. syn tamtego gajowego, też gajowy, zaprowadził znajomego poszukiwacza militariów na miejsce, gdzie pomagał ojcu zakopać zwłoki. Znaleźli i z ciekawości odkopali mogiłę, a w niej dobrze zachowane w suchym piasku pożółkłe kości rąk i nóg, czaszkę i szczękę, resztki butów, hełm z goglami, nieśmiertelnik i portfel z dokumentami i paroma groszowymi monetami. Zakopali to z powrotem, a na grobie postawili krzyż z obrzynków i napisali na nim „Tu leży żołnierz niemiecki z września 1939 r.". Potem, po kolejnym rozkopaniu, na kawałku blachy dopisali jego imię, nazwisko i rok urodzenia – 1915.

Gdy zobaczyłem tę mogiłę, napisałem do ambasady Niemiec. Kiedy wkrótce potem pod Puławami otwarto zbiorczy cmentarz dla żołnierzy niemieckich, szczątki Wilhelma Krohna, starszego strzelca motocyklowego z 3. Batalionu Rozpoznawczego Wehrmachtu, zostały zabrane z lasu i tam pogrzebane ostatecznie.

Śmierć z rąk bandytów

Gdy we wrześniu 1939 r. wycofało się polskie wojsko i ewakuowała policja, w próżni władzy pojawili się bandyci. Byli tak zuchwali, że „chodzili" nawet w dzień.

Syn jednego z zamożniejszych gospodarzy stał się pierwszą polską ofiarą wojny w Barłogach. 13 grudnia 1939 r. zginął od kuli bandytów, którzy nocą napadli na dom. Pieniędzy gospodarz nie miał, więc bandyta na odchodne ze złości chciał go uderzyć. Stasiek rzucił się na bandytę, jego wspólnik już zza progu strzelił do niego z karabinu. Gospodarz rozkuł potem piec, szukając śmiertelnej kuli. Po roku zmarł ze zgryzoty, zostawiając na łaskę wojny trzy kobiety. Przez długie lata każdy dochodzący do wsi odgłos z polowania przypominał im tamten strzał, a każdy znaleziony nabój – tamtą kulę.

Gdy usadowiła się niemiecka władza, zajęła się bandyctwem. Potem tępiła je polska partyzantka; jeszcze w 1943 r. znaleziono za lasem zwłoki dwóch bandytów, którzy napadali na handlarzy pędzących bocznymi drogami bydło na Warszawę.

Granatowa policja wytropiła obu zabójców młodego człowieka z Barłogów. Jeden zginął przy stole z wódką i zakąską, zaskoczony u „narzeczonej" w gajówce za lasem. W ręku trzymał widelec, nie zdążył sięgnąć po karabin, tamten karabin.

Niemcy od razu niszczyli nie tylko polską warstwę przywódczą. Wyłapywali też takich, którzy do wybuchu wojny i otwarcia więzień nie odsiedzieli do końca wyroków za przestępstwa kryminalne. Podobno – ale nie jest to potwierdzone – kogoś, kto „miał wyrok", żandarmi zastrzelili także w Barłogach, na płocie, przez który uciekał.

Śmierć żydowska

W kwietniu 1942 r. Niemcy wywieźli kurowskich Żydów do obozu zagłady w Sobiborze. Kilkudziesięciu ukryło się we wsiach i w lasach. Niemcy ich wyłapywali, wymyślili nawet straszne określenie „polowanie na Żydów", *Judenjagd*.

Drogą przez Barłogi uciekała z lasu dziewczyna, skręciła do czyjegoś domu. Gospodyni uchyliła drzwi, wcisnęła jej kawałek chleba i krzyknęła: „Uciekaj!". Żydówka nie szukała chleba, lecz życia. Pobiegła dalej, ale nie uciekła psom.

Warto „wżyć się" w tę scenę, aby pojąć samotność ginących. Ale też dramat wyboru kobiety, u której ścigana szukała ratunku. Miała córkę w wieku ściganej. Nie była obojętna. Uchyliła drzwi, ale ich nie otwarła. Wiedziała, że za pomoc Żydom grozi jej rodzinie śmierć. Każdy z nas chciałby, aby ta Żydówka się uratowała. Ale ilu z nas szczerze chciałoby, aby uciekająca w takich okolicznościach skręciła do jego, a nie do cudzego domu?

Za zgodą gajowego Kozaka dziesięciu Żydów zrobiło sobie ziemiankę w lesie obok Barłogów. Grupie przewodził Jabrum. Kupował we wsi żywność, „po dojeniu" od jednego z gospodarzy brał opłacone mleko, od innego chleb. Nocą Żydzi przychodzili do studni po wodę, psy ich znały.

Gajowy, którego rodzina sama przechowała rodzinę Żydów (od 2015 r. ma drzewko w Yad Vashem), narzekał, że ścieżka od drogi leśnej do ziemianki jest tak wydeptana, że każdy by trafił. Kryjówka nie była dla wsi tajemnicą, z lasu unosił się dymek.

Po dobrych paru miesiącach pewnej nocy życie w lesie umarło. Gospodarz, który akurat kręcił bimber, usłyszał stamtąd wybuchy jakby granatów, a nocny wartownik (wieś wystawiała warty) krzyki i strzały. Samuel Chanesman z Kurowa, który ukrywał się wtedy na niwach u rodziny Molendów (dziś też Sprawiedliwych), zapisał: „Wśród 10 [zamordowanych] Żydów byli Jakub Goldbaum, jego żona Focie i Abraham Oberklajd. Pozostali byli z Warszawy".

Jest to jedyne znane współczesne świadectwo tej zbrodni. Żaden proces po wojnie się nie odbył, więc nie wiadomo na pewno, kim byli zabójcy. Pewne, że musiało ich być kilku, banda. Nie wiemy też, jak doszło do tego, że nagle przerwali oni życie Żydów, którzy żyli przy wsi. Dziś nikt już nie zna nawet położenia ziemianki. Ktoś ze wsi pamiętał skotłowaną ziemię w lesie. Pewna gospodyni znalazła tam zardzewiałą miskę Fejgi, która pasła u niej krowy. Widywano też rozwleczone przez zwierzęta ludzkie kości. To jednak było dawno.

Wieś wie o Żydach z lasu, ale ich śmierci nie rozpamiętuje. Tylko w 2006 r. na odsłonięciu w Barłogach nowego pomnika ofiar pacyfikacji (o niej za chwilę), gdy wójt czytał listę ofiar wojny, wymienił też Abrahama i Fejgę – imiona innych Żydów jeszcze nie były znane. Leśna mogiła czeka na odkrycie, a Żydzi – na opłakanie. Prawo do grobu jest prawem człowieka, każdego człowieka.

Śmierć partyzantów

8 lipca 1943 r. wczesnym rankiem pod wieś podjechało furmankami Rollkomando, niemiecka lotna brygada. ↦

↦ Niemieccy żandarmi i polscy granatowi policjanci przyjechali po jednego z tej wsi, nazywał się Durak.

Z brzegu wsi była cała „kępa" Duraków, zabudowania stały jedne na drugich. Na próg chałupy wyszedł gospodarz. „Nazwisko?". „Durak". Strzał i zaraz straszny krzyk kobiety. Ze stodoły w głębi „numeru" wybiegają młodzi mężczyźni, jeden z pistoletem. Chwilę wcześniej okrzykiem „Niemce!" wyrwała ich ze snu córka gospodarza.

Chłopaki rozbiegają się, nogi same niosą ich ku swoim wsiom i domom. „Bladziutki był taki, uciekał, a w miejscu stał" – Emilia Kuna, prawie stuletnia sąsiadka, która wygnała wtedy gęsi, opowiada tak, jakby to było wczoraj. Trzech – Feliks Durak pseud. „Grab", Wacław Peciak „Rózga" i Jan Kęsik „Maczuga" – ginie od kul komanda. Tego dnia Niemcy zamordują też brata „Maczugi", w ich rodzinnej wsi.

Poszukiwany Władek Durak pseud. „Mucha" zdołał dobiec do lasu. To w stodole jego ojca spała grupa bojowa Batalionów Chłopskich (organizacji silnej w tym regionie). Paru kolegów, którzy przyjechali pomóc mu w kopaniu torfu, ciężkiej pracy dla wielu rąk. W bimbrową pogodę, wbrew zasadom konspiracji, zostali na noc wszyscy w jednym miejscu, na sianie, na swą zgubę.

To trwało minuty. Niemcy widzą teraz, że niespodziewanie natknęli się na gniazdo partyzantów. Wracają pod dom gospodarza, do którego strzelili. Ten z kulą w brzuchu, z pomocą żony wczołgał się już do środka. Wrzucają granat, pilnują drzwi, palą żywcem całą rodzinę: Bolka i Bronisławę Duraków z dwójką dzieci, lat trzy i osiem. Zwęglone ciało młodszego znaleziono potem w objęciach ojca, starszego – za kufrem. Dopiero wtedy dowiadują się, że spalili dom i rodzinę Duraka podsołtysa – innego niż ten, po którego przyjechali – i że ta stodoła należała do sąsiada. Poszli o jeden płot za daleko.

Kurowscy granatowi są wściekli, nie jechali na taką masakrę. „I coś ty, chuju, narobił?!" – wrzeszczy jeden na sołtysa. „To nie on, tamten miał bandaż na oku" – mówi drugi i w ten sposób wieś dowiaduje się, że Niemców ktoś sprowadził. „Tamten". Tylko jeden chłop we wsi nosił bandaż – dziabiąc drzewo, skaleczył oko drzazgą. Na Władka Duraka miał złość, po jakiejś szarpaninie poszedł z czymś na posterunek. Ale pod kijami partyzantów – prowadzących potem śledztwo – do niczego się nie przyznał. Oszczędzili go. Po wojnie do sprawy nikt nie wracał.

Pacyfikacje

Nazajutrz rano Niemcy wrócili z wielką siłą. Zmobilizowani z całej okolicy partyzanci BCh w śmiałym boju nie zdołali ich zatrzymać. Ale ludziom ze wsi dali czas na ucieczkę, a sami wycofali się bez strat.

Według partyzantów zginęło wtedy paru Niemców. Według Niemców zginął tylko przodownik granatowej policji, uczestnik masakry z poprzedniego dnia. Partyzanci długo spierali się o to, kto go zastrzelił, ale na wsi żyła pamięć, że zginął od noża. Miał błagać o życie, zapewniać, że był „dobry". Jego potężne ciało Niemcy wystawili z honorami w trumnie w gminie w Kurowie. Dziewczynka, która poszła tam z matką, do dziś pamięta, że „gardło miał, yyy, rozchylone".

Tego dnia Niemcy spalili kilka kolejnych budynków i zabili „starą Mańczynę", która zabłąkała się w olszynie. Ludzie mówili, że wzięli ją za Żydówkę, bo „miała niewyraźną mowę", ale nikogo przy tym nie było.

Do szczętu spalili wieś w czerwcu 1944 r. Też za partyzantkę, podobno tym razem już za PPR-owską (komuniści również byli aktywni w okolicy). Przed podpaleniem domów wypędzali mieszkańców na wygon, ludzie bali się, że na egzekucję. Zeniuś, syn kowala, uciekał; żandarm za nim strzelił, zabił.

Spalona rodzina została pochowana przez sąsiadów pod wiejską figurą. Zabitych partyzantów Niemcy zakopali na pastwisku. Dziś wszyscy leżą pod pomnikiem partyzantów na cmentarzu w Markuszowie. W 1946 r. Barłogi zostały odznaczone Krzyżem Grunwaldu (jako jedna z pierwszych polskich wsi).

Ludzie się odbudowali. Ale na miejscu, gdzie spłonęła żywcem rodzina, nikt nigdy nie zamieszkał.

W obcych stronach

Poza tymi, którzy zginęli w swojej wsi, paru ludzi z Barłogów oddało życie w obcych stronach. Jeden, niezapamiętanego nazwiska, zmobilizowany w 1939 r., zginął na wojnie; nie wiadomo gdzie. Jeden – Kowalik, syn sołtysa, wzięty jako zakładnik – zmarł na tyfus w niemieckim obozie w Kazimierzu. Jeden – Mańka, partyzant – zginął wraz z całym oddziałkiem Armii Ludowej otoczonym przez Niemców w gajówce gdzieś na Podlasiu. Dopiero w 1962 r., w 20. rocznicę powstania PPR, odnalezione szczątki jego i towarzyszy pochowano na cmentarzu w Kurowie.

Otoczeni śmiercią

Ludzie w Barłogach i okolicy żyli w cieniu śmierci, w strachu przed spaleniem. Partyzantkę stworzyli i wspierali, ale bali się niemieckiego odwetu: egzekucji, pacyfikacji, obozów, przypadkowej śmierci od kul patrolu.

W 1942 r., gdy Niemcy wywozili Żydów do obozu zagłady, szosą obok wsi „gnali" do stacji Żydów z Michowa. „Z nami zrobią to samo" – bali się chłopi. Tegoż roku, po ostrzelaniu w lesie podwody z granatowymi, Niemcy spędzili na wygon ludzi w sąsiedniej Łąkoci, wybrali

Resztki domu rodziny Duraków, spalonego wraz z ludźmi podczas pacyfikacji Barłogów w 1943 r. Zwraca uwagę „precyzyjne" spalenie: sąsiednia chałupa pozostała nietknięta (spłonie rok później). Zdjęcie – dotąd prawdopodobnie niepublikowane – zrobił Adolf Miazek, który podczas wojny mieszkał w Barłogach. Jego syn Cezary udostępnił je autorowi tekstu.

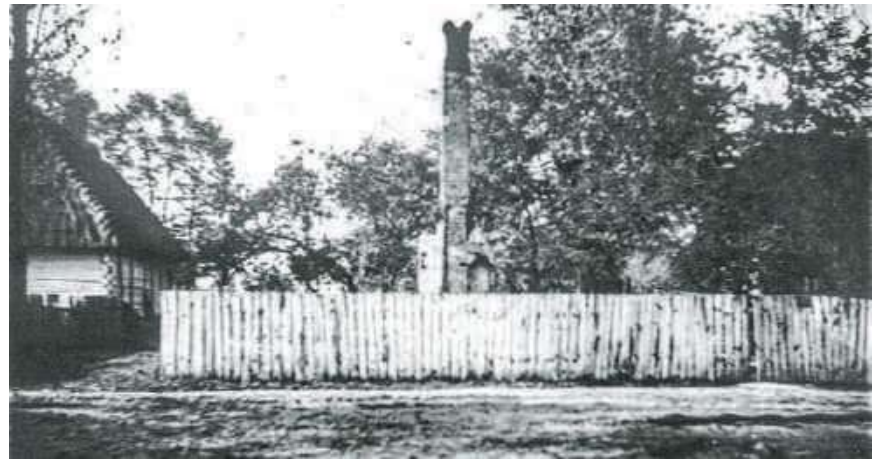

ADOLF MIAZEK / ARCHIWUM ANTONIEGO SUŁKA

i zabili dziesięciu mężczyzn, a tuż przed końcem wojny wieś spalili. W 1944 r. w odwecie za zasadzkę na samochód SS (zginął zastępca komendanta obozu Majdanek) Niemcy z pomocą „kałmuków" (jak nazywano byłych jeńców sowieckich pochodzących np. z Azji Środkowej, którzy walczyli po stronie niemieckiej) powiesili lub rozstrzelali w Kurowie 50 aresztowanych żołnierzy Armii Krajowej i zakładników; szubienice przerażały na rynku przez kilka dni.

Potem rękami przymuszonych chłopów zakopali ofiary w przydrożnym zagajniku pod Barłogami, ale wkrótce przysłany oddział AK ekshumował je nocą i przewiózł w trumnach do bratniej mogiły w lesie. Rodziny pozabierały stąd swoich, dziś mogiła kryje szczątki tylko jednej osoby. A może jest pusta? Wciąż jednak jest zadbana.

Likwidacja szpicla

W barłoskim lesie został też zabity mężczyzna z wioski za lasem.

Donosił do Niemców. Źródła AK mówią, że nie on jeden w gminie. Wydał „Rolę" – Stefana Rodaka, komendanta obwodu Puławy Batalionów Chłopskich. Podobno tego szpicla zastrzelił sam „Rola", ale może tylko rozkazał go zlikwidować.

Zakopali go w lesie. Gdy po wojnie jedna dziewczyna zbierała z matką jagody i zobaczyły czaszkę, matka powiedziała jej, że to „tego konfidenta".

W 1953 r. komunistyczny prokurator, montujący drugi już proces Rodaka – odsiadującego i tak dożywocie: w 1944 r. został skazany na śmierć za „obalanie ustroju", ale kaes zamieniono na dożywotnie więzienie – obciążył go egzekucją szpicla, usiłując dowieść, że „Rola" kazał go zabić dlatego, iż ten był komunistą. Na koniec zostało, że dlatego, że był szpiclem (Rodak opuścił więzienie na mocy amnestii po 10 latach, w grudniu 1954 r.).

Śmierć sowieckich lotników

Nocą z 13 na 14 czerwca 1944 r. nad polami Barłogów rozegrała się walka niemieckiego myśliwca z sowieckim bombowcem. Ludzie z okolicy widzieli biegnące po niebie koraliki pocisków, zobaczyli płomień, usłyszeli wybuchy wyrzuconych na pola bomb i kula ognia przeleciała nad wsią, by runąć w Gaj pod Markuszowem (chłopi z Barłogów mieli tam swój las).

Zestrzelony samolot prowadził eskadrę bombowców na niemieckie lotnisko w Dęblinie, piloci innych maszyn widzieli jego zagładę. Czterech lotników uratowało się na spadochronach, ale dwaj zginęli: kapitan Aleksandr Gromow (dowódca) i kapitan Siergiej Czerepniew (nawigator). Zanim przyjechali Niemcy, partyzanci pogrzebali ich na skraju lasu, pod figurą. Nikt nie pamięta, aby po wojnie ich ekshumowano. W domu kultury w Markuszowie można obejrzeć odnalezione szczątki samolotu. Może uda się odnaleźć także szczątki poległych ludzi.

ANTONI SUŁEK

Cmentarz w Markuszowie: zbudowany jeszcze przed 1989 r. pomnik żołnierzy podziemia, którzy zginęli podczas niemieckiej okupacji; 11 nazwisk występuje w artykule.

Sąd nad maruderem

W lipcu 1944 r. partyzanci ze spalonej wsi Łąkoć osaczyli w barłoskim lesie niemieckiego marudera. Ustał, a dwaj inni, z którymi uciekał, poszli dalej. Rozbrojony i już bez munduru tłumaczył komendantowi, że jest Austriakiem, że go wzięli siłą do Wehrmachtu, że ma żonę i dzieci. Radzili, co z nim zrobić. „Urwać mu łeb!" – mówili jedni. „A co winien Austriak, nie Niemiec, frontowy żołnierz?" – pytali inni. Dowódca zdecydował oddać jego los w ręce starszego gospodarza, który stracił dwóch synów w zbiorowej egzekucji. Ten powiedział: „Ja go nie będę sądził, nie chcę brać go na swoje sumienie, róbta z nim, co chceta" i wrócił do wsi. Wraz z nim wrócił świadek i pamiętnikarz Józef Struski. W miejscowej pamięci zostało, że żołnierza „rozwalili".

Następnego dnia w okolicy pojawili się sowieccy żołnierze. Jechali na zachód tą samą szosą, którą trzy lata wcześniej jechały na wschód niemieckie czołgi. „Zdrastwuj chadziaj. Giermanca tu niet?" – zapytał zwiadowca napotkanego chłopa. „Ja nie widiał. A ty kto?" – odparł ostrożny chłop. „Razwiedka sowieckaja".

Zostały groby

Tak wyglądała wojna światowa w małym świecie wsi Barłogi. Ale choć się skończyła, ludzie tu nadal ginęli i umierali. Jednego zabił niewypał, drugiego – choroba z partyzantki, trzeciego – łagier NKWD. Zdarzyło się też, że zapałkami i bagnetem miejscowi załatwiali wojenne porachunki. Niektórzy walczyli dalej, jedni zginęli od kul UB i KBW, a drudzy – żołnierzy z niepodległościowego podziemia; leżą na tych samych cmentarzach.

Z czasem wszystko ucichło. Gdyby nie groby, można byłoby pomyśleć, że wojny nie było.

© ANTONI SUŁEK

Autor jest socjologiem, emerytowanym profesorem UW, obecnie pracuje na Uniwersytecie Łódzkim. Ostatnio napisał książkę „A Mirror on the High Road" (Berlin 2019), a w „TP" artykuł „Drogą do Sobiboru" (nr 15/2019). Tekst opiera się na zbieranych w ostatnich latach relacjach mieszkańców rodzinnej wsi autora, wykorzystuje też spisane wspomnienia partyzantów, chłopów i Żydów, literaturę historyczną i materiały z archiwów Wehrmachtu i Armii Czerwonej.

Wojna, ale nie w Polsce

Opublikowany w poprzednim numerze „TP" – w dodatku o wrześniu 1939 r. – tekst Jochena Böhlera „Hitlera droga do wojny" zilustrowaliśmy zdjęciem, które oferująca je agencja BEW opisała w ten sposób, że przedstawia Niemców atakujących polską wioskę. Tymczasem, jak się okazuje, produkcja widocznego na zdjęciu wozu pancernego ruszyła wiosną 1940 r. Nie jest pociechą fakt, że w ostatnich latach nie tylko my opublikowaliśmy to zdjęcie z takim opisem...

WOJCIECH PIĘCIAK,
kierownik działu historycznego

NAUKA

PAŃSTWO PSYCHOLOGICZNE

Nauki behawioralne dostarczają cały arsenał sposobów wpływania przez władze i urzędników na decyzje obywateli. Stosuje się je coraz częściej. Także w Polsce.

RADOSŁAW ZYZIK

W 2016 r. w ramach badania Ministerstwa Finansów i Banku Światowego do 150 tys. Polaków trafiły pisma z różnie sformułowanym przypomnieniem o konieczności zapłaty zaległego podatku. Były wśród nich zawiadomienia w tonie negatywnym i pozytywnym, odwołujące się do norm społecznych, zawierające ostrzeżenie, ale też klasyczne pisma urzędowe. Eksperyment potwierdził to, co już wcześniej udało się ustalić w innych państwach: sposób sformułowania tekstu przekłada się na zwiększone dochody podatkowe.

Każde pismo zredagowane prostym językiem i bezpośrednio zwracające się do odbiorcy zadziałało lepiej niż dotychczasowe pismo urzędowe, skuteczniejsze były te utrzymane w surowym tonie, a najlepsze – zawierające wzmiankę, że do tej pory brak zapłaty zaległego podatku urząd uznawał za przeoczenie, ale od teraz potraktuje to jako świadome działanie podatnika. Dołączono także ostrzeżenie, co się może stać, jeśli podatnik nie ureguluje zaległości. Rezultatem badania, oprócz zgromadzonej wiedzy, było 88 mln złotych, które wpłynęły do budżetu państwa.

Jak to możliwe, że prosta modyfikacja treści pisma urzędowego zmienia nasze zachowanie? Odpowiedzi na te i podobne pytania z sukcesami poszukują ekonomiści behawioralni.

Klasyczne ekonomiczne modele podejmowania decyzji były dla nas pochlebne. Przyjmowały, że jesteśmy racjonalni, że wiemy, czego chcemy i jak to osiągnąć, że mamy silną wolę i potrafimy jej użyć. Oraz – że robimy to, co jest dla nas dobre. Z ekonomistami behawioralnymi jest trochę inaczej. Nie zakładają z góry jednego modelu postępowania człowieka. Świat ich badań jest znacznie mniej sterylny, ale – jak sami twierdzą – interesuje ich rzeczywistość, a nie piękno modeli matematycznych.

Ekonomiści behawioralni poszukują w rozmaitych dziedzinach nauki – psychologii społecznej, psychologii poznawczej, neuronauce czy socjologii – wyjaśnień, jak i dlaczego ludzie powtarzają nawet te zachowania, które nie są dla nich korzystne. Np. dlaczego nie oszczędzają na emeryturę. A jeśli oszczędzają, to dlaczego za mało i za późno? Dlaczego zbyt długo inwestują w projekty przynoszące stratę? Dlaczego nie wszyscy myją ręce w szpitalach, zwiększając ryzyko zakażeń? Dlaczego nie przychodzą na umówione wizyty do lekarza? A nawet jeśli przychodzą, to przestają brać leki, gdy tylko poczują się zdrowsi? No i dlaczego nie płacą zaległych podatków? Dziś panuje przekonanie, że nie tylko udało się znaleźć odpowiedzi na powyższe pytania, ale wiadomo już także, jak pomóc ludziom podejmować decyzje lepsze dla ich zdrowia, portfela i poczucia szczęścia.

Zignorować GPS

W realizacji tych celów zaczęto wypracowywać różne narzędzia oddziaływania. Niektóre skutecznie wpływają na naszą uwagę, inne pomagają nam podjąć bardziej racjonalną decyzję albo trzymać się swoich postanowień.

Na pierwszym planie znajdują się tzw. impulsy lub szturchnięcia (*nudge*), porównywane przez ich zwolenników do działania GPS-u. GPS wskazuje najszybszą trasę, ale śmiało można zignoro-

MLENNY / GETTY IMAGES

Skrzyżowanie w dzielnicy Shibuya w Tokio, listopad 2018 r.

wać jego zalecenia i pojechać w pożądanym przez siebie kierunku. Impulsy, tak jak wskazania GPS, są łatwe do uniknięcia, nie wiążą się z nagrodą lub karą pieniężną, nie są nakazem lub zakazem.

Pisma opracowane przez Bank Światowy i Ministerstwo Finansów należą do tej kategorii. Inny przykład znaleźć można na chodnikach Kopenhagi, na których maluje się zielone ślady stóp prowadzące do koszy na śmieci. W 2011 r. Pelle G. Hansen z Uniwersytetu w Roskilde i współpracownicy wykazali eksperymentalnie (badacze rozdawali przechodniom cukierki karmelowe w papierkach i obserwowali ich zachowanie), że taki impuls zmniejsza ilość śmieci lądujących na ulicy.

Impulsem jest również wysłanie esemesa przypominającego o umówionej wizycie u lekarza lub podpisanie zobowiązania, bez żadnych negatywnych konsekwencji, stawienia się na badania okresowe.

Niestety metafora GPS-u nie zawsze jest trafna. Niekiedy impulsy bardziej przypominają działanie tempomatu, który ktoś dla nas ustawił, kiedy indziej autopilota albo wręcz podróżowania z kierowcą zatrudnionym przez państwo. Niby można wysiąść, ale najpierw trzeba wyłączyć autopilota lub poprosić kierowcę, żeby się zatrzymał lub poszukał parkingu.

Opcja domyślna

W opublikowanym w 2019 r. raporcie Polskiego Instytutu Ekonomicznego możemy przeczytać, że połowa komórek organizacyjnych z urzędów centralnych, które wzięły udział w badaniu, stosuje rozwiązania zgodne z wynikami uzyskiwanymi w stosowanych naukach behawioralnych.

Co więcej, w 2019 r. złożono u nas 7 mln deklaracji podatkowych za pomocą usługi Twój e-PIT, która stanowi ukłon w stronę jednej z fundamentalnych zasad ekonomii behawioralnej: „jeśli chcesz, żeby ludzie coś robili, to spraw, żeby było to łatwe". Szacuje się też, że 3 mln Polek i Polaków zacznie wkrótce oszczędzać w Pracowniczych Planach Kapitałowych m.in. dzięki takiemu zaprojektowaniu sytuacji decyzyjnej, która promuje uczestnictwo w PPK.

Wykorzystanie ekonomii behawioralnej przez administrację publiczną w Polsce to dziś głównie uproszczenie komunikacji – aż 77 proc. komórek stosuje tę formę działania. Są też nieliczne urzędy, które przybliżają konsekwencje zachowań obywateli, powołują się na normy społeczne czy wykorzystują opcje domyślne. Wszystkie te działania mają umożliwić obywatelom podjęcie tej decyzji, która będzie dla nich najlepsza.

Na świecie entuzjazm dla interwencji behawioralnych, czyli wpływania na zachowania ludzi przy wykorzystaniu wiedzy z nauk behawioralnych, od lat utrzymuje się na wysokim poziomie. W 136 państwach instytucje publiczne sięgały do ekonomii behawioralnej w trakcie projektowania rozwiązań w politykach publicznych, a według Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w 2015 r. już 202 instytucje, prywatne i publiczne, stosowały ten typ interwencji. Niewątpliwie to nowe podejście w politykach publicznych ma dziś swój czas. Warto jednak pamiętać, że ma ono także etyczne konsekwencje.

W niemal każdym dokumencie lub raporcie OECD, Banku Światowego i UE poświęconym ekonomii behawioralnej znajduje się część dotycząca etyki. Do największych zagrożeń etycznych tej formy działania zalicza się manipulację zachowaniami obywateli i uniemożliwianie im nauki na własnych błędach. Zwraca się także uwagę na to, że tego typu interwencje mają uchronić ludzi przed konsekwencjami rozmaitych błędów poznawczych – tymczasem urzędnicy są ↦

↦ na nie podatni tak samo jak obywatele, których zachowanie mają regulować.

Architekci wyboru

Zacznijmy od argumentu odwołującego się do korzyści wynikających z uczenia się na własnych błędach.

Chyba tylko ten, kto nie chodził do szkoły, może nie pamiętać, że nie wszyscy lubią się uczyć. A już na pewno nie wszyscy chcą uczyć się przez całe życie. Z drugiej strony trudno uczyć się na własnych błędach, gdy ktoś prowadzi nas za rękę. W behawioralnej polityce publicznej odpowiednikiem trzymania za rękę są opcje domyślne. Opierają się one na naszej bierności. Jeśli mając do wyboru opcję X lub Y, nie zrobimy nic, to wybór zostanie dokonany za nas.

Na tej zasadzie będą działać wspomniane Pracownicze Plany Kapitałowe, do których zostaniemy automatycznie zapisani, ale możemy z nich zrezygnować. Dzięki licznym badaniom wiemy jednak, że jeśli coś nie jest przymusowe, to jeszcze nie oznacza, że jest dobrowolne. Opcja domyślna silnie wpływa na treść naszych decyzji. Jest wręcz jednym z najpotężniejszych narzędzi w arsenale architektów wyboru. Dlatego z pewnością w niedalekiej przyszłości większość z nas będzie zapisana do PPK.

Powszechność opcji domyślnych może sprawić, że przestaniemy podejmować samodzielne decyzje, ponieważ ktoś będzie podejmował je za nas. Tak jak w przypadku automatycznego przedłużania subskrypcji np. Netflixa czy umów z sieciami komórkowymi. Opcje domyślne to rozwiązania wygodne, ale czy nas nie ubezwłasnowolniają? Architekci wyboru są jak rodzice, którzy wszystko robią za swoje dzieci, bo uważają, że tak jest lepiej. Pytanie jednak: dla kogo?

Decyzja decyzji nierówna. Niektóre podejmujemy raz w życiu, inne musimy podjąć jak najwcześniej, bo potem nie będą miały znaczenia. Tak jest na przykład z decyzją o oszczędzaniu na emeryturę.

Opcje domyślne mogą być łatwo nadużywane – i budzi to uzasadniony niepokój. Jednak decyzja decyzji nierówna. Niektóre podejmujemy tylko raz czy dwa razy w życiu, inne musimy podjąć jak najwcześniej, bo potem nie będą miały znaczenia. Tak właśnie jest z decyzją o oszczędzaniu na emeryturę. Dzisiejsi 30-latkowie będą mogli liczyć na średnią emeryturę w wysokości 25 proc. swojej średniej pensji. Dla 67-letniego emeryta będzie za późno na edukację ekonomiczną i poucznia: „musisz uczyć się na własnych błędach!".

Wbrew temu, co mówi mądrość ludowa, na naukę czasami jest za późno, a według licznych badań edukacja w zakresie oszczędzania nie wystarcza, żeby ludzie zaczęli oszczędzać. Być może opcje domyślne to rozsądny kompromis pomiędzy zwiększeniem składki emerytalnej a edukacją ekonomiczną.

Władcy marionetek

Kolejnym zagrożeniem ze strony państwa stosującego się do zaleceń nauk behawioralnych – określanego czasem jako „państwo psychologiczne" – jest pokusa manipulacji.

Oczywiście nie każda próba wpłynięcia na zachowania człowieka musi być uznana za manipulację. Raczej taka, która ogranicza autonomię osoby manipulowanej, wykorzystuje wiedzę w celu zmiany zachowań, ocen, treści podejmowanych decyzji, a wszystko po to, by realizować plany manipulatora.

W raporcie PIE możemy przeczytać, że firma Opower pomogła konsumentom zaoszczędzić na rachunkach za prąd ponad miliard dolarów w ciągu siedmiu lat. Opower opracowała nowy wzór informacji o zużyciu energii. Rachunek podawał średnie zużycie energii przez sto gospodarstw domowych z sąsiedztwa ze wskazaniem, czy adresat rachunku zużywa

Interwencje behawioralne

MYJ RĘCE, RATUJ LUDZI. W Europie co roku 3,2 mln pacjentów zapada na choroby wynikające z zakażeń związanych z opieką zdrowotną. Ich leczenie kosztuje państwa europejskich pomiędzy 13 a 24 mld euro. Według szacunków Europejskiego Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób ok. 20-30 proc. zakażeń szpitalnych można zapobiec dzięki poprawie stosowania się do zasad higieny przez personel medyczny i odwiedzających. Np. w 2008 r. w Niemczech na najgorszych oddziałach wskaźnik przestrzegania zasad higieny rąk wyniósł 55 proc., z medianą we wszystkich badanych oddziałach szpitalnych na poziomie 73 proc.
Najprostsze interwencje behawioralne stosowane w walce ze szpitalnymi zakażeniami polegały na umieszczeniu fotografii ludzkich oczu (co ciekawe, męskie działają lepiej niż kobiece) przy dyspozytorze płynu do mycia rąk. Stosowano także plakaty pobudzające empatię (np. fotografię złożonych dłoni albo ręki położonej na cudzym ramieniu) oraz całodobowy monitoring miejsc przeznaczonych do dezynfekcji rąk oraz informacje, jaki odsetek pracowników szpitala stosuje się do zasad higieny. Niektóre badania informowały aż o 90-procentowym wzroście pożądanych zachowań.

ODDAMY, JAK POPROSISZ. Bank Wells Fargo naliczył 110 tys. klientów nienależne opłaty za działalność bankową. Zgodził się zwrócić pobrane środki, ale dopiero po tym, jak klienci odeślą otrzymany od banku formularz zgody na zwrot pieniędzy – władze banku liczyły, że zrobi to mniej niż połowa klientów. Takie działania są przykładem stosowania osadu decyzyjnego (*sludge*) – choć bank nie odmawiał oddania pieniędzy, to zaprojektował całą procedurę tak, by zniechęcić klientów do ubiegania się o zwrot.

POMIESZANE MOTYWY. Interesującego przykładu ilustrującego złożoność problematyki związanej z kierowaniem zachowaniami ludzi dostarczyły władze Szwajcarii, które chciały zbudować centrum odpadów radioaktywnych. Początkowo 51 proc. mieszkańców okolicy zgodziło się na planowaną budowę. Gdy jednak władze postanowiły wynagrodzić mieszkańcom niedogodności związane z inwestycją i zaoferowały dodatkową finansową rekompensatę, poziom akceptacji dla budowy centrum odpadów radioaktywnych... spadł do niespełna 25 proc. ©

mniej, czy więcej prądu. Czy mamy tutaj do czynienia z manipulacją? Autorzy tego badania wiedzieli, że normy społeczne są potężnym czynnikiem wpływającym na nasze zachowania – stąd informacja o tym, ile prądu zużywają w okolicy inne gospodarstwa domowe.

Jednak mniejsze zużycie prądu służy wszystkim (może z wyjątkiem firm energetycznych), a adresaci tych specjalnie opracowanych rachunków mogli je zignorować. Nie wydaje się więc, że w tym przypadku zostali zmanipulowani interwencją behawioralną zastosowaną przez dostawcę energii elektrycznej.

Najpoważniejsze etyczne zastrzeżenia występują przy okazji tzw. ramowania. Ramowanie polega na takim prezentowaniu treści, by sam sposób prezentacji wpływał na decyzje ludzi. Przykładowo, jeśli chcemy zachęcić kogoś do kupna kanapki z wieprzowiną, to lepiej jest napisać, że jest ona w 90 proc. wolna od tłuszczu, niż że tłuszcz stanowi 10 proc. składu. Lekarz może poinformować pacjenta, że konkretny zabieg przeżywa 97 proc. operowanych lub że 3 proc. umiera na stole operacyjnym. Od tego, jakiej ramy pojęciowej użyjemy – wolny od tłuszczu lub zawierający tłuszcz, przeżycie operacji lub śmierć – zależy prawdopodobieństwo podjęcia przez kogoś konkretnej decyzji.

Ramy sprawdzają się jako narzędzie manipulacji zwłaszcza przy przedstawianiu zagrożeń. Możemy poinformować kogoś, że określony tryb życia potraja ryzyko śmierci, ale ta informacja nie jest zbyt wartościowa bez określenia prawdopodobieństwa bazowego. Gdy potrojenie polega na zwiększeniu ryzyka śmierci z 1 na 100 tys. przypadków do 3 na 100 tys. przypadków, nie wygląda to już tak złowieszczo.

Urzędnik też człowiek

Skoro wszyscy ludzie ulegają wpływowi ramowania, to skąd przypuszczenie, że rama, przez którą urzędnik ogląda świat, jest tą właściwą?

Również urzędnicy mają problem z szacowaniem prawdopodobieństwa, ulegają wpływowi norm społecznych, wykazują niechęć do straty, nadmierną skłonność do ryzyka czy wreszcie nie doceniają słabości woli lub niewłaściwie interpretują rzeczywistość, która ich otacza. Może więc nie warto tak ochoczo dawać im potężnych narzędzi oddziaływania na obywateli, których dostarczają nauki behawioralne?

Wystarczy wyobrazić sobie, jaki wpływ na działania urzędników może mieć egotyzm atrybucyjny, czyli skłonność do uznawania sukcesów jako wyników własnego działania, a porażek jako wyniku działania czynników zewnętrznych. W projektowaniu polityk publicznych może to prowadzić np. do uznania, że podjęta decyzja była prawidłowa, tylko ludzie się jej nie podporządkowali.

Interwencje behawioralne pozostawiają jednak obywatelom margines wolności – jeśli więc urzędnicy popełniają błędy, to chyba już lepiej, żeby operowali narzędziami ekonomii behawioralnej, takimi jak impulsy czy nawet opcje domyślne, a nie starymi dobrymi zakazami i nakazami. W ten sposób łatwiej będzie uniknąć negatywnych skutków błędów urzędników.

Transparentność i osady

Richard Thaler, twórca ekonomii behawioralnej i współautor pojęcia impulsu, laureat ekonomicznego Nobla z 2017 r., dostrzega jednak potencjalną ciemną stronę interwencji behawioralnych. W 2018 r. na łamach „Science" opublikował artykuł pt. „Nudge, not sludge", w którym opisuje wykorzystanie działania tzw. osadów (*sludge*), będących przeciwieństwem impulsów.

Osadem decyzyjnym możemy nazwać za Thalerem wszystko to, co sprawia, że trudno nam działać w naszym najlepiej pojętym interesie z uwagi na liczbę lub skomplikowanie kroków decyzyjnych, albo jesteśmy popychani w kierunku działań korzystnych dla władzy państwowej lub podmiotów prywatnych, ale nie dla nas. Niestety literatura opisująca różne typy *sludge* rośnie z roku na rok. Trudno jest decydentom oprzeć się pokusie wykorzystania nowej wiedzy o człowieku w sposób, który jest korzystny dla nich samych, ale już nie dla ludzi, na których zachowania ci pierwsi mają wpływ.

Narzędzia ekonomii behawioralnej same w sobie wydają się neutralne aksjologicznie – mogą być stosowane w dobrym lub złym celu. Dlatego lekiem na zagrożenia może być transparentność działania podmiotów projektujących interwencje behawioralne. Podmioty takie, zwłaszcza publiczne, powinny informować, że pewne regulacje lub decyzje zostały opracowane na podstawie wiedzy behawioralnej. Transparentność działania jest konieczna dla budowania zaufania obywateli tak do behawioralnej polityki publicznej, jak i do państwa. Państwo, któremu obywatele nie ufają, nigdy nie będzie mogło efektywnie wykonywać swoich zadań. Nawet państwo psychologiczne.

© RADOSŁAW ZYZIK

POŻEGNANIE

20 sierpnia w Tallahassee na Florydzie, w wieku 92 lat, zmarł

Ryszard Friedman

Polak, katolik, Żyd, Amerykanin, namiętny krakauer.
W swojej książce wspomnieniowej „Jeden spośród wielu" (2018) pisał:
„Każdy, kto mieszkał w Krakowie, kochał to miasto aż do śmierci...".

Przeszedł przez piekło krakowskiego getta oraz obozów KL Płaszów, Oświęcim, Dachau i kilku innych, po wojnie zamieszkał w USA, gdzie do emerytury pracował jako terapeuta środowiskowy.

Człowiek pełen ciepła i dobroci.

Cześć jego pamięci

Krzysztof Bień z synem Piotrem
Justyn Hunia
Księgarnia Akademicka

NIERADOŚĆ

PAWEŁ SOŁTYS (PABLOPAVO), PISARZ (MUZYK):

W byciu pisarzem najfajniejsze jest to, że nic nie musisz. Co jakiś czas powraca ze strony krytyki żądanie „Lalki" XXI wieku. Wtedy radzę wyprawę do sex-shopu, tam z pewnością są lalki XXI wieku.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Syndrom drugiej płyty obowiązuje także przy wydaniu drugiej książki?

PAWEŁ SOŁTYS: Tak, to ta sama zasada – zarówno pierwszą książkę, jak i pierwszą płytę nosisz w sobie całe życie, a na zrobienie drugiej masz dwa czy trzy lata. Ale to nie do końca przypadek mojej „Nieradości", bo wiele z tych opowiadań jest starszych. Albo przynajmniej pomysł na nie.

Nie tryskasz optymizmem.

Mój przyjaciel, Marceli Szpak, powiedział mi – chcąc mnie pocieszyć – że druga książka i tak jest na zmarnowanie. Bo jeśli napisałbym kolejną część „Mikrotyków", to byłaby afera, że się nie rozwijam, do tego byłoby to dla mnie zwyczajnie nudne. Z kolei jeśli zrobiłbym coś zupełnie innego, to zawiódłbym oczekiwania tych, którym spodobała się poprzednia książka. Druga rzecz, którą wypuszczasz, zawsze zbiera cięgi. Ale chyba jestem na to przygotowany. Wiem, że mój miesiąc miodowy w świecie literackim się skończył.

Jedno z opowiadań w „Nieradości" ma tytuł „Co się robi, gdy się zostało pisarzem". Paweł Sołtys przykrył Pablopavo?

To oczywiście ironiczny tytuł, a w świecie literackim bywam bardziej gościem. To raczej dodatek do mojego życia zawodowego, bo czuję się przede wszystkim muzykiem.

I jak Ci się podobały te odwiedziny?

Ogólne wrażenie bardzo pozytywne – nie spotkałem się ze złymi emocjami. Choć pewnie, gdyby ich poszukać, toby się znalazły. Cieszę się, że poznałem mnóstwo nowych osób, które wcześniej kojarzyłem tylko z lektur. Krąży fama, że to bardzo zawistne środowisko, ale nie odczułem tego na własnej skórze.

Świat muzyki jest przyjaźniejszy?

To zupełnie różne światy. Jak jadę na koncert, to nie zawsze mogę pogadać o tych książkach, o których akurat bym chciał. Z kolei na festiwalach literackich mam tak z płytami i zespołami. Chociaż trzeba przyznać, że pisarze lepiej znają się na muzyce niż muzycy na literaturze.

Jak oceniasz gusta muzyczne polskich pisarzy?

Oj, tu bywa bardzo różnie – ostatnio ktoś mi powiedział, że jest fanem Farben Lehre, więc nasza rozmowa szybko się skończyła. Z drugiej strony od lat koleguję się z Marcinem Świetlickim i to muzycznie bardzo ciekawa znajomość. Ma olbrzymią wiedzę o scenie psychodelicznej z lat 60. i 70. – zna nawet zespoły, które wydały ledwo po trzy single.

Wróćmy do Twojego drugiego papierowego longplaya – czuć w „Nieradości" ducha obsypanych nagrodami i nominacjami „Mikrotyków", ale zupełnie kto inny opowiada w tym tomie.

Mniej jest narratora podobnego do mnie, choć oczywiście wcześniej to też nie byłem ja. Chciałem teraz pożonglować różnymi perspektywami patrzenia na świat. W polskiej literaturze mamy za dużo prozy obsesyjnie skupiającej się na „ja". Nie lubię operować dużymi kwantyfikatorami, ale – upraszczając – „Nieradość" to książka o starości. W związku z tym potrzebowałem narratorów i bohaterów w określonym wieku.

Prawie wszystkie postaci są po sześćdziesiątce, czasem dużo starsze. Dopadł Cię kryzys wieku?

Wszyscy mnie o to pytają. Nawet jeśli, to trudno go u siebie zdiagnozować. Ale ↦

PAWEŁ SOŁTYS (ur. 1978) jest wokalistą, pisarzem, autorem tekstów piosenek i kompozytorem. W świecie muzycznym znany jako Pablopavo. W 2017 r. ukazał się jego zbiór tekstów prozatorskich „Mikrotyki", za który otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia. Wkrótce ukaże się jego kolejna książka „Nieradość".

ŁUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA

chyba nie o to chodzi. O ile w „Mikrotykach" do pewnego stopnia upominałem się o ludzi biednych, żyjących gdzieś na marginesach tej rzeczywistości *glamour*, to teraz chciałem opowiedzieć o ludziach starszych. Wbrew pozorom rzadko się o nich mówi, a jeżeli już, to przy pomocy wyświechtanych stereotypów. Próbowałem zerwać z tym obrazem uśmiechniętej babci opiekującej się wnukami i lepiącej pierogi.

Górnolotnie to zabrzmi, ale chciałem oddać życie człowieka w całej jego rozciągłości – ze wszystkimi jego marzeniami, lękami, ale też namiętnościami czy żądzami. Bo przecież te rzeczy nigdy całkiem nie wygasają – być może z czasem cichną albo nabierają nowych kształtów, ale wciąż budują to, kim jesteśmy. To oczywiście karkołomne zadanie, bo starość z perspektywy młodości jest koszmarnie trudna do wyobrażenia. Jak byłem dwudziestolatkiem, nawet rozterki czterdziestolatka wydawały mi się kompletną abstrakcją.

Teraz jest łatwiej?

Jak już ostatecznie wyjdziesz z tej rozpędzonej młodości, w której szybko się myśli i ocenia, szybko się kocha i nienawidzi, to chyba łatwiej o empatię i ta perspektywa kolejnych dwudziestu czy trzydziestu lat staje się nieco bardziej dostępna.

Robiłeś „risercz"?

Tak się składa, że od dawna większość moich przyjaciół jest starsza ode mnie. To pewnie kolejny trop, dlaczego w ogóle pomysł na taką książkę przyszedł mi do głowy. Ale rzeczywiście, przygotowując się do pisania, dużo rozmawiałem ze starszymi osobami.

Dowiedziałeś się czegoś zaskakującego?

Uderzyła mnie różnorodność sposobów radzenia sobie z bólem i strachem.

Przykłady?

Trudno znaleźć język dla ich opisu, nie brnąc przy tym w banał. Najogólniej można powiedzieć, że chodzi o skupienie na drobinach życia, na czerpaniu z nich radości. Rzeczy wcześniej zupełnie przeoczane potrafią nabierać nowych, fantastycznych sensów. Inni z kolei rozwijają niesamowite wstęgi wspomnień, co łagodzi codzienne bolączki. Ale znowu – nie wiem, czy to jest tak bardzo związane z wiekiem. Może wszyscy tak mamy, a z czasem się to tylko nasila? Zaobserwowałem też, że starsi ludzie mają mniejsze skłonności do samooszukiwania się. Łatwiej przyznają się do własnych słabości czy lęków.

Jak już wyjdziesz z tej rozpędzonej młodości, w której szybko się myśli i ocenia, szybko się kocha i nienawidzi, to chyba łatwiej o empatię.

A różnice pokoleniowe?

My, trzydziestoparo- i czterdziestolatkowie, jesteśmy w dziwnym momencie – bo właściwie nie wiadomo, jak powinniśmy się zachowywać. W poprzednich pokoleniach było mniej więcej jasne dla wszystkich, co wypada, a co nie w danym wieku. A teraz? Powinniśmy już chodzić z teczką w eleganckim płaszczu czy raczej jeździć na desce? Mój ojciec mając 40 lat był już w niekwestionowany sposób poważnym, statecznym mężczyzną. A ja niekoniecznie. I to pewnie będzie postępować – już mamy sporo szalonych i dziwnie młodych sześćdziesięciolatków. W krajach, gdzie rewolucja kontrkulturowa wydarzyła się wcześniej, zjawisko to znane jest od lat. Czasami widać grupę turystek ze Szwecji – wszystkie po siedemdziesiątce: piwko, winko, wydziarane i w drodze na koncert rockowy. U nas się to dopiero zaczyna.

Ale jednak piszesz o „nieradości".

No tak, bo mimo wszystko starość nie radość – nie ma już tych młodzieńczych euforii. Są jednak inne przyjemności. Ale znowu, nie popadajmy w stereotypy. Niektórzy są pogodzeni ze swoim wiekiem, inni nie. Jedni sobie radzą, inni nie. Najgorzej jest – za to literacko ciekawie – gdy zaczynasz myśleć, że mogłeś swoje życie przeżyć lepiej, inaczej. Jeden z moich bohaterów, najprawdopodobniej cierpiący na chorobę alkoholową, czuje się królem świata, ale z jego opowieści co rusz przebijają smutne ruiny.

W nowym tomie zmieniasz też scenerię – mało jest wielkomiejskiej Warszawy, więcej małomiasteczkowości i prowincjonalności.

Trudno powiedzieć, że Grochów czy Stegny z „Mikrotyków" były wielkomiejskie, ale faktycznie, postanowiłem uciec z Warszawy. Pewnie łatwiej byłoby mi siedzieć ciągle na tych samych podwórkach, ale w literaturze nie chodzi chyba o to, żeby było łatwo. Dlatego wolę Davida Bowiego niż AC/DC – cenię artystów, którzy ryzykują i podejmują nowe wyzwania, nawet jeśli nie zawsze kończy się to sukcesem. Z drugiej strony trudno jest uciec przed swoim stylem. Łatwiej zmienić miejsce niż sposób patrzenia na świat.

W tym celu wymyśliłeś sobie senne galicyjskie miasteczko?

To kolejny ryzykowny pomysł – zupełnie inaczej pisze się o dzielnicy, w której się wychowywałeś, niż o ulepionym od zera małym miasteczku.

Czym skusiło Cię miejsce, w którym nic się nie dzieje?

Pozornie, bo jak się spojrzy uważniej, to widać, że w małych miasteczkach dzieje się wiele. To taki mikroświat, wygodny literacko, bo łatwo go objąć w krótkiej formie. Wszyscy się znają, a plotka to przecież genialny mechanizm fabularny. Jak coś się stanie, to wszyscy o tym wiedzą, choć każdy słyszał trochę inną historię. Nie inaczej jest w Niedynku. No i pamięć zbiorowa – pewne sprawy, szczególnie te traumatyczne, związane z wojną, trwają dłużej niż w przestrzeni wielkomiejskiej. A to był ważny dla mnie temat.

A co z ciemną stroną prowincjonalnego życia?

Oczywiście istnieje i o niej też piszę. Jestem daleki od gloryfikacji prowincji. Mamy w polskiej literaturze wspaniałe tradycje nieoczywistego pisania o podobnych miejscach – choćby Kornel Filipowicz czy Julian Stryjkowski. Dużo też myślałem o Amosie Ozie, szczególnie o jego pierwszych książkach, które dzieją się w kibucu, czyli specyficznym wariancie małego miasteczka. Podoba mi się jego metoda – tworzenie pozornie niepowiązanych ze sobą historii, które na koniec składają się w coś na kształt powieści.

To może już czas na powieść?

Trochę irytuje mnie obecny w polskiej kulturze fetysz powieści, w myśl którego

prawdziwy pisarz powinien walnąć przynajmniej sześćset stron, najlepiej sagi. Ja się z tym dogmatycznie nie zgadzam. Ale kto wie, może kiedyś się skuszę... To wymagałoby jednak innych umiejętności, przede wszystkim warsztatowych. Po „Mikrotykach" byłem pewien, że taka forma nie jest dla mnie. Teraz już taki pewien nie jestem. Odkryłem wreszcie odpowiednie nitki, którymi mogę łączyć różne rzeczy. Więc kto wie?

Poważniejsze pytanie dotyczy samego sposobu opowiadania o świecie – z jednej strony synteza albo przynajmniej panorama, z drugiej rzeczywistość pokawałkowana.

George Saunders potrafi napisać opowiadanie na trzy strony, które w zasadzie jest powieścią. Kusi mnie taki styl – w „Mikrotykach" jest opowiadanie „Daleko", gdzie próbowałem tak pisać. No ale jak już tak rozmawiamy, to przyznam się, że pracuję teraz nad mikropowieścią. Ale właśnie z naciskiem na „mikro". Mam w głowie choćby „Zbyt głośną samotność" Hrabala, która ma 120 stron. Jak dla mnie więcej nie trzeba.

Czyli stopniowo ewoluujesz w tę stronę.

Wspólnie z moją wspaniałą redaktorką Magdą Budzińską doszliśmy do wniosku, że w opowiadaniach chyba już doszedłem do ściany, więc postanowiłem spróbować czegoś innego. Ale to nie będzie prędko.

„Nieradość" od „Mikrotyków" odróżnia również „sfilcowany czas", jak go sam nazywasz. Na czym dokładnie on polega?

Jak byłem dzieciakiem, dziadek opowiadał mi o swoim ojcu, który na początku XX wieku w Kijowie popełnił mezalians. A teraz ja mogę opowiedzieć to tobie. Ale tak właściwie to ile ma lat opowiadacz tej historii? Tyle ile miałem ja, kiedy ją pierwszy raz usłyszałem? A może tyle, ile miał mój dziadek, kiedy słuchał swojego ojca? A może należałoby te czasy zsumować? To fascynujące, ale też trochę straszne – przez dziesięć minut mógłbym mieć sto pięćdziesiąt lat.

Gdy opowiadamy o przeszłości, czas staje się bardzo niepewną rzeczą. Podobnie jest z pamięcią, i to nie jest wyłącznie kwestia wieku. Czasem znienacka pojawiają się nam przed oczami ludzie, o których nie myśleliśmy od dziesięciu czy dwudziestu lat. Za sprawą literatury możemy te powidoki próbować zapisać.

Jesteśmy w dziwnym momencie – bo właściwie nie wiadomo, jak powinniśmy się zachowywać. W poprzednich pokoleniach było mniej więcej jasne, co wypada, a co nie.

Ktoś mógłby powiedzieć, że uciekasz od tego, co współczesne.

Przeszłość to w zasadzie teraźniejszość, tylko bez zbędnych didaskaliów, jak powiedział ktoś mądrzejszy ode mnie. Do tego nie przepadam za literaturą doraźną, bo trudno w niej o dystans. Bez niego jesteś zbyt nabuzowany, zirytowany. Niektórzy potrafią się z tym obchodzić – na przykład Ziemowit Szczerek – ale to nie mój temperament. Współczesność odpycha mnie estetycznie. Nie potrafiłbym napisać książki o ludziach, którzy większość życia spędzają w komputerach i telefonach. Nie chodzi o to, że się na to zżymam! Absolutnie nie, to jest prawdziwe życie, prawdziwe uczucia i emocje, ale po prostu nie umiałbym opisać romansu, który odbywa się przez komunikator. Może się kiedyś nauczę. Z kolei pisać o świecie udając, że tego nie ma, byłoby bzdurą. Dlatego bardziej zajmują mnie lata 50.

A przyszłość? Nie interesuje Cię? A może uciekasz przed nią w przeszłość?

W byciu pisarzem najfajniejsze jest to, że nic nie musisz. Co jakiś czas powraca ze strony krytyki żądanie „Lalki" XXI wieku. Wtedy zwykle pod nosem radzę wyprawę do sex-shopu, tam z pewnością są lalki XXI wieku. Ale oczywiście jestem przerażony przyszłością, dużo czytam o katastrofie klimatycznej. Być może masz rację, być może z mojej strony to jakaś forma ucieczki. Z drugiej strony angażuję się, na ile mogę, w różne inicjatywy ekologiczne i społeczne. Ale moje pisanie jest obok tego, co oczywiście nie znaczy, że literatura w ogóle nie ma tu roli do odegrania – pisarze mogą ostrzegać czy prorokować. Ale też nie muszą.

PRL i lata 90., które opisujesz, to wdzięczne literacko epoki, mocno jednak już zmitologizowane.

W tym jest oczywiście dużo pułapek. Nostalgia byłaby jedną z nich, ale też mamy w głowach wiele krzywdzących stereotypów. Na przykład jak myślimy o lokalnym działaczu partyjnym, to od razu widzimy cwaniaka-pijaka, a jak o byłym AK-owcu, to bohatera. A przecież rzeczywistość nie była taka prosta.

Świat, który opowiadasz, miał też inną dynamikę, rzeczy działy się wolniej.

Dla mnie cezurą oddzielającą przeszłość od tego, co umownie nazywamy współczesnością, nie jest rok 1989 i upadek PRL-u, ale raczej początek XXI wieku, kiedy technologia, a razem z nią cała rzeczywistość mocno przyspieszyły. Gdy wszyscy o wszystkim dowiadują się momentalnie, ludzie zaczynają inaczej ze sobą rozmawiać.

Skoro mówimy o komunikacji, to możemy płynnie przejść do poezji. Z jednej strony piszesz opowiadania, z drugiej teksty piosenek. To dla Ciebie różne światy?

Darek Foks, którego bardzo cenię, chyba najlepiej opisał różnicę między prozą i poezją. Jak jest równo z lewej i prawej, to mamy do czynienia z pierwszą, jak równo z lewej, ale poszarpane z prawej, to z drugą. Tego się trzymam.

Nie wywiniesz się tak łatwo. W piosence „Szmerem" z Twojej najnowszej płyty śpiewasz, że chcesz zakłócać wyślizgane komunikaty, być kamieniem w bucie.

Sztuka – że pozwolę sobie na takie słowo – w ogóle powinna być kamykiem w bucie. Może to niejedyna jej funkcja, ale właśnie to wybicie z letargu codzienności jest dla mnie kluczowe. Zwłaszcza jeśli mówimy o poezji, do której w „Nieradości" chyba w paru miejscach niebezpiecznie się zbliżam.

Proza poetycka?

Nie lubię tego określenia, bo dla mnie każda dobra proza musi mieć coś z poezji. Henryk Bereza powiedział, że gdzieś w okolicach lat 70. w ogóle przestał myśleć tymi kategoriami. I ten pogląd jest mi coraz bliższy. Bo gdy piszę, nie myślę rodzajami ani gatunkami literackimi. ↦

Kieruję się intuicją, może nawet – znowu przepraszam za niemodne słowo – natchnieniem. Dopiero potem krytycy kwalifikują to tak albo inaczej. Dla mnie to sprawa drugorzędna.

W dyskusjach o kondycji współczesnej poezji często pojawia się zarzut samomarginalizacji, zabrnięcia w ślepą uliczkę niezrozumialstwa.

Nawet jeżeli niektórzy poeci faktycznie poszli taką ślepą drogą, to być może nie mieli innego wyjścia – nie mogli pisać inaczej, bo każde uproszczenie czy pójście na kompromis prowadziłoby do fałszu, a dla poezji nie ma nic gorszego. Z drugiej strony problem z niezrozumialstwem może brać się ze słabego przygotowania samych czytelników. No bo jeżeli nie zna się najważniejszych polskich i światowych tekstów XX wieku, to trudno oczekiwać, że pójdzie ci gładko ze współczesnymi autorami, którzy przecież z tych tradycji wyrastają. To brzmi nieco elitarystycznie, ale z drugiej strony poezja od zawsze wymagała trochę wysiłku. Na szczęście w tej materii jestem tylko czytelnikiem, bo poetą się nie czuję.

I co teraz czytasz?

Konrada Górę. I muszę powiedzieć, że jego poezja poruszyła mnie jak mało co w ostatnich latach.

Dalej masowo wręczasz znajomym tomiki-prezenty?

Staram się, choć czasem reakcje bywają różne. Ale jeśli chcesz kogoś zarazić poezją, musisz go dobrze znać, musisz wiedzieć, kiedy wyskoczyć z Foksem, kogo namawiać na Świetlickiego, a komu proponować Witkowską.

Żyjemy w czasach wzmożenia ideologicznego, ale też językowego. To dobry moment dla poezji?

Kto czytał Michała Głowińskiego, ten widzi wszystkie te niepokojące znaki i wie, dokąd zmierzamy. Znaczenie wielu słów się zaciera, a potem przychodzi banda durniów i dodatkowo nasącza je nienawiścią. Staram się trzymać od tego jak najdalej. Przyglądam się. To w ogóle dobry napis na nagrobek: przyglądał się.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

IWAO YAMAWAKI

Iwao Yamawaki, „Atak na Bauhaus", kolaż opublikowany w japońskim piśmie architektonicznym „Kokusai kenchiku" w 1932 r., jeszcze przed zamknięciem Bauhausu.

Dyskretny urok chłodu

KAROL FRANCZAK

Rezygnują z ornamentu i wizualnego przepychu, pogardzają chwilowymi modami. To ma być design odarty z ego. Ma służyć demokratycznej społeczności. Która go odrzuci.

W czasach Republiki Weimarskiej ofiarą uniwersalnych mechanizmów wykluczania odmienności padli twórcy, studenci i idee obchodzącego właśnie stulecie Bauhausu. Za symboliczny koniec słynnej szkoły wzornictwa, architektury i rzemiosła, działającej w latach 1919-33 w Weimarze, Dessau i Berlinie, uznać można pracę Iwao Yamawakiego – jednego z kilkorga uczniów, którzy do ówczesnej mekki projektowania przyjechali aż z Japonii.

Na jego kolażu z 1932 r. „Der Schlag gegen das Bauhaus" („Atak na Bauhaus") widać dobrze znane z niedalekiej przy-

szłości motywy – zwarte w równym szyku brunatne bojówki, ludzi leżących głową do ziemi oraz kilkoro krzyczących studentów, nad którymi góruje umundurowany oficer ze swastyką na ramieniu.

Żołnierze nie bez powodu kroczą po zdekonstruowanym budynku uczelni w Dessau – obok idei szerzonych przez Bauhaus również kształt jego siedziby był dla radykalnej prawicy kamieniem obrazy. Naziści nazywali go „orientalnym szklanym pałacem", „synagogą" albo „katedrą marksizmu". Po zamknięciu Bauhausu przez ostatniego szefa Miesa van der Rohe myślano o zrównaniu budynku z ziemią, ostatecznie w kolejnych latach służył nazistom jako szkoła dla hitlerowskich urzędników, a z czasem zmienił się w fabrykę sprzętu lotniczego.

Po wojnie władze NRD nie doceniły walorów projektu Waltera Gropiusa – pierwszego dyrektora Bauhausu – i kompleks popadł w ruinę. Za żelazną kurtyną Bauhaus był wciąż w niełasce – uchodził za synonim burżuazyjnego zepsucia, formalizmu i manifestację wrogiej demokracji ludowej polityki imperialistycznej. Dawny blask budynek szkoły odzyska dopiero w latach 90. wraz z gruntowną rewitalizacją i – pod koniec stulecia – wpisaniem na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Ludzie i ich czasy

Bauhaus swoim przeciwnikom jawił się jak najgorzej, a negatywne konotacje były podsycane przez skojarzenia z „wykorzenionym kosmopolityzmem", „stylistyczną bolszewią", „żydowskim partactwem" oraz „orientalistycznymi sześcianami", które przynależą może do arabskiej pustyni, ale nie do duchowego centrum romantyzmu i gotyku. Słynną wystawę modelowych domów i mieszkań na osiedlu Weißenhof w Stuttgarcie w 1927 r. wyśmiewano w prasie, a zjadliwe artykuły ilustrował fotomontaż, na którym wśród budynków Le Corbusiera, Petera Behrensa i Marta Stama przechadzały się wielbłądy.

Wielu z uczniów i nauczycieli po rozwiązaniu szkoły musiało ułożyć sobie relacje z nową władzą i dalej pracować w zawodzie architekta, projektanta lub nauczyciela. Miesa van der Rohe – mimo bezsprzecznej wielkości i późniejszych sukcesów w Stanach Zjednoczonych – nie sposób nazwać inaczej niż oportunistycznym lawirantem, który dyrektorowanie uczelnią traktuje w latach 30. jako niewygodny balast. W tym czasie odrzuca jeszcze zaproszenia z Ameryki (w tym posadę na Harvardzie) i bez większych sukcesów startuje w oficjalnych konkursach architektonicznych organizowanych pod parasolem nowej władzy. Walcząc o uczelnię, prowadzi ryzykowną grę z Gestapo, ale doprawdy trudno go uznać za ofiarę albo męczennika.

W nowych czasach przepada m.in. jego projekt Banku Rzeszy, jednej z bardziej prestiżowych inwestycji hitlerowskich Niemiec. To i inne niepowodzenia oznaczające brak zamówień przyspieszają decyzję o emigracji za ocean.

Laboratorium nowoczesności

Koniec Bauhausu owocuje transferem żywiołu modernizmu m.in. do obu Ameryk, Turcji, Japonii i Izraela. Eksodus i intelektualny eksport nowoczesnych idei poza Europę to dowód na wagę wywołanej przez Bauhaus dyskusji o jakości projektowania i architektury w coraz bardziej wyspecjalizowanym społeczeństwie industrialnym.

Rozwój fabryk odstawia na boczny tor rękodzieło i zmienia wyobrażenia o kształceniu profesjonalnych twórców. Widać to m.in. w rozwoju szkół ↦

TADASHI OKOCHI / PEN MAGAZINE, 2010, STIFTUNG BAUHAUS DESSAU

Odrestaurowany budynek Bauhausu projektu Waltera Gropiusa, Dessau, 2010 r.
Poniżej: zrekonstruowany Pawilon Barceloński projektu Miesa van der Rohe z 1929 r.

ASHLEY MARK POMEROY / CC BY 3.0

artystyczno-rzemieślniczych poprzedzających Bauhaus, które zaczynają wywierać coraz większy wpływ na współczesną produkcję przemysłową. W pierwszych dekadach XX w. ich powstawaniu towarzyszą zróżnicowane narracje, takie jak rozwijanie współpracy między przemysłem i artystami oraz promowanie wysokiej jakości produktów codziennego użytku, w których coraz częściej daje się odnaleźć elementy charakterystyczne dla dzieł artystycznych. W swoich ideach i programach formułują je stawiający na kształcenie artystów praktyków przedstawiciele ruchu Arts and Crafts, założyciele Warsztatów Wiedeńskich, a z czasem szkoła w Dessau.

„Chcieliśmy pobudzić kreatywnych twórców zamkniętych we własnym świecie do włączenia się w rytm codzienności, a przy okazji nadać szerszy, ludzki wymiar sztywnemu, niemal ściśle materialnemu światopoglądowi obowiązującemu w biznesie" – pisał po latach o pomyśle na Bauhaus Walter Gropius. W jego ocenie szkołę powołano do życia po to, żeby wychować nowy typ pracownika, który łączyłby cechy inżyniera, artysty i biznesmena. Absolwent ma wchodzić na rynek pracy, mając za sobą kontakt z halą produkcyjną i pracą maszyn, elementami rękodzieła oraz pracą nad projektami, które są wdrażane do realizacji w konkretnych przedsiębiorstwach, a następnie trafiają na rynek.

Pomysł na nowy typ kształcenia uspójnia się z popularnymi już wówczas ideami „sztuki oddolnej" i „twórczości dla wszystkich", w których kwestionowano anachroniczny mit genialnego artysty. Kreśli je m.in. Der Deutsche Werkbund – powstałe na początku wieku stowarzyszenie twórców, architektów, przedsiębiorców i ekspertów. Artystów traktują niemalże jak dostawców usług publicznych dla lokalnej wspólnoty.

W działalności Werkbundu, a potem w programie i głównych ideach Bauhausu zaciera się granica między sztuką i niesztuką. Elementy charakterystyczne dla dzieł artystycznych coraz częściej daje się odnaleźć w przedmiotach codziennego użytku, obok funkcjonalności liczy się też zmysłowa przyjemność, a masowa produkcja oparta jest na działaniu kolektywnym, którego organizacja nie przypomina pracy w fabryce, ale kooperację komuny artystów. Te idee są zapowiedzią dzisiejszej gospodarki innowacji, skupionej wokół mody, designu i reklamy oraz hołubionych przez lokalne władze przemysłów kultury.

LOUIS HELD / DOMENA PUBLICZNA

Walter Gropius, 1919 r.

Twórcy Bauhausu zakładali, że po doświadczeniach Wielkiej Wojny należy na nowo wymyślić otoczenie dla coraz liczniejszych mieszkańców miast. Rosło znaczenie klasy średniej. Przeważający wciąż liczebnie proletariat zmierzał w stronę profesji kojarzonych ze stylem życia i aspiracjami białych oraz różowych kołnierzyków: sekretarek, sprzedawców, pośredników handlowych, urzędników. W Republice Weimarskiej następuje tożsamościowy paradoks: choć w strukturze społecznej dominują robotnicy, większość ludzi chce identyfikować się ze społecznym środkiem.

Moderniści dostrzegają demontaż dawnego porządku klasowego, do czego przyczynia się też intensywny rozwój technologii. Nierówności ciągle istnieją, ale czuć presję na symboliczne pogodzenie grup, które dopiero od niedawna żyją obok siebie. Nowoczesność ma być egalitarna, bezklasowa i inkluzywna. Wykładowcy Bauhausu chcą tworzyć funkcjonalnie zaprojektowane domy, przedmioty i urządzenia – obiekty pozornie zdemokratyzowane i uwolnione od estetycznych kodów, które odpowiadają za podtrzymywanie hierarchii społecznej i stemplowanie społecznego dystansu. Chyba nie do końca uważnie czytają felietony Siegfrieda Kracauera we „Frankfurter Zeitung", wydane w 1930 r. w zbiorze „Die Angestellten". Książkę Kracauera powszechnie uważa się za jedną z lepszych relacji z przebiegu gwałtownych procesów modernizacyjnych, którą powinniśmy czytać także dzisiaj, kiedy zmiany społeczne nie nadążają za raptownym rozwojem możliwości technicznych.

Bohaterowie „Die Angestellten" nie są grupą w sensie socjologicznym, łączy ich raczej „duchowa bezdomność" – wspólne doświadczenie egzystencjalne sprowadzające się do rezygnacji z poszukiwań wyższego sensu. W portrecie kreślonym przez Kracauera to uchodźcy ze sfery *sacrum*, zamknięci w „barakach przyjemności" masowej rozrywki. Ich kondycja to efekt długotrwałego procesu rozkładu wspólnotowych więzi i utraty żyrowanego przez religię metafizycznego bezpieczeństwa. I to właśnie oni ostatecznie odrzucą „dyktaturę chłodu" nowej architektury, mebli, ceramiki i typografii. Zakwestionują misję Bauhausu określaną często jako „kontrola modernizacji poprzez projektowanie", czyli *de facto* powściąganie zapędów społeczeństwa konsumpcyjnego.

Ostatnią tego rodzaju próbę podejmie w latach 60. Dieter Rams, nadworny projektant Brauna i późniejszy guru designerów Apple. Dla twórców szkoły z Dessau, jak i dla Ramsa ani dialog z geometrią i barwami podstawowymi, ani tyrania bieli, umiaru i czystości nie są przecież celem samym w sobie. *Bauhäusler* chcą budować tańsze domy z prefabrykowanych elementów i wytwarzać proste przedmioty – trwałe i ponadczasowe – z którymi ludzie mogliby nawiązać długoletnie relacje. Rezygnują z ornamentu i wizualnego przepychu, pogardzają chwilowymi modami. To ma być design odarty z ego. Społeczne zaangażowanie wzornictwa i architektury forsuje przede wszystkim najsłabiej zapamiętany

OGŁOSZENIE

GRUPA WYDAWNICZA FOKSAL informuje, że we wstępie do książki Anny Świrszczyńskiej „Jeszcze kocham" na s. 20 mylnie podano imię jednego z sygnatariuszy rezolucji Związku Literatów Polskich w Krakowie dotyczącej procesu domniemanej grupy szpiegów amerykańskich powiązanych z krakowską Kurią Metropolitalną z roku 1953. Chodzi o Tadeusza, a nie o Jerzego Kwiatkowskiego.

Za zaistniały błąd przepraszamy.

drugi dyrektor Bauhausu, Hannes Meyer, przywiązany do zasady „potrzeba ludu zamiast potrzeby luksusu". Jednak sam zostaje zmuszony do kompromisów – flirtując z oczekiwaniami rynku i sprzedając komercyjne produkty ze szkolnych warsztatów, zapewnia szkole potrzebne dochody.

Ofiara mitu

Społeczeństwo nieobciążone ograniczeniami masowej konsumpcji okazało się utopią, a przedwojenni i powojenni idealiści ponieśli porażkę. Rams nie docenił tempa rozwoju współczesnej technologii, wypierającej bez skrupułów swoje wcześniejsze formy (np. kolejne nośniki muzyki i filmu) albo znajdującej sposób, aby funkcje różnych urządzeń zmieścić w jednym przedmiocie. Dziś logika nowszego modelu wciąż wygrywa z ascezą i nieprzemijalnością projektów Ramsa.

Natomiast Bauhaus stał się ofiarą własnego mitu. Mimo niechęci władzy już w latach 30. plenią się imitacje bauhausowego stylu, który szybko okazuje się handlowym chwytem. Sprowadzono go do tego, co powszechnie uchodziło za nowoczesne i funkcjonalne. Do domów z dużą ilością szkła i lśniącego metalu, pustych ścian w mieszkaniach pozbawionych domowego ciepła, krzeseł ze stalowych rurek, aluminiowych lamp, minimalistycznej ceramiki, tapet w geometryczne wzory czy, dziś znów *trendy*, gniazdek elektrycznych z ebonitu (koniecznie w bieli lub czerni). Oskar Schlemmer – malarz i profesor w Dessau – notował z ironicznym dystansem: „Ten styl można znaleźć wszędzie, tylko nie w Bauhausie".

Emigrujący pomysłodawcy i absolwenci uczelni pozostawili za sobą społeczeństwo, którego stosunek do dziedzictwa szkoły musiał mocno rozczarowywać apostołów modernizmu. Po latach, już jako gwiazda Harvardu, Walter Gropius deklarował: „Celem Bauhausu nie było upowszechnianie jakichkolwiek stylów, systemów czy dogmatów. Chodziło jedynie o ożywienie samego projektowania. Powstanie stylu »Bauhausu« byłoby równoznaczne z przyznaniem się do porażki".

Co się stało z naszą klasą?

W setną rocznicę urodzin mit jubilata materializuje różne pamięci modernizmu. Entuzjaści Bauhausu wciąż widzą w nim jedną z najlepiej rozpoznawalnych

GUNTER BINSACK / STIFTUNG BAUHAUS DESSAU

Projekty studentów Bauhausu:
Alfred Schäfter, prototyp lampy wiszącej, 1931/1932 r.
Franz Ehrlich, Relief, ćwiczenia w pracowni László Moholy-Nagya, ok. 1927 r.

GUNTER BINSACK / STIFTUNG BAUHAUS DESSAU

marek, bez której trudno sobie wyobrazić rozmowę o nowoczesnym designie. W tej optyce słynna uczelnia ma status – jak określiła to kiedyś Leah Dickerman – „kulturowego think tanku", ze źródeł którego czerpać mogą nie tylko projektanci, ale też wydawcy książek (typografia) i marketingowcy (niebanalny PR). Inni przypominają, że wirus Bauhausu rozwinął się w chorobę, której objawami była gigantomania „stylu międzynarodowego", napuszone biurowce Chicago czy piekło osiedli mieszkaniowych z wielkiej płyty, kojarzonych dziś często ze zdewastowanymi blokowiskami.

Niewiele zostało z intelektualnego radykalizmu i marzeń o egalitarnych towarach dla zdemokratyzowanego społeczeństwa. W ciągu wieku projekty Bauhausu zmieniły się albo w dobra luksusowe, albo w karykaturalne gadżety dla turystów. W pierwszym przypadku są dziś synonimem bogactwa i przynależności do klasy wyższej. Modułowy dom w „stylu" Bauhausu można dziś zamówić z katalogu, potem wyposażyć w replikę słynnego zestawu do herbaty Marianne Brandt za jedyne dziewięć tysięcy euro.

Kultowe wytwory uległy infantylizacji i wulgarnemu urynkowieniu. Mniej zamożni fani Bauhausu mogą pocieszyć się ofertą licencjonowanych produktów dostosowanych do zawartości swojego portfela. Od stolików kawowych Josefa Albersa i Eileen Gray, przez geometryczną kołyskę Petera Kelera i klocki dla dzieci z „Haus Am Horn", po koszulkę z naszym ulubionym Bauhäuslerem (do wyboru Kandinsky, Mies i Gropius).

Spoglądając na Bauhaus po prostu z sympatią, jaką budzi skromny dom dla małżeństwa Lemke w Berlinie projektu Miesa van der Rohe, chciałoby się zamarzyć o tym, żeby program, idee i metody propagowane przez szkołę stały się kiedyś odtrutką na polską „wannę z kolumnadą", która do staruszki z Dessau od dziesięcioleci odwraca się plecami.

© KAROL FRANCZAK

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Polityka z planety Vega

JAKUB MAJMUREK

W najbliższych tygodniach można spodziewać się w kinie tłumów. „Polityka" jest skazana na frekwencyjny sukces. Ma rywalizować ze Smarzowskim i „Klerem", taka jest ambicja reżysera.

Wrzesień obfituje w ważne polskie premiery filmowe: czeka nas film o Józefie Piłsudskim, superprodukcja o Legionach i zrealizowana przez Xawerego Żuławskiego ekranizacja jednego z ostatnich scenariuszy jego ojca Andrzeja, „Mowa ptaków". Ale największym wydarzeniem wśród nich wszystkich ma jednak szanse stać się wchodząca w środę 4 września na ekrany „Polityka" Patryka Vegi. Bo nie tylko o wydarzenie filmowe tu chodzi.

Arcydzieło promocji

Vega nigdy nie był ulubieńcem krytyków, festiwali i wszelkich instytucji zdolnych nadać filmowi aurę artystycznej konsekracji. Ale to nie o ich uznanie „Polityka" będzie się biła. A o co? Po pierwsze o to, co Vedze od jakiegoś czasu wychodzi lepiej niż jakiemukolwiek innemu polskiemu reżyserowi: o przyciągnięcie do kin wielkiej, masowej publiczności.

„Polityka" walczy jednak o coś więcej niż wynik frekwencyjny (jej zwiastun na YouTubie w trzy dni wyświetlono ponad trzy miliony razy). Ma stać się społecznym wydarzeniem co najmniej na miarę „Tylko nie mów nikomu" braci Sekielskich i „Kleru" Wojciecha Smarzowskiego.

„Vega uważa, że w Polsce jest dwóch reżyserów: on i Smarzowski. Z nikim innym się nie ściga. Smarzowski przebił go frekwencyjnie »Klerem«, »Polityka« ma być odpowiedzią" – mówił mi w czerwcu znający branżę, zajmujący się filmem PR-owiec. Tak jak „Kler" ściągnął do kina pięć milionów widzów – prawie dwa razy więcej niż największy hit Vegi – i wywołał dyskusję o kondycji polskiego Kościoła katolickiego i miejscu, jakie zajmuje on w naszej demokracji, tak „Polityka" ma być jednocześnie frekwencyjnym hitem i głosem w dyskusji o polskiej klasie politycznej. Tym bardziej nośnym, że wybrzmiewającym w gorącym okresie kampanii wyborczej, gdy w warunkach silnej polaryzacji na brak politycznych emocji nie będzie można narzekać.

Vega bardzo sprytnie zadbał o to, by o filmie było głośno, zanim ktokolwiek miał szansę zobaczyć choćby fragment. W czerwcu zaczęły krążyć plotki, że „Vega nakręcił w tajemnicy film wymierzony w PiS". Pogłoski szybko się potwierdziły, reżyser zaczął udzielać się w mediach. Opowiadał, że politycy rządzącej partii wiele mu oferowali, by przesunął premierę z okresu kampanii i że – by uniknąć nacisków – montuje film w Azji. W sieci szybko pojawiły się fragmenty z filmu, tabloidy donosiły o kolejnych scenach i wątkach – wśród nich o tym, w którym bohater przypominający Antoniego Macierewicza nachalnie zaleca się do bohatera wzorowanego na niesławnym asystencie byłego ministra obrony, Bartłomieju Misiewiczu.

Misiewicz świeżo po wyjściu z tarnowskiego aresztu złożył pozew przeciw Vedze i dystrybutorom filmu. Domagał się wstrzymania premiery i milionowego odszkodowania. Były polityk sięgnął po pomoc Zbigniewa Krügera, adwokata w podobnej sprawie reprezentującego wcześniej producenta muzycznego Krzysztofa Kozaka. Kozak wygrał w 2016 r. proces o naruszenie dóbr osobistych z dystrybutorem filmu „Jesteś Bogiem", opowiadającego historię śląskiej grupy hip-hopowej Paktofonika. Choć w „Jesteś Bogiem" jego postać nosi inne nazwisko, a Kozak nie jest powszechnie rozpoznawalną osobą publiczną, sąd uznał, że film naruszył jego dobre imię, przedstawiając go wbrew prawdzie jako muzycznego pirata i oszusta.

Vega wyśmiał pozew Misiewicza, deklarując, że jego zegarek jest wart więcej niż roszczenia człowieka Macierewicza. Jak ustaliła w ubiegły wtorek „Gazeta Wyborcza", Misiewicz miał wycofać pozew i żądanie powstrzymania premiery – o czym nie poinformował opinii publicznej. W efekcie konflikt Misiewicza z Vegą tylko przysłużył się promocji filmu. Reżyser dobrze wie, że jeśli prawnikom nie uda się zablokować kinowej dystrybucji filmu, każdy atak oburzonego polityka PiS to doskonała promocja. Politycy rządowego obozu i wspierające ich media, jakiekolwiek byłyby ich intencje, atakując film grają w promocyjnej orkiestrze Vegi. Łącznie z Jarosławem Kaczyńskim, który nazwał film „hejtem, przygotowaniem do wielkiego hejtu".

Film arcydziełem pewnie nie będzie, ale jego kampania promocyjna, angażująca polityków i zajmujące się raczej polityką niż filmem media, przejdzie jednak z pewnością do historii polskiego marketingu filmowego.

Recykling skandali „dobrej zmiany"

Czy tak przemyślnie wypromowany film stanie się wydarzeniem politycznym? Czy wstrząśnie polską polityką, zmieniając nawet wynik wyborów – jak sugerował to reżyser? Trudno prognozować nie znając jego treści: a ponieważ Patryk Vega konsekwentnie także w tym przypadku nie pokazuje filmów dziennikarzom przed premierą, poznam ją tak jak państwo dopiero w najbliższych dniach.

Ale jakieś pojęcie o tym, co będzie na ekranie, daje scenariusz, z którym miałem okazję zapoznać się w czerwcu – choć ostateczna wersja tego, co zobaczymy w kinie, może wyglądać inaczej niż na papierze.

Jak w większości dzieł Vegi scenariusz składa się z kilku dość luźno powiązanych ze sobą wątków, każdy z nich skupia się na innej postaci „dobrej zmiany". Pierwszy na szefowej rządu, prostej kobiecie trafiającej z głębokiej prowincji na polityczne salony. W pierwszej scenie zwiastuna widzimy kobietę karmiącą kury, do której podbiega zaaferowany mąż z telefonem: „Ty słońce premierem zostałaś!" – mówi. Nie sposób nie rozpoznać w tym wątku karykaturalnego portretu Beaty Szydło. W kolejnych wątkach scenariusza znajdziemy postaci przypominające Macierewicza i Misiewicza, ojca Rydzyka, Kaczyńskiego, wreszcie posła Stanisława Piętę, którego karierę etatowego politycznego hejtera „dobrej zmiany" złamał

INSTAGRAM / OFICJALNY PROFIL PATRYKA VEGI

Patryk Vega na dachu hotelu Lancaster w Bangkoku, czerwiec 2019 r.

ujawniony przez tabloidy pozamałżeński romans.

Wszystkie te wątki i związane z nimi afery zdążyły się już zestarzeć. Wyczyny Misiewicza, kolizja rządowej kolumny z Beatą Szydło na pokładzie, nie mówiąc o romansie Pięty, to mocno odgrzewane kotlety. Piętę odstawiono na boczny tor, Misiewicza zaś najpierw publicznie upokorzono, a potem postawiono mu prokuratorskie zarzuty – trudno uwierzyć, by przypomnienie ich spraw miało szczególnie zaszkodzić PiS w kampanii. W scenariuszu nie znalazłem żadnych nowych informacji o obecnie rządzącym układzie, żadnej nowej afery i skandalu, o których nie wiedziałby uważny obserwator polskiej polityki w ciągu ostatnich czterech lat. Scenariusz co najwyżej wyciąga bardzo daleko idące wnioski z różnych nie zawsze poważnych domysłów, plotek i fantazji, narastających wokół niektórych polityków – jak w wątku z Macierewiczem. W sumie na papierze film sprawia wrażenia rekonstrukcji newsów sprzed kilku lat – czasem wykrzywionych w karykaturalnej przesadzie.

Filmowa fikcja ma jednak, jeśli jest odpowiednio zainscenizowana, wielką siłę oddziaływania na emocje. Inaczej reagujemy, gdy czytamy o ekscesach polityków, inaczej gdy widzimy je na kinowym ekranie. W kinie łatwiej wywołać oburzenie, łatwiej ośmieszyć i wywołać niechęć. Z pewnością recepcji „Polityki" może pomóc to, że ostatnie afery PiS wyglądają jak napisane przez rzeczywistość kolejne epizody filmu Vegi. Historia marszałka Sejmu rozbijającego się po Polsce rządowym samolotem, traktowanym przez niego jak osobista taksówka, a zwłaszcza hejterska afera w Ministerstwie Sprawiedliwości z żenującym małżeńskim trójkątem w tle wyglądają, jakby zostały wyjęte z filmu, wydają się potwierdzać jego diagnozy.

Polityka to tarzanie się w błocie

Jakie to diagnozy? Ostateczną opinię będzie można sformułować dopiero po premierze, ale scenariusz wydaje się mówić jedno: polityka to tarzanie się w błocie, ubrudzić się musi każdy. W scenariuszu „Polityki" nie ma w zasadzie ani jednego sympatycznego bohatera. Wzięta z ludu pani premier jest niekompetentną marionetką. Pozytywnych uczuć nie budzi też żaden z jej ministrów – w zwiastunie widzimy jednego z nich, przypominającego z wyglądu obecnego premiera, który z zaciętą miną przekonuje, że ludzie powinni pracować „za miskę ryżu". Broniący z sejmowej mównicy „rodzinnych wartości" poseł okazuje się zdradzającym żonę hipokrytą. Charyzmatycznemu zakonnikowi chodzi tylko o władzę i pieniądze. Prezes rządzącej partii może – co widać w zwiastunie – sprawiać wrażenie miłego, trochę oderwanego od rzeczywistości starszego pana, ale tak naprawdę to on kręci tym wszystkim.

Nie lepsza jest filmowa opozycja. Jej lider to osoba oślizgła i nieprzyjemna. W scenariuszu cynicznie wykorzystuje ofiarę kolizji z rządową limuzyną dla swoich politycznych celów. Politycy opozycji wyglądają w scenariuszu jak wyjęci z propagandy PiS – mają lepkie ręce, pozbawieni są zasad i poglądów, chodzi im tylko o to, by w nowym rozdaniu to ich gang był na wierzchu.

Być może na ekranie uda się uzyskać ostatecznie bardziej subtelny obraz, ale subtelność zdecydowanie nie należy do atrybutów twórczości Vegi. Jego filmy oferowały rysowany grubą kreską obraz polskiej rzeczywistości jako miejsca brutalnej walki wszystkich ze wszystkimi. Tu nie liczą się żadne reguły, poza lojalnością wobec swoich. Taką diagnozę przynosiły kolejne filmy z „planety Vega": od „Służb specjalnych" do „Kobiet mafii 2". Służby, policja, zorganizowana przestępczość, służba zdrowia w „Botoksie" – wszystkie te przestrzenie społeczne były pokazywane w filmach Vegi jako równie brutalne, podobnie skorumpowane i rządzące się w gruncie rzeczy identycznymi regułami. „Polityka", sądząc po scenariuszu, gładko wpisze się w ten ciąg – z tym może wyjątkiem, że w poprzednich dziełach reżysera wśród gangusów, królowych mafii i stróżów prawa łatwiej było o bohaterów budzących sympatię widzów.

Granat czy kapiszon?

Sukces Vegi opierał się na dwóch filarach. Po pierwsze, filmy reżysera sprzedawała obietnica: „mówimy, jak jest" – promocja za każdym razem podkreślała, że film to nie tylko fantazja reżysera, że każde dzieło oparte było na drobiazgowej, dokumentacyjnej pracy. Scenariusze filmów o mafii miały powstawać przy współpracy z dawnymi gangsterami itp. Po drugie, obiecując dokumentalny wgląd za kulisy rzeczywistości, kino Vegi rzadko mówiło coś nowego o społeczeństwie, często za to potwierdzało uprzedzenia, przesądy i głębokie przekonania widzów: np. że lekarze biorą w łapę i tak naprawdę nie znają się na swojej pracy („Botoks"). ↦

W podobnym kierunku wydaje się zmierzać „Polityka”. Politycy konsekwentnie umieszczani są przez Polki i Polaków na samym końcu rankingów zawodów zaufania publicznego. Nieufność do polityki i polityków, przekonanie, że wszyscy oni są siebie warci, jest być może jedyną kwestią, w której w coraz bardziej spolaryzowanej Polsce są w stanie się zgodzić wyborcy PiS i PO-KO, uczestnicy marszów równości i marszu niepodległości. Film Vegi pozwoli publiczności od lewa do prawa, ze wsi i z miast, bogatej i biednej potwierdzić jej uprzedzenia co do polityki, zjednoczyć się w oburzeniu i absmaku na klasę polityczną.

Czy to jednak wystarczy, by wywołać polityczną zmianę albo chociaż dyskusję, jaką w sprawie Kościoła w Polsce udało się jednak sprowokować „Klerowi”? Wszystko zależy od tego, co zobaczymy na ekranie. Jeśli nic innego poza obrazem zdemoralizowanej klasy politycznej, jedynym kampanijnym efektem okaże się najpewniej jeszcze większy cynizm i zmęczenie wyborców. Co nie musi szkodzić obecnej władzy. Ta ma z jednej strony twardy, zmobilizowany elektorat, z drugiej liczy na wyborców kalkulujących, że nawet jeśli PiS jest tak samo złe jak PO, to przynajmniej dało 500 plus.

Z drugiej strony „Polityka” może uruchomić dynamikę zaskakującą nawet dla samych twórców. Nie tylko polityczną, ale też prawną. Niewykluczone przecież, że nie tylko Misiewicz będzie starał się dochodzić w sądzie swoich praw do dobrego imienia i wizerunku. „Polityka” może stać się zarzewiem kilku procesów o kluczowym znaczeniu dla tego, jak rozumiemy w Polsce wolność słowa i prawo do artystycznej krytyki. Broniąc się przed zarzutami Misiewicza Vega raz twierdzi, że na wszystko ma dokumenty, innym razem zasłania się tym, że film jest dziełem sztuki, fikcją. Jak daleko można jednak posunąć się w fikcyjnych spekulacjach konstruując postać, która w oczywisty sposób odsyła do rozpoznawalnej osoby publicznej? Orzekając w tej sprawie, sąd będzie musiał wyważyć wiele wchodzących ze sobą w konflikt racji i wartości.

© JAKUB MAJMUREK

Bez klimatyzacji

ANITA PIOTROWSKA

Mimo że fatum zdaje się nieubłagane, a malownicze wybrzeże łuszczy się i rdzewieje, film hiszpańskiego reżysera wypełniony jest intensywnym południowym światłem i kotłującym się żywiołem: życia, zabawy, wody.

„ENTRE DOS AGUAS” – BRZMI ORYGINALny tytuł filmu, zupełnie jak nazwa płyty Paco de Lucíi z 1975 r. Akcja „Między morzem a oceanem” toczy się bowiem w andaluzyjskim San Fernando, sporym mieście położonym nad Atlantykiem, skąd pochodzi wielu znanych tancerzy i pieśniarzy flamenco. Na przykład wielki Camarón de la Isla, któremu 13 lat temu Isaki Lacuesta składał hołd w swoim debiutanckim filmie „Legenda o czasie”. Jednym z jego głównych bohaterów był utalentowany romski chłopiec o imieniu Israel, który sam nigdy nie zrobił wokalnej kariery – po śmierci ojca przeszedł na ciemną stronę mocy.

Dziś hiszpański reżyser powraca do tamtego chłopca. Właśnie wychodzi z więzienia, gdzie spędził trzy lata za handel narkotykami, i próbuje zacząć wszystko od nowa. Andaluzyjskie dźwięki słychać z ekranu wielokrotnie, bardziej jednak chropawe i brudne, jakby zanurzone w szarym grząskim mule, z którego Israel brnąc po kolana wyciąga dziś z mozołem pojedyncze skorupiaki. Żeby zarobić na życie.

Raz jeszcze oglądamy rozmytą hybrydę dokumentu i fabuły, w której naturszczycy filmowani w codziennym otoczeniu odgrywają swój potencjalny los. Metoda to dyskusyjna, często zahaczająca o protekcjonalizm i eksploatację, ale w tym wypadku reżyser szczodrze oddaje przestrzeń swoim plebejskim aktorom/bohaterom. Isra (czyli Israel Gómez Romero) z całych sił próbuje uciec od przeszłości, podczas gdy jego starszy brat Cheíto (w tej roli Francisco José Gómez Romero), który pracuje jako marynarz uczestniczący w odległych misjach, przede wszystkim stara się budować lepszą przyszłość dla siebie i swojej rodziny. Łączy ich coś więcej niż osierocenie przez ojca i skomplikowana braterska więź. Obaj doświadczają na własnej skórze, jak trudno być tradycyjnie rozumianym mężczyzną w miejscu, gdzie jeszcze niedawno odnotowywano trzydziestoprocentowe bezrobocie przy najgęstszym zaludnieniu w kraju. I choć Romowie z południa Hiszpanii to społeczność wrośnięta tu korzeniami od setek lat, film Lacuesty pokazuje ich zagubienie na własnej ziemi, dotkniętej niedawnym kryzysem ekonomicznym i zmagającej się z podupadłym etosem.

Isra po odbyciu wyroku czuje się w domu obcy i niepotrzebny, kilkuletnie córeczki ledwie go rozpoznają, a kolejne próby zarobienia uczciwych pieniędzy kończą się fiaskiem. Cheíto, który miesiącami szarpie się w szkwałach zwalczając somalijskich piratów, naraża na szwank własne bezpieczeństwo, małżeństwo i ojcostwo, lecz przynajmniej ma nadzieję, że kiedyś uda mu się wreszcie osiąść na suchym lądzie i otworzyć własną piekarnię. Żelazne pojęcia z ojcowskiego słownika: opieka, odpowiedzialność, obecność, nabierają w brutalnym świecie „Między morzem a oceanem” nowych znaczeń. Dlatego kiedy młodszy z braci podejmuje desperacką walkę z powszechnym brakiem perspektyw, ryzykuje nie tylko ponowną kolizję z prawem, ale i z własnym instynktem samozachowawczym.

Mimo że fatum zdaje się nieubłagane, a malownicze wybrzeże San Fernando łuszczy się i rdzewieje, Lacuesta wypełnia swój film intensywnym południowym światłem i kotłującym się żywiołem: życia, zabawy, wody. Ta ostatnia odgrywa tu rolę nie tylko naturalistycznego tła – tkwiącemu na bytowym śmietnisku bohaterowi przynosi nawet

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Między morzem a oceanem”

coś w rodzaju oczyszczenia, również w znaczeniu jak najbardziej religijnym.

Reżyser w swoim ponaddwugodzinnym filmie, głęboko zanurzonym w czasie, jest niczym cierpliwy tatuażysta. Kiedy postacie z jego filmu przyozdabiają (i ranią) swoje ciała symbolami z dawnych lat, on sam dzierga nieśpiesznie w teraźniejszości i przeszłości, nakładając na siebie kolejne warstwy, oczyszczając je starannie z pyłu, nie próbując jednak wydobywać z nich ostatecznych kształtów. Zamiast efektownej dramatyzacji czy „klimatyzacji” życia andaluzyjskich *gitanos*, stosowanej choćby przez Tony'ego Gatlifa w „Vengo” (2000), dostajemy coś w rodzaju surowej „stylizacji na życie”. Dlatego nie warto tracić czasu na rozważania, ile w tym fikcji, a ile prawdy. Lepiej przyjrzeć się, jak bezwysiłkowo Lacuesta i jego nieprofesjonalni aktorzy lepią swoich bohaterów przed kamerą, jak wspólnie tworzą pozornie nieistotne sytuacje, które układają się w luźną, acz zmysłowo dotykalną materię kina.

Niepotrzebnie też patronują hiszpańskiemu filmowi wielkie tytuły i nazwiska. Krytycy chętnie porównują go do „Boyhood” Richarda Linklatera, sam zaś reżyser przyznaje się do inspiracji indyjską „trylogią Apu” Satyajita Raya czy filmami François Truffauta, w których jego ulubiony aktor, Jean-Pierre Léaud, dorastał i zmieniał się na oczach widza. Przed nami film innej kategorii wagowej. Najbliżej mu do skromnej „Senady” (2013) Danisa Tanovicia, znanej też pod tytułem „Epizod z życia zbieracza złomu”, w którym rodzina bośniackich Romów odtwarzała na ekranie swoją historię. W tym przypadku nie napisało jej samo życie, ale za to podsunęło scenarzystom wiele cennych szczegółów. Złożyły się one na obraz współczesnych *los olvidados*, czyli zapomnianych przez Boga i bogatszą Północ nieuprzywilejowanych obywateli, którzy próbują walczyć o trochę więcej niż biologiczne przetrwanie.

A wszystko dzieje się gdzieś na rubieżach naszego kontynentu, skąd już zaledwie rzut kamieniem do Afryki. I, jak się okazuje, jest to bliskość rozumiana nie tylko w znaczeniu czysto geograficznym. Humorystyczna scena, w której arabski kumpel Israela przygotowuje się do państwowego egzaminu „na Hiszpana”, wybrzmiewa dodatkową ironią, gdy przypomnimy sobie o historycznym dziedzictwie Al-Andalus. ©

MIĘDZY MORZEM A OCEANEM *(Entre dos aguas) – reż. Isaki Lacuesta. Prod. Hiszpania 2018. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 6 września.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [5 – 13 IX]

1. Jeszcze dzień życia

Animowany, reż. Raúl de la Fuente, Damian Nenow, Polska i inne 2018, HBO, 5 IX, 20.10, 6 IX, 13.15, 11 IX, 1.35

Łącząc elementy filmu wojennego, historycznego i biograficznego z formułą animowanego dokumentu, twórcy przenoszą na ekran książkę Ryszarda Kapuścińskiego z 1976 r. Przywołują obrazy wojny domowej w Angoli, ale w centrum wydarzeń pozostaje sam reporter – jego przeżycia i rozterki.

2. Kraina wielkiego nieba

Dramat, reż. Paul Dano, USA 2018, Cinemax, 8 IX, 20.00, 9 IX, 9.35, 10 IX, 20.00, 11 IX, 11.40, 13 IX, 21.50

Charyzmatyczny aktor („Aż poleje się krew”) zadebiutował w końcu jako reżyser. Z perspektywy wrażliwego nastolatka opowiada prawdziwszą i bardziej skomplikowaną historię „amerykańskiego snu” z przełomu lat 50. i 60. XX w. Role rodziców bohatera zagrali Carey Mulligan i Jake Gyllenhaal.

3. Szekspir Forever!

Teatr TV, reż. Andrzej Seweryn, Polska 2019, TVP Kultura, 10 IX, 20.30

W telewizyjnej wersji monodramu z Teatru Polskiego (premiera na deskach odbyła się w 2011 r.) Andrzej Seweryn opisuje świat i kondycję ludzką wersetami z szekspirowskich dramatów. Wcielając się w różne postacie, dialoguje ze współczesnymi widzami i dzieli się z nimi osobistymi refleksjami.

4. Afera Watergate

Dokumentalny, reż. Charles Ferguson, USA 2018, nc+ go

Autor nagrodzonego Oscarem dokumentu „Inside Job” w czterogodzinnym filmie kompletuje fakty i nieznane dotychczas materiały związane z wielkim politycznym skandalem minionego stulecia. Wykorzystując m.in. taśmy prezydenta Nixona odsłania brudny, choć zarazem fascynujący teatr polityki i twarze jego aktorów.

JAN

Klata: *Jak stracić twarz*

Eksperci ujawniają, że Facebook od kilku lat ma patent na to, żeby bez informowania użytkownika włączać przedni aparat telefonu, robić zdjęcie twarzy i rozpoznawać emocje. Po co? Żeby sprawdzać, jak użytkownicy odbierają treści na Facebooku. Patent jest, zgoda jest, tylko eksperci jeszcze nie wiedzą, czy Facebook już to robi. Hmm, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że robi. Bo może. Posiadanie pełnego pakietu ludzkich emocji jest wizją, której trudno się oprzeć. Co za patent. Facebook celuje nam w twarz, zasysa informacje, które następnie sprzedaje. Komu? Byle komu, byle zapłacił.

Patentów bez liku, zresztą. Walka z terrorem na całego, Echelon, Prism, Pegasus... a właśnie: nasze prawe i sprawiedliwe służby specjalne nabyły Pegasusa. Co Pegasus może nam zrobić? Wszystko. System umożliwia nieograniczony dostęp do głośnika, mikrofonu, kamery i wszystkich treści naszego smartfona. CBA rezolutnie odmawia komentarza, podczas gdy dobrzy ludzie z Kanady wykryli ślady używania Pegasusa w Polsce, przez Polaków, przez służby służące Polakom, oczywiście. Czy Pegasus jest legalny? Jest totalnie nielegalny, naturalnie. CBA zakupiło Pegasusa za pieniądze Ministerstwa Sprawiedliwości (co mnie osobiście bardzo uspokaja) z Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym. I niech mi ktoś powie, że Zbigniew Ziobro nie ma poczucia humoru... „Polacy mogą się czuć bezpieczni, co nie zwalnia nas, rządzących, z obowiązku, żeby to bezpieczeństwo cały czas monitorować" – zdanie wypowiedziane przez Panią Beatę pozostaje w mocy, kołysze Polaków do snu, bo mogą spać spokojnie. Wiemy, że nasze służby zrobią jak najlepszy użytek z informacji, które tak skrzętnie gromadzą, a zresztą przecież nie mamy nic do ukrycia, niech się wstydzi ten, co widzi. Oczywistą oczywistością jest, że Pegasus przeznaczony jest do walki z terrorem, a jego wykorzystanie będzie krystalicznie transparentne.

CBA co prawda nie ma nic wspólnego z walką z terroryzmem i generalnie świetnie, wręcz nieskazitelnie działa, zwłaszcza na Podkarpaciu, ale i tak nikt mnie nie przekona, że coś tu z Pegasusem śmierdzi. Po prostu włodarze robią, co mogą, nie rzucajmy kłód pod nogi dobrym pasterzom.

Chyba że jednak możliwie szybko nadejdzie katastrofa klimatyczna, przerwy w dostawie prądu staną się normą, nie będzie jak korzystać z facebooków i smartfonów, internety staną się rarytasem, więc będziemy siedzieć pod gruszą i czytać papierowe książki, dajmy na to, Johna Le Carré. Stracimy zasięg, ale odzyskamy twarze. Naonczas powrócą stare dobre czasy szpiegów z krainy deszczowców, będzie można zgubić ogon i generalnie dobrze się bawić unplugged. ©

Lektor: *Drugie życie*

JÓZEF HEN,
NOWOLIPIE. NAJPIĘKNIEJSZE LATA
Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2019, ss. 496.

„Jedno zdjęcie z mojego wczesnego dzieciństwa się uratowało. Tylko dlatego, że odbitkę mieli wujostwo w Argentynie, w Santa Fe"... Nie ma zdjęć, nie ma przedwojennego Nowolipia, zamordowano większość jego żydowskich mieszkańców. „Przed samą wojną połączono u nas obie czwarte klasy, A i B, w jedną. Tak że ogółem było nas w klasie pięćdziesięciu dwóch!... Przeżyło kilku" – pisze Hen. Została pamięć i niezwykła pisarska umiejętność wskrzeszania umarłych światów, przywoływania z niebytu i ożywiania postaci pierwszego, drugiego i trzeciego planu.

Opowieść o dzieciństwie i wczesnej młodości chłopca, który urodził się w noc z 7 na 8 listopada 1923 r. w warszawskim domu przy ulicy Nowolipie 53, pełna jest ludzi z krwi i kości, widzimy ich i słyszymy. To urzekający portret żydowskiej Warszawy, na którym są rodzice, siostry Stella i Mirka, brat Hipek, dziadkowie Cukierowie z Radzynia i dziadkowie Hamplowie z warszawskiej ulicy Solnej, sąsiedzi i koledzy, szkoła pana Krelmana, gimnazjum Kryńskiego, „Mały Przegląd" redagowany przez Jerzego Abramowa (Igora Newerlego), gdzie 9-letni autor zaczynał karierę literata, wakacje na „linii otwockiej"... A równocześnie – wnikliwe studium rozwoju dziecka, sposobu, w jaki poznaje ono świat i reguły nim rządzące, jak się im poddaje albo przeciwstawia, by budować własną indywidualność, jak odkrywa własną seksualność.

Pierwsza część dylogii, pod którą widnieje data „kwiecień 1990", zamyka się jesienią 1939, ucieczką do Białegostoku, potem do Lwowa. „Zaczęła się tułaczka. Nie wróciłem nigdy na swoje Nowolipie. Nie widziałem, jak ono umiera". „Najpiękniejsze lata", ukończone sześć lat później, to właśnie dzieje owej tułaczki i ocalenia. Opisane brawurowo, niemal jak historia wolterowskiego Kandyda, z cierpkawym humorem, pełne zwrotów akcji i – znów – portretów. Bo Józef Hen każdemu napotkanemu na tej drodze – między Lwowem, miasteczkiem Buskiem, szkołą w Dąbrowicy a Uzbekistanem, służbą w Armii Czerwonej i wreszcie Sumami na Ukrainie, gdzie w 1944 r. formowała się 2. Armia WP – oddaje sprawiedliwość, każdy jest dla niego wart uwagi, każdego stara się zrozumieć, jak w rozdziale o „mieszańcach" w polsko-ukraińskim Kozłowie. Uczy nas historii w sposób cokolwiek odmienny od dzisiaj narzucanego. W ogromnym, różnorodnym i nie dość docenionym dorobku Hena ta książka należy do najważniejszych. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Obyś cudze dzieci żywił

Dwadzieścia tysięcy. Tyle razy zalajkowano na Facebooku wpis restauracji w dużym mieście na zachodzie Polski, która głosi o sobie, iż stanowi „połączenie niespotykanej dziś autentyczności, gościnności, designu oraz smaku serwowanych potraw". Z tą autentycznością to bym był ostrożny, bo mimo włoskiego sznytu w nazewnictwie podają tam „breakfast" oraz „lunch". Gdyby ich gość dzięki teleportacji znalazł się, dajmy na to, w Parmie, to na *breakfast* dostałby nędznego rogalika nadziewanego dżemem i maleńki łyczek kawy, ewentualnie z dodatkiem piany, której nikt nie ułoży w kształt palemki, serduszka czy choćby figi z makiem.

Którą to figę właściciele – gościnni, pamiętajmy – pokazali ludziom chcącym przyjść z małymi dziećmi, i tego dotyczył masowo polubiony wpis. Dzieci przeszkadzają, bałaganią i brudzą. Na dowód zamieszczono dokumentację fotograficzną – od istotnie poważnych strat w postaci upaćkanej tapicerki po śmieszne, bo parę klusek na podłodze to nie problem, odkąd ludzkość zna szczotki i szmaty. Klientelą – tak czytam – są ludzie „ładujący baterie na ciężkie dni w pracy" i szukający kącika na romantyczny obiad, czemu istotnie nie sprzyja widok rozkrzyczanego drobiazgu. Ten zaś „biega slalomem między stołami, rozlewa wodę i oliwę, niszczy meble" – to już słowa właściciela restauracji rybnej w rzymskiej dzielnicy Pigneto, którego podobne w treści ogłoszenie wywołało ze dwa lata temu burzę we włoskich mediach. Na koniec swojego lamentu dodał jeszcze sensowną rzecz: „a poza tym dzieci nie lubią ryb".

Ta słuszna uwaga prowadzi nas do tego, by spojrzeć na problem od drugiej strony – dzieci wrzucone przez rodziców w restauracyjny kontekst nie tylko się nudzą, ale jeszcze bywają narażone bardziej niż w domu na niedobre w ich pojęciu jedzenie. Ileż razy jako kelner musiałem słuchać negocjacji rodziców na temat tego, co paniątko raczy wziąć do ust. Sam wcześniej ciężko doświadczony parą latorośli wrogich nowym doznaniom smakowym, ratowałem sytuację, proponując, że dostarczę nieprzewidziane w karcie spaghetti z pomidorami i klopsikami; w większości przypadków skutkowało to rozejmem. Na szczęście była to knajpa bez obrusów i tapicerek, więc nie było problemu, żeby potem pościerać z okolic stołu ekspresyjne smugi sosu godne Jacksona Pollocka.

Im mniej płodzimy dzieci, tym więcej poświęcamy im uwagi. Traktujemy je – zależnie od sytuacji i stopnia pokrewieństwa – jak płoche cacko, które trzeba chronić przed przeciągiem, albo siewców destrukcji. Powód do najdzikszych panik moralnych, obiekt całodobowej troski podszytej tysiącem strachów albo istoty z wrogiego kosmosu. W tej perspektywie właściwie nie wiadomo, skąd się potem biorą „dojrzali" ludzie – bo na pewno nie ze stopniowego rozwoju osobnika, który ma swoje emocje, potrzeby, styl ekspresji, rytm rozwoju i który bywa życzliwy albo okropny w mieszanych proporcjach, jak wszyscy.

Tymczasem najsensowniejszy sposób to stopniowo wpuszczać je w dekoracje naszego życia codziennego ze świadomością, że będzie głośno i upierdliwie – przepraszam za kolokwializm, który najlepiej oddaje istotę relacji międzypokoleniowych. Dlatego ze sceptycyzmem podchodzę do próby krzyżowania restauracji ze żłobkiem – te wszystkie kąciki i z kredkami, i „animatorami" malującymi buźki... przecież i tak codziennie posyłamy je do specjalnie przystosowanych placówek, więc dobrze przy niedzieli potraktować je serio i posadzić przy normalnym stole. Nikt nie będzie przecież szedł na szybki rodzinny obiad do pozłacanej restauracji w pięciogwiazdkowym historycznym wnętrzu (świętej pamięci prof. Tadeusz Jaroszewski, obwożąc studentów po znacjonalizowanych pałacach, powtarzał nam co rusz, że najgorszy los zabytku to szkoła, bo nic nie dewastuje stiuków i boazerii tak jak drobne rączki). I nikt nie będzie pochwalał zachowania dzieci, którym nie stawia się granic. Ale w tych szerokich ramach trzeba po prostu przyjąć dzieci jako jeden z życiowych faktów obok zmiennej pogody i kursu franka. Poszukiwaczom autentyczności warto zaś przypomnieć scenę ulicznej uczty w „Rzymie" Felliniego. Tak upragniona kultura stołu i biesiady na modłę śródziemnomorską zaczyna się właśnie od sfory niegrzecznych dzieci. ©℗

Wraz z początkiem szkoły może się zdarzyć, że dziecko sprowadzi wam po lekcjach tabun koleżanek i kolegów.

Jak je szybko wykarmić ? Naleśniki są zwykle celnym strzałem, tylko że jeśli ma być ich np. 30, to zajmuje nam sporo czasu przy patelni. Oto sposób na szybki placko-naleśnik z blachy. Mieszamy 350 ml mleka i tyleż maślanki i jedno jajko. W osobnej misce przesiewamy 380 g białej mąki, 50 g cukru, łyżkę proszku do pieczenia i łyżeczkę sody. Wkrajamy w to 120 g zimnego masła w kawałkach, czubkami palców mieszamy, aż wszystko będzie miało konsystencję bułki tartej. Wlewamy miksturę mleczną do składników suchych, mieszamy starannie, dodajemy ewentualnie kapkę esencji waniliowej, odstawiamy na 10 minut. Smarujemy masłem blachę ok. 30 x 40 cm, wykładamy papierem do pieczenia, znów smarujemy masłem. Wstawiamy na chwilę do rozgrzanego piekarnika, potem wyjmujemy, wlewamy masę, pieczemy w 200 stopniach ok. 20 minut, pod koniec można włączyć funkcję grill od góry. Jeśli mamy mniejszą blachę, zmniejszamy proporcje, ciasto po wylaniu nie powinno być wyższe niż 5 mm. Po upieczeniu oczywiście dajemy to, co dzieci lubią – nutellę z bananami, dżem, miód, syropy. A przepis na spaghetti meatballs, o którym wspominam w tekście, znajdziecie w archiwum, warto mieć go pod ręką – to świetnie pacyfikuje przedszkolaki.

PAWEŁ BRAVO

LATO LEŚNYCH LUDZI

Kto blokuje dzieciom swobodny dostęp do przyrody? Nie otoczenie, nie samochody, ale rodzice – przekonuje Basia Zamożniewicz, autorka bloga „Wielki Zachwyt".

ADAM ROBIŃSKI

BARBARA ZAMOŻNIEWICZ / WIELKI ZACHWYT

W animowanym filmie wytwórni DreamWorks „Strażnicy marzeń" tytułowi wybrani przez Księżyc bohaterowie stoją na straży sekretów dzieciństwa. Są wśród nich m.in. Święty Mikołaj, wielkanocny Zajączek czy Wróżka Zębuszka. Do strażników dołącza również niejaki Jack Frost, Jack Mróz, ale nie do końca wie, dlaczego i co miałby w związku z tym faktem robić. W jednej ze scen Mikołaj, widząc zakłopotanie nowego kolegi, zdejmuje z półki matrioszkę z własną podobizną. Frost wyciąga z niej kolejne mikołaje i zauważa ich różne oblicza: jowialne, tajemnicze, nieustraszone, wrażliwe. Ostatnia figurka to małe, drewniane dziecko o wielkich oczach.

„Bardzo duże oczy przepełnione zachwytem! – woła właściwy Mikołaj. – Właśnie to mam w środku! Oczy, które z zachwytem patrzą na wszystko, co mnie otacza! (...) To ten zachwyt staram się dawać światu i staram się chronić go w dzieciach!".

– Oglądaliśmy ten film i w jednej chwili zrozumiałam, że to jest to – mówi Basia Zamożniewicz, autorka bloga dla rodziców „Wielki Zachwyt". – O to mi w macierzyństwie chodzi. O pielęgnowanie u moich dzieci tego zachwytu, który widzę w ich oczach, gdy obcują z przyrodą.

Podwórkowa banda

Wieś Sielec, powiat staszowski, województwo świętokrzyskie. Polska, której zwykle dodaje się jakieś literki w alfabecie: może B, może C. Zadbany dom, który nie rzuca się w oczy. Schowany za ogrodzeniem na końcu wąskiej drogi. Obok góry piachu i tłucznia – mąż Basi prowadzi firmę budowlaną. I jeszcze wojewódzka 757 z Opatowa na Stopnicę. Na dywanie w dużym pokoju Antek, lat dziewięć, i Michał, lat sześć, układają drewnianą kolejkę. Jest 11 przed południem, a oni w domu, nie w szkole i w przedszkolu – wiadomo, wakacje. Chociaż przyjechałem rozmawiać głównie o nich, nie będę ich za często oglądał. Któryś gdzieś mignie mi tylko w przelocie. Dzieci mają dużo ważniejsze sprawy na głowie niż obcy dorośli.

– Wróciliśmy znad morza, planowałam ich jeszcze zabrać w Bieszczady, ale nie chcą już wyjeżdżać z domu. Mają tu chyba wszystko, czego potrzebują: przyjaciół, wolność, przyrodę. Niedawno Antek wykrzyczał z entuzjazmem „Mamo! To są najlepsze wakacje w życiu!" – śmieje się Basia. – Właściwie nie wiem, gdzie śpią, albo raczej: kto danego dnia śpi

Antek i Michał w „Pięknościowie", ulubionym miejscu do zabawy w lesie koło Sielca w województwie świętokrzyskim. Maj 2018 r.

pod moim dachem. Po obu stronach domu mamy sąsiadów z dziećmi w podobnym wieku. Pierwszorzędna podwórkowa banda. Dziś jest spokój, bo sąsiedzi pojechali do fryzjera.

Żeby opowiedzieć o tym, skąd wziął się „Wielki Zachwyt" w internecie, trzeba najpierw opowiedzieć o jego autorce. Wzięła się właśnie z Sielca. Jej rodzinny dom znajduje się czterysta metrów od tego, w którym rozmawiamy. Dokładnie pamięta dzień, w którym poznała swojego przyszłego męża. To był 1 września 1986 r. – mieli wtedy po sześć lat i dla obojga było to pierwsze zetknięcie z (tą samą) zerówką. Towarzyszyli sobie w dziecięcych zabawach, dziś towarzyszą w sprawach bardziej dorosłych. Pytam więc o jej prywatną mapę okolicy. Mówi m.in. o górce na działce sąsiada, gdzie dzieciaki ze wsi chodziły z sankami: – Poza tym ten las, do którego jeździmy z dziećmi, jest tym samym lasem, w którym bawiliśmy się sami. Pamiętam wyjazdy na konwalie i jagody, chociaż musiałam być wtedy mała, bo nie kojarzę we wspomnieniach konkretnych dróżek i ścieżek. Ale las się przecież zmienia.

Po liceum wyjechała z Polski, przez kilka lat żyła w Anglii, Szwecji i Belgii. Kiedy wróciła, założyła ze znajomymi fundację, której celem była aktywizacja młodzieży: – Wróciłam z Belgii po pracy z młodzieżą i widziałam, że wszystkie dzieciaki z mojej wsi siedzą pod sklepem, na przystanku albo się szwendają. Zastanawiałam się, czym ci młodzi ludzie różnią się od swoich belgijskich rówieśników. Niczym, to są tacy sami ludzie gotowi na przygodę swojego życia. Tylko tam są pieniądze i kadry ludzi zainteresowanych ich losem. A tu nie. Więc 15 ostatnich lat mojego życia to praca z młodzieżą. ↦

Ta praca to m.in. jedyne w kraju stanowisko rzecznika młodzieży przy marszałku województwa, z którego dopiero co zrezygnowała.

Zespół deficytu natury

Kiedy w 2005 r. psycholog Richard Louv opublikował książkę „Ostatnie dziecko lasu" (pol. wyd. 2014 r.), jego ustalenia miały charakter alarmistyczny i wręcz sensacyjny. Dowodził, że współczesne amerykańskie dzieci straciły kontakt z przyrodą, która stała się dla nich bytem obcym. Nie wspinają się już na drzewa, nie łapią owadów, nie budują kryjówek i nie wypuszczają się na samodzielne wyprawy.

Kolejne pokolenia są nie tylko wychowywane w domach, ale też ograniczane do coraz mniejszej przestrzeni życiowej. Stają się ludźmi z pudełka, dziećmi z tylnej kanapy samochodu, których rodzice dostarczają jak pakunki na kolejne zorganizowane zajęcia. Pozbawia się je prawa do nudy i do samodzielnego odkrywania świata: „Nasze społeczeństwo uczy młodych ludzi unikania bezpośredniego kontaktu z przyrodą. (...) Nasze instytucje, plany zagospodarowania przestrzeni miast, przedmieść oraz plany kulturowe nieświadomie przedstawiają przyrodę jako źródło wszelkiego nieszczęścia, a otwartą przestrzeń pozbawiają jej konotacji z radością i samotnością".

Louv przekonywał, że efektem współczesnego modelu wychowania jest epidemia zespołu deficytu natury. Dwa lata później, jakby na zawołanie, oksfordzki słownik dla młodzieży wykreślił ze swojego zbioru kilkadziesiąt słów związanych z przyrodą – m.in. czaplę, żmiję, mniszka i zimorodka – i zastąpił je częściej używanymi z innych dziedzin, m.in. czatem, bazą danych, łączem szerokopasmowym i odtwarzaczem mp3 (czas pokazał, że słownikowa legitymizacja tego ostatniego była kulą w płot). Autorzy słownika zastrzegali, że nie próbują zmieniać języka młodych ludzi, ale reagują na to, jak on sam ewoluuje.

Wszystko to dotyczyło oczywiście Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, ale kiedy czyta się słowa Louva kilkanaście lat później w kraju nad Wisłą, łatwo przełożyć je na tutejsze realia.

– To, co jako cywilizacja robimy dziś naszym dzieciom, jest po prostu kradzieżą dzieciństwa – przekonuje Basia. Mówi, że książka Louva – i kilka innych – pozwoliła jej uporządkować pomysły na wychowanie własnych dzieci, które wcześniej podsunęła jej intuicja. – Nie wyobrażam sobie siebie samej, mojego męża czy sióstr bez tego elementu natury, swobody, wolności, jakich doświadczaliśmy za młodu. I nie chodzi tylko o dzieci wychowywane na wsi. Przecież nasi rówieśnicy z miejskich blokowisk też mieli swoje place budowy, zagajniki, podwórka, bazy i wakacje u babci, która ciągle robiła w polu, więc nikogo nie pilnowała. Wychodziło się na dwór i robiło, co się chciało.

Przekonuje, że jeśli zapytać jakiegokolwiek dorosłego o najlepsze wspomnienie z dzieciństwa, większość wskaże samotne chwile spędzane w przyrodzie.

– W czasach mojego i twojego dzieciństwa było to normą, dziś brzmi abstrakcyjnie – mówi blogerka. – Bo fakty są takie, że dziecku zawsze towarzyszy dorosły. Rano przedszkole, potem zajęcia, dom kultury, basen, bawialnia. I wszędzie ci dorośli. Dziwne czasy, prawda? Takie, w których swobodna, nieskrępowana zabawa potrzebuje swoich ambasadorów. Pojawia się więc pytanie: kto blokuje swobodny dostęp dziecka do przyrody? Kto jest pomiędzy nim a swobodą? Rodzic.

– A może bardziej otoczenie? Wszechobecne samochody... – zauważam.

– Chcesz powiedzieć: takie mamy czasy? Mąż mi tak kiedyś powiedział. Ale to, jakie twoje dzieci mają dzieciństwo, jest odpowiedzialnością rodziców, a nie czasów, w jakich żyją. To tylko kwestia świadomych wyborów. Ja od pewnego momentu podejmuję te wybory. I wysiłek. Wszystkim da się zarządzić, zorganizować. A nie poddawać się otoczeniu. Właśnie to próbuję przekazać ludziom na „Wielkim Zachwycie". Bardzo dużo zależy od rodzica.

Zielona godzina

W jej wizji czas w przyrodzie nie jest czymś, co się rodzinom od czasu do czasu przydarza, zwykle przy okazji wakacji. Ma być jednym z priorytetów. – Jeśli wpisuję w kalendarz lekcję skrzypiec, angielski albo piłkę nożną, to powinnam tak samo uwzględnić zieloną godzinę. Albo dwie. I sumiennie je realizować. Miasto nie jest wymówką, każde ma mniej lub bardziej dzikie tereny zielone. Można wsiąść po południu na rower czy do samochodu i po prostu pojechać do lasu. Tam dać dzieciom wolną rękę. Wyjście w przyrodę trzeba traktować na równi z innymi zajęciami.

Problem w tym, przekonuje, że rodzice często nie widzą wartości w swobodnej zabawie w przyrodzie. Jej zdaniem patyk przegrywa z edukacyjną zabawką. Szwendanie się po lesie czy łące przegrywa z opłaconymi zajęciami dodatkowymi, bo dziecięca zabawa postrzegana jest jako marnowanie czasu.

Głównie dlatego tekst o wspinaniu się na drzewa na blogu „Wielki Zachwyt" nie jest pełnym praktycznych wskazówek poradnikiem dla dzieci (które ich przecież nie potrzebują), lecz dla mam. W duchu książki Louva przekłada w nim prostą dziecięcą zabawę na szereg przemawiających do wyobraźni rodzica korzyści. Przelicza wspinaczkę na zyski. To rozwój sprawności ruchowej, uważności, koncentracji, ćwiczenie się w ocenianiu ryzyka, budowanie poczucia własnej wartości, wyciszenie i relaks.

Na koniec przytacza jeszcze wyniki badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Północnej Florydy. Naukowcy zbadali, w jaki sposób „wspinanie się po drzewach, czołganie się, chodzenie boso, bieganie między przeszkodami wpływa na pracę pamięci operacyjnej, która jest przede wszystkim odpowiedzialna za sukcesy w nauce". Okazało się, że już dwie godziny tego typu aktywności poprawiają wyniki badanych o połowę. A więc wspinaczka na drzewa to również gimnastyka dla mózgu. I – to jeszcze jeden poważny wniosek ze wspomnianych badań – prawda ta dotyczy tak samo dzieci, jak i dorosłych.

– Nie wyobrażam sobie swojego macierzyństwa bez codziennego kontaktu z przyrodą. Byłabym okropną mamą – przekonuje. – Pamiętam siebie z czasu „przed lasem". Mimo że cały czas był obok mnie, to dopiero trzy lata temu weszłam do niego z pewną wrażliwością i otwartością. To był trudny moment w moim zawodowym życiu – zrezygnowałam z aktywności fundacji, którą sama stworzyłam. Ale też trudny prywatnie, bo wciąż nie mogłam odnaleźć się w macierzyństwie. To w lesie znalazłam to, czego mi wtedy brakowało:

GRAŻYNA MAKARA

„Pięknościowo", sierpień 2019 r.

wyciszenie, wzmocnienie i zaufanie do siebie i moich dzieci. Uwielbiam być sama w lesie, ale równie mocno uwielbiam być tam z synami. Patrzę na nich i za każdym razem wzruszam się tak samo: gdy boso biegają, wspinają się na drzewa, bawią się razem patykami albo gdy zatrzymują się na wiele minut nad napotkanym chrząszczem. Albo kiedy leżą na ziemi i obserwują korony drzew. Wiem, że wtedy dzieją się rzeczy fundamentalne dla ich rozwoju i świadomości.

BARBARA ZAMOŻNIEWICZ:

To, co jako cywilizacja robimy dziś naszym dzieciom, jest kradzieżą dzieciństwa.

Woodstock dla dzieci

Jedną z najważniejszych dat w kalendarzu Basi jest 29 czerwca. To świętowany od 2009 r. Międzynarodowy Dzień Błota. Inspiracja przyszła z Nepalu, towarzyszyło jej przesłanie o charakterze pokojowym: każdy człowiek, nieważne jakiego koloru skóry, ubabrany błotem wygląda tak samo. Basia przeniosła to święto na swój grunt i nadała mu nazwę Wielki Zachwyt Błotem. Na tegoroczną edycję do świętokrzyskiego Sichowa zjechali goście z całej Polski. Na miejscu czekało na nich kilka ton ziemi i woda. Wystarczyło.

Kilka dni przed tym dziecięcym Woodstockiem skończył się rok szkolny. Pytania o przedszkole i szkołę narzucają się w tej rozmowie same. Tym bardziej że obaj synowie Basi chodzą do placówek państwowych.

– Antka wpuściłam w system jeszcze bez głębszej refleksji. Nie zastanawiałam się, czy można inaczej. Był taki okres, gdy przychodziłam po niego do przedszkola ubrana w byle co, bo od razu jechaliśmy do lasu. To był cudowny czas. Przedszkolanki najpierw chyba brały mnie za dziwaczkę, ale z czasem zaczęłam im mimochodem podrzucać pomysły: a może zasadzić ogródek, a może częściej wypuszczać ich na dwór, a może zabierać do lasu? Nauczycielka okazała się bardzo zainteresowana, powiedziała mi zresztą potem, że czuła się wypalona zawodowo, nie wierzyła w metody, które stosowała przez ostatnie 15 lat pracy nauczyciela. Może dlatego tak chętnie przystała na te zmiany? – mówi Basia, zaznaczając, że wymagały one współpracy z dyrekcją, innymi rodzicami i lokalnym nadleśnictwem.

Z czasem nauczycielka Justyna Lis z Przedszkola nr 8 w Staszowie zagościła na „Wielkim Zachwycie", gdzie pisze: „Od dawna nie liczymy wypraw do lasu. To, że będziemy je organizować, stało się dla nas naturalne, jak każdy inny stały element pracy. Nie wyobrażam sobie dziś edukacji dzieci z dala od Natury. Przesiąknęłyśmy tą ideą do ostatniej komórki ciała i nie ma dla mnie, nauczycielki, odwrotu z tej ścieżki".

– Ze szkołą wciąż się układam. Antek chodzi do największej w powiecie podstawówki. Marzenia o stworzeniu alternatywnej szkoły, najlepiej leśnej, okazały się dla mnie zbyt trudne do zrealizowania w tym małym świętokrzyskim miasteczku. Pozostało mi wypracowanie naszej prywatnej strategii na szkołę. Zakłada m.in. odpuszczanie prac domowych na rzecz kolejnej wyprawy do lasu albo nieobecność w szkole z powodu Święta Pierwszego Śniegu. To taki dzień, kiedy budzisz się i od razu skaczesz z radości na widok tego, co za oknem. Palimy wtedy ognisko, budujemy bałwana, rzucamy śnieżkami, idziemy na sanki – mówi.

↦

Obcy w bazie

Barszcz, którym częstuje mnie Basia, jemy sami, bo Antka i Michała wciąż ani śladu. Mamy pójść obejrzeć bazę, nad którą pracowali z kolegami i koleżankami przez całe wakacje, ale zastanawiamy się, czy możemy to zrobić bez ich zgody. W końcu baza – rzecz święta. Trzeba znać hasło i wszystkie procedury. Wreszcie decydujemy się na złamanie panujących w dziecięcym świecie praw. Będziemy intruzami, może nas nie zauważą?

Baza to stos betonowych płyt i chaszcze kilkaset metrów od domu. Pokrzywy i dzika róża karczowane niepozornym sekatorem od ostatnich dni czerwca. Jest ociosana kłoda do zrzucania na głowę nieproszonym gościom (więc lepiej, żeby nie zauważyli), drugie, awaryjne wyjście niczym w lisiej norze, folia kryjąca zabłoconą ścieżkę i salon z okrągłym stołem z potężnego pniaka i dziewięcioma mniejszymi robiącymi za siedziska. Całość wieńczą tajemniczy kamień mocy i ukryta pod płatem falistej blachy zbrojownia pełna drewnianych mieczy i tarcz.

– Wszystko poza piłowaniem tych pniaków zrobili sami – tłumaczy Basia. – Mieliśmy z mężem pomysł, żeby zbudować im domek na drzewie. Ale po co, skoro oni sami zmajstrowali sobie coś o wiele lepszego? Zabrałam ich wczoraj wszystkich, razem z dziećmi sąsiadów, do lasu. Usiedli w kółku i zastanawiali się, czego jeszcze potrzebują do tej bazy. Podzielili się zadaniami, oceniali, które dziecko co jest w stanie wynegocjować od rodziców. Dyskretnie ich słuchałam i nie mogłam wyjść z zachwytu. Żaden obóz sportowy z najlepszym trenerem nie da im tego, co te dzieci dały sobie tego lata same.

I to byłaby pewnie najlepsza puenta naszego spotkania – dwoje dorosłych siedzi pod koniec sierpnia w krzakach i są, jak dzieci, niewidzialni dla kierowców aut śmigających pod nosem – gdyby nie facebookowy post zamieszczony przez Basię trzy tygodnie wcześniej. „Rety, rety! Minęła połowa wakacji. Czy Twoje dziecko zdążyło już zrobić wszystko z poniższej listy?", pisze, a potem wymienia całą masę czynności. Właściwie czemu nie wymienić ich wszystkich? Przecież każde dziecko powinno latem choć raz wspiąć się na drzewo, zjeść śniadanie w lesie, pobujać w hamaku, urządzić piknik na łące, rozpalić samodzielnie ognisko, złapać żabę/mrówkę/motyla, biegać boso po trawie, spać w namiocie, zbudować bazę w parku lub lesie, zbierać muszelki na plaży, usnąć z brudnymi nogami, wykąpać się w rzece, taplać się w kałuży po burzy, zjeść owoce prosto z krzaka lub drzewa, pobawić się w pisanie liter rozpalonymi patykami w ciemności, ulepić ciasto z błota, przeciągać linę, tańczyć w deszczu, obserwować gwiazdy, zebrać kolekcję kamyków, upleść wianek, zbudować zamek z piasku, spacerować w nocy z latarkami, poturlać się z górki i jeszcze puszczać statki z patyków w rowie.

Podobną, choć jeszcze dłuższą listę, sporządzoną kiedyś przez National Trust, brytyjską organizację zajmującą się ochroną zabytków przyrody i kultury, wieńczy celna uwaga: „Wiele z tych czynności jest świetną zabawą nawet, gdy masz 81 i 3/4 lat".

© ADAM ROBIŃSKI

REKLAMA

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za 69 zł

* oferta dotyczy 4 kolejnych (począwszy od „Zwierzeń zwierząt”) wydań (3,4/2019 i 1,2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj

** okładki przedstawiają wydania archiwalne. Chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz:
Żale i niepokoje

Z żalem przyjęliśmy wiadomość, że prezydent Ameryki nie przyjedzie. Z kompanią tutejszą tworzyłby komplet, a komplety są zawsze łatwiejsze – jak wiadomo – w katalogowaniu. Z kolei z niepokojem przyjęliśmy ostrzeżenie obecnego szefa Kancelarii Premiera, że ścieki warszawskie płyną Wisłą do Krakowa. Dla prawdziwych analityków, ale i fizyków jest to doprawdy złowrogi znak, że w Polsce prócz prawa kodeksowego nie działa też prawo grawitacji. To jest możliwe. Na tle tego typu rewelacji spodziewać się należy rychłego złożenia Ameryce oferty sprzedaży Grenlandii przez Polskę. Całkiem być może, że podczas wizyty wiceprezydenta taki sygnał został do naszych aliantów wysłany. Zaiste wydaje się, że Grenlandia jest nam zbędna. W tej mnogości zdarzeń i fantazji edukacyjnych z pokorą przyjmujemy informację, że lasy amazońskie są wyprodukowane z materiałów ogniotrwałych.

Jeśli idzie o politykę, jesteśmy nie tyle rozżaleni czy zaniepokojeni, ile zdziwieni, jak bardzo głęboko niektórzy nasi przywódcy partyjni wpadli w przekonanie, że wyborcy są stadem niekojarzącym. Wydane niedawno polecenie, by w nadchodzących wyborach oddać głos na ludzi o odmiennych poglądach, jest zaskakujące na wielu płaszczyznach. Z tradycyjnie pojętej logiki aktu głosowania, z prastarej teorii, z której wynikało oddawanie głosu na ludzi najbliższych światopoglądowo wybierającemu, nic już nie zostało. Mamy tu do czynienia z narzucaną koncepcją, taką jak z ową Wisłą płynącą z północy na południe. Niby to bezbrzeżnie głupie, ale jak się okazuje – możliwe, a dla wielu oczywiste i niepodlegające dyskusji. Zjawisko to może świadczyć o nieprawdziwości opinii, że w Polsce nie ma autorytetów. Są.

Nie tak dawno ukuliśmy na własny użytek definicję, wydawało nam się: idealną i niesłychanie odkrywczą, że oto lewicowe poglądy polegają na byciu antyprawicowym, prawicowe zaś na byciu antylewicowym. Tym pięknym zdaniem zdefniowaliśmy istotę widzenia światopoglądowego w Polsce, wraz z jego intelektualnym podglebiem. Uznaliśmy takoż, że ta formułka jest założeniem teologii na tutejszym poziomie. Marzyliśmy, by ów nasz wkład w zaawansowane analizy społeczno-religijno-polityczne był zauważany w naukowym, punktowanym piśmiennictwie tak krajowym, jak i międzynarodowym. Nie minęło tak znowu dużo czasu, gdy się okazało, że nie mamy racji. Że rzeczywistość wyprzedziła nasz konserwatyzm i zniknęła za rogiem epoki. Nikt już nie jest w stanie nam wytłumaczyć, co to znaczy być lewicowym bądź prawicowym, ani – co to jest ideowość.

Ponieważ niejako wysiłek badawczy mamy już za sobą, wypada teraz odetchnąć i zająć się sprawami luźniejszymi. Oto z ciekawością poznalibyśmy nastroje panujące wśród badaczy opinii publicznej. Publikowane co rusz sondaże sprawiają wrażenie bardzo tanich w produkcji, tworzonych frontem do klienta. Czytanie dziś sondaży weszło do tej kategorii rozrywek, w której leżą gotowe do czytania stenogramy z przemówień Dudy bądź Morawieckiego, instrukcje wyborcze Schetyny oraz oczywiście gołe fotki przedstawicieli polskiego wymiaru sprawiedliwości. W obsłudze tego magazynku znajdujemy kłopotliwą intelektualnie łatwość. Jak by – to jest jakieś zadanie – ubrać to w efektowną parabolę? To zadanie ponad siły. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

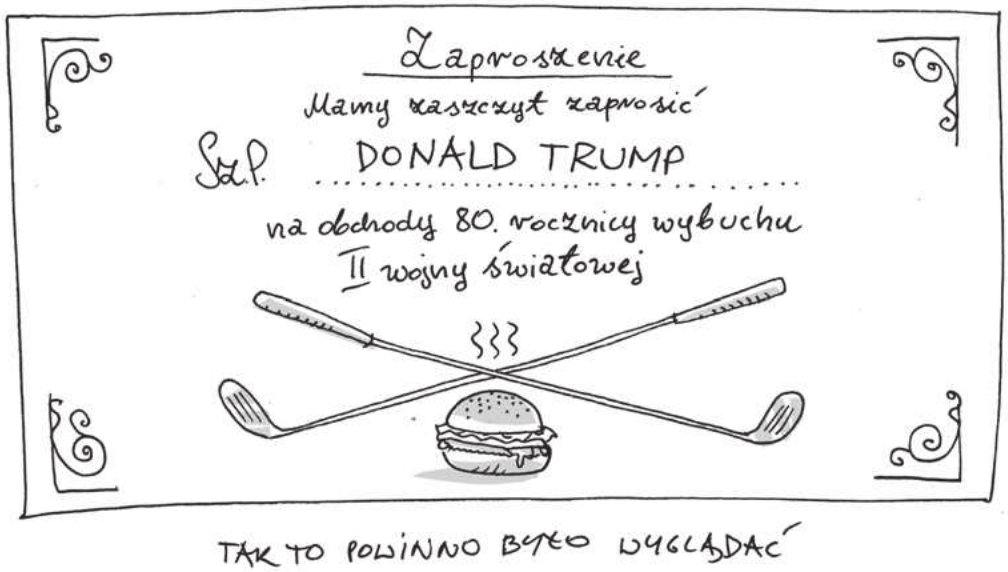

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

CONRAD FESTIVAL

rzeczywistości

21–27.10.2019 pałac czeczotka
międzynarodowy festiwal literacki

www.conradfestival.com
znajdź nas: #conradfestival

partner strategiczny: 23. międzynarodowe targi książki w krakowie
www.ksiazka.krakow.pl

Organizatorzy: kbf, Kraków UNESCO City of Literature, Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partner dla Krakowa: Bukovina Resort, Grupa autoremo

Wsparcie: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego – dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego; Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa; Instytut Książki

REKLAMA

Pierwsze Radio Informacyjne

TOK FM

USŁYSZ
SWOJEGO
POSŁA

DEBATY

WAŻNE
PYTANIA

KANDYDACI

12.09.2019
Rzeszów

08.10.2019
Legionowo

Sprawdź, czy będziemy w Twoim mieście: tokfm.pl/wybory